



<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii Zaranie Śląskie, rok VII, zeszyt 3-4</p>		
<p>Ilość stron oryginału 95</p>	<p>Ilość skanów 95</p>	<p>Liczba plików publikacji 193</p>
<p>Autor Red. Morcinek Gustaw</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny Organ Instytutu Śląskiego w</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania Cieszyn</p>	<p>Rok wydania / Data powstania 1931</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) kwartalnik</p>	
<p>Wymiary (wys x szer) 25 x 20 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) Śląsk Cieszyński w okresie międzywojennym, kultura, historia i twórczość literacka Śląska, Beskid Śląski, Ustroń, Cieszyn, Cisownica, Czantoria, Józef Londzin, Jan Korłowicz, Gustaw Morcinek, Franciszek Popiołek, Mieczysława Gładysz, Walenty Krząszcz, Robert Zanibal, Karol Ludwik Koniński, Jura Gajdzica, Jan Wantuła, Józef Zahradnik.</p>		<p>Publikacja jest kwartalnikiem, wydawanym z przerwami w latach 1907-1992. Prezentuje artykuły związane z historią i kulturą ludową Śląska oraz prace literackie i sceniczne miejscowych twórców, dotyczące tematyki Śląska i Beskidów, a nawiązujące do motywów kultury ludowej. Zawiera materiały etnograficzne zebrane w terenie. Niniejszy numer obejmuje wiedzę dotyczącą następujących zagadnień, związanych ze Śląskiem Cieszyńskim: strój cieszyński z uwzględnieniem szczególnej wartości koronek ustrońskich, charakterystyka chłopskiej i robotniczej społeczności ludu śląskiego, problematyka nazewnictwa topograficznego, tradycyjna wiedza ludowa z zakresu ziołolecznictwa i meteorologii oraz obrzędowość rodzinna i doroczna na Śląsku Cieszyńskim.</p>
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuznia, letnicy itp.) Kultura ludowa Śląska Cieszyńskiego, strój cieszyński, koronki ustrońskie, charakterystyka ludu śląskiego, historia szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim, nazewnictwo topograficzne na Śląsku Cieszyńskim, ziołolecznictwo ludowe, opowiadania z życia ludu Śląska Cieszyńskiego, obrzędowość rodzinna i doroczna Śląska Cieszyńskiego, meteorologia ludowa.</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		

Karger-Trzaniowski

Europejski - Przemysł

MUZEUM USTRONIA
im. Jana Jarockiego
w Ustroniu
43-450 Ustronie ul. Hutnicza 3
tel. 548-10-52 MP 548-10-52

ZARANIE ŚLĄSKIE

ROCZNIK VII. W CIESZYNIE, 31 GRUDNIA 1931. ZESZYT 3—4.

ADOLF FIERLA.

Boże Narodzenie.

Hej, pójdźcie moi ludczkowie,
W chatach najprostszycy mieszkający,
Z pola was wzywam, wołający,
Pójdźcie, na ucho coś wam powiem!

Zostawcie świeży chleb na stole,
Odejdźcie ogień rozblyszczany,
Na białe wyjdźcie ku mnie pole,
Na śniegiem rozmodlone łany.

Bez strachu do mnie iść możecie,
W chacie nie stanie się nic złego,
Anioły chodzą dziś po świecie,
Chudoby wszelkiej wam ustrzegą.

Hej, pójdźcie do mnie ludczkowie,
Ludkowie moi złoci, mili,
Na ucho wieść wam dobrą powiem:
Pan Jezus dziś się narodzili!...

Do mrocznej To zanieście chaty,
Jak okruh najjaśniejszy nieba,
Na stół To złożcie między kwiaty,
Niech was To syci, zamiast chleba.

ZAKŁADY Fabryki Samochodów Metalicznych
w Skoczowie
ZAKŁADY WYKONAWCZE
w Ustroniu



DANES PICTA

K

Y

M

C

Red

Magenta

White

3/Color

Black

B

G

R

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

PRZEMÓWIENIE

*na Akademii śląskiej w auli Uniw. Poznańskiego dnia 21 lutego 1931
z okazji dziesięciolecia poznańskiego oddziału „Znicza“.*

Śląsk — to ta część Polski, która w miarę lat coraz to więcej powinna i coraz to więcej ważyć będzie w naszym życiu państwowym, w naszej kulturze umysłowej i artystycznej.

Sprawi to największa gęstość zaludnienia tej części Polski, najintensywniejszy rozwój życia społecznego, najbardziej rozwinięty ustrój tego społeczeństwa. Każdy kilometr kwadratowy ziemi śląskiej znaczy dla Polski tyle, co 100 kilometrów kwadratowych na kresach wschodnich. Stąd też utrata wielkich połaci ziemi polskiej na Śląsku na rzecz Niemców i Czechów jest niepowetowaną klęską.

Trzeba nam więc coraz to pilniejszą wagę zwracać na to, co się na Śląsku dzieje po obu stronach jego granicy, co go przecięła brutalnie jak rana krwawiąca.

Uroczystość dzisiejsza pozwala zetknąć się bliżej z przedstawicielami tej bezcennej części Polski, z młodą kulturą literacką Śląska, naogół mało znaną, a wnoszącą do ogólnonarodowego życia wartości cenne i odżywcze, a do naszej literatury motywy nowe i tony dawno zapomniane.

Po oddzieleniu się politycznym Śląska od Polski w wieku XIV, kontakt z kulturą polską wcale się nie zrywa, ale podczas gdy w Polsce jagiellońskiej i późniejszej wyższa kultura staje się coraz to wyłącz-

niej szlachecką, na Śląsku wyższe warstwy niemczą się lub czeszczą, a niższe żyją dalej w swojej tradycyjnej kulturze piastowskiej i ludowej zarazem. W ten sposób przetrwały na Śląsku te najcenniejsze piastowskie, które przedewszystkiem stanowią o polskości naszej kultury, które tworzą jej rdzeń, jej zrąb, jej podstawę. Nie przytłumiła ich jednostronna szlachetczyzna, nie spacyły ich i nie zwicznęła.

Odbudowa naszego życia powinna sięgnąć do tych macierzystych pierwiastków, do tych źródeł, które nigdzie nie tak żywotne, jak właśnie u Ślązaków.

Stosem pacierzowym naszej kultury państwowej, drogowskazem naszego życia współczesnego powinna się stać Wisła. U źródeł jej — Gdańsk, Gdynia — wytycza nam drogę w świat szeroki, na lądy dalekie i morza, jej źródła każą pamiętać o najdalej piastowskiej przeszłości, jako podstawie i rdzeniu narodowego bytu.

Kultura polska na Śląsku ma charakter piastowski, regionalny i ludowy. Na Śląsku Cieszyńskim zwłaszcza jest ona nie tylko zwykle żywotna od schyłku XIX w. Nigdzie chyba w Polsce nie rozwija się od tych czasów tak bujnie teatr ludowy, kultura pieśni, czytelnictwo i życie wiołowego ludu widać wśród ludu tak żywej i trwałej pracy do oświaty. Jest to kraj twardszy i szerszej skali życia, szerszej niż gdziekolwiek w Polsce, bo rozciąga się ona

sterskiego życia w górach przez wcale wysoką tradycyjną kulturę rolniczą aż do nowoczesnej, bardzo skomplikowanej w okęgach przemysłowych i górniczych.

Jakież w tem wszystkim bogactwo treści, motywów, podniet dla obserwatora, artysty, literata! Ale musi on to wchłonać w siebie wszystkimi porami duszy, musi to przeżywać, wnikać w samą istotę tego życia.

O polskim zagłębiu węglowem, o życiu polskiego górnika, o jego świecie nie może pisać literat, co parę tygodni spędzi w tych stronach i potem świat ten odtworzy, kierując się przeważnie tylko intuicją, nieraz całkowicie błędną.

Z gruntu fałszywym jest to życie górnicze w „Lenorze“. Jest w niem tylko mrok i błoto, nędza i ohyda. Zapomniał o tem autor, że i z najgłębszych nizin życia, jakby z dna najgłębszej studni — właśnie najwyraźniej gwiazdy widać, nawet wśród dnia jasnego.

W „Lenorze“ żadne gwiazdy nie świecą. Nie tam więc szukać nam obrazu życia polskich górników, ale w utworach Gustawa Morcinka, co dolę i niedolę górnika

przeżył, co w niej wzrósł i poprzez jego psychikę umiał dotrzeć i pokazać szerokie i jasne widnokregi.

Nie wolno nam zapomnieć, że Śląsk jest dziś rozdarty. Granica państwa niestety o Odrę się nie oparła. Po tamtej stronie, „za tamą“, zostały serca gorące i ludzie najofiarniejsi, wysokowartościowi. Po tamtej stronie został i nawskroś polski Jabłonków i bohatersko broniąca się Karwina, Orłowa i Łazy, Racibórz i Opole.

Ale mimo rozdarcia Śląsk jako całość żyje dziś pełniej jak przedtem, idzie w przyszłość z upartą wiarą, wykuwa nowy typ Polaka, co głęboko wrósł w starą, piastowską tradycję, ze szlacheckiej przejmował tylko jej najgórniesze wzloty, a od początków zeszłego wieku rósł w atmosferze ciężkiej, na zachodnioeuropejski sposób prowadzonej walki o byt.

Tężyzna Ślązaków przebija się dziś zwycięsko przez to złożone życie i coraz to mocniej akcentuje swoją energję i żywotność. Wyrazem jej jest młoda śląska literatura, której przedstawiciele najserdeczniej dziś wśród nas witamy.

KS. JÓZEF LONDZIN.

STROJE LUDOWE.)

Na Śląsku Cieszyńskim rozróżnić można trzy rodzaje stroju, które sam lud nazywa wałaskim, laskim i góralskim.

Strój wałaski, zwany też cieszyńskim, ogranicza się obecnie jedynie do stroju kobiecego (ryc. 1 i 2), bo mężczyźni porzucili już przed kilkudziesięciu laty swój strój ludowy i chyba tylko najstarsi posiadają niektóre jego części, które czasem tylko jeszcze noszą. Natomiast kobiety prawie na całym obszarze obecnego polskiego Śląska Ciesz. i w części także na czeskim Śląsku Ciesz. noszą swój strój ludowy, który w miarę zamożności

kobiety staje się bogatszym i gustowniejszym. Mężatki (ryc. 3) noszą na głowie czepiec (czepek z koronkami) ponad czołem, pod którym znajduje się zwinięty warkocz. Najsławniejsze są koronki ustrońskie z artyzmem i smakiem sporządzane. Dziewczęta zaś noszą bujny warkocz, spadający na plecy z barwną wstążką. Suknia, mężatkom i dziewczętom wspólna, spadająca w licznych fałdach aż po kostki, obszyta jest u samego dołu szeroką niebieską wstęgą, zwaną galonką. Zopatrzona jest suknia w naramienniki, które rozszerzają się z przodu i tyłu, two-

rząc jakby stanik, żywotkiem zwany. Na przedzie żywotka umieszczone są z obu stron srebrne hoczki. Bogatsze kobiety noszą przy weselach i zabawach srebrne i złote łańcuszki i ozdoby, porozwieszane

mężczyźni porzucili już dawno swój strój wałaski. Niekiedy jeszcze można zobaczyć kamizole, t. j. krótkie, do pasa sięgające surduty, zwane też bruclekami, zaopatrzone w niektórych wypadkach



1. Na odpuście w Brennej.

Fot. inż. W. Kasperlik.

około żywotka. Ponad żywotkiem wysuwa się bielutka koszula, spięta pod szyją piękną „spinką“, zwana kabotkiem, której bufiaste rękawy związane są nad łokciem przymocowaną białą wstążeczką. Przy chłodzie i wilgoci wdziewiają kobiety na siebie jaklę i narzucają na siebie wełnianą hackę o ciemnych kolorach.²⁾

Jak już powyżej powiedzieliśmy,

w piękne metalowe lub nawet srebrne guziki, a w zimie można widzieć jeszcze w niektórych gminach powiatu bielskiego płaszcze bławatne z długą peleryną; białe płaszcze używane jeszcze przed 50 laty zniknęły już zupełnie z widowni.

Na zapytanie, skąd pochodzi strój wałaski, odpowiadają niektórzy, że wziął go nasz lud od Wałachów, którzy przez

kilka set lat wypasali swoje trzody w naszych Beskidach, przybywszy do nas w dawnych czasach z Wołoszczyzny. Po-

O ile o formę i o szczegóły tego stroju chodzi, zdaje się, że hipoteza powyższa utrzymać się nie da, bo w pochodzie na-



2. Dziewczyna w dawniejszym stroju wałaskim. Ze zbiorów ks. J. Londzina.

siadali oni u nas osobną organizację polityczną z daleko sięgającą autonomją, z osobnem sądownictwem. Ich zwierzchników nazywano wojewodami, których na Śląsku Cieszyńskim było trzech.

rodów, urządzonym w 1908 r. w Wiedniu na jubileusz cesarza Franciszka Józefa, spotkać było można prawie zupełnie taki sam strój, jak wałaski, lecz już nieużywany, w północnej części Moraw

i około Chebu w Czechach, gdzie Wałachów nigdy nie było. Natomiast praw-
cie) i pończochy były sporządzone. Wałasi wyrabiali sukno i gunię, które na jar-



3. Mężatka w dzisiejszym stroju wałaskim.

dopodobną zdaje się być rzeczą, że nazwa wałaskiego stroju nie odnosi się do formy, barw i szczegółów, lecz do materji, z której suknia, hacka (wierzchnie nakry-

markach sprzedawali, robiąc nawet Bielszczanom konkurencję. Ponieważ kobiety i mężczyźni zaczęli używać zamiast pierwotnych tkanin lnianych, wyrobów

wałaskich, stąd też i strój swój zaczęli nazywać wałaskim, bo do niego używano materji, wyrabianej przez Wałachów.

Strój laski (ryc. 5) spotykamy prawie wyłącznie w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, bo w polskiej części znachodzi się tylko w Kaczycach, Małych Kończycach, Zebrzydowicach i Górnych Markłowicach. Dawniej strój ten był dosyć barwny i oryginalny, lecz obecnie utracił prawie zupełnie swoją oryginalność. W pozbawionym ozdób stroju wygląda Łaszka dosyć skromnie i w wykróchmalonych swoich szatach trochę nieswojsko. Strój ten, jak się obecnie przedstawia, nie może pod żadnym względem konkurować z okazałością i barwnością stroju wałaskiego. Mężczyźni na obszarze stroju laskiego nie posiadają obecnie odrębnego stroju, a części ubrań, spotykane jeszcze gdzieś, przypominają męski strój wałaski.

Zpokrewniony ze strojem wałaskim, noszonym przez kobiety, jest żeński strój góralski (ryc. 6 i 7), który jednak znacznie jest od pierwszego skromniejszy. Suknia jest krótsza, bez żywotka. Na nogi wdziewa góralka długie czerwone pończochy, gęsto pofałdowane, zwane też nogawiczkami, które jednak wychodzą obecnie z mody. Zamiast trzewików nosi kypce ze świńskiej skóry żółtej lub brunatnej. Mężatki noszą w dni słotne lub mroźne jako wierzchnie okrycie łoktuszę, czyli wielką białą chustę lub obrus z płótna. Lecz i strój ten podlega w nowszych czasach zmianom, bo łoktusze bywają zastępywane hackami, a kypce trzewnikami. Pojawiają się też już dosyć często żywotki.

Z mężczyzn Śląska Cieszyńskiego najbardziej jeszcze góral trzyma się swego stroju ludowego, który przypomina pod niejednym względem strój górala zakopiańskiego (ryc. 8). Wszystko, co góral na siebie wdziewa, sam sobie sporządza, albo kupuje u innego górala. Na siebie

wdziewa spodnie, czyli nogawice z białej guni wałaskiej, tkanej przez górali na specjalnych krosnach. Dawniej nosił lazurki z modrego sukna, które obecnie nie są już w modzie. Wierzchnią część stroju, zwaną gunią, wyrabianą z brunatnego sukna wałaskiego, nosi góral na ramiona



Ze zbiorów ks. J. Londzina.
4. Kobieta w szpencerze.

narzuconą, aczkolwiek posiada ona rękawy. Około kołnierza i po krajach obszyta jest gunia barwnymi sznurkami. Nosi się ona przy złym czasie albo na każdy dzień na ręby; tylko w niedzielę i święta, jakoteż gdy góral wyjeżdża do miasta, nosi gunię ozdobną stroną na wierzchu. W porze letniej chodzi góral w grzebnej koszuli; idąc zaś do kościoła

i na publiczne zgromadzenia i zabawy, używają Istebniacy, Jaworzynczanie i Koniakowianie czerwonej, pięknie wyszywanej kamizeli, podczas gdy inni śląscy górale, jak Wiślanie i Brenniacy, zadawalają się czarną, również jednak wyszywankami przystrojoną kamizelą. W ziemie nosi góral krótki kożuch barani, na

nowłokami), dopełniają stroju, używanego pierwotnie i jeszcze obecnie w dużej mierze przez górali śląskich.

Zaniechanie chowu owiec i częste gęste wędrówki do Ameryki spowodowały już po części zanik stroju góralskiego. Jest jednak nadzieja, że ujemny ten wpływ nie będzie dalej czynił postępów,



5. Grupa Lachów.

żółto barwiony. Okrągły kapelusz białawy, czyli czopka, dawniej przez samych górali wyrabiana, obecnie w Jabłonkowie u kapeluszników zakupywana, na nogach rodzaj szkarpetek, kopycami zwanych, które tkwią w kyrpcach ze skóry świnińskiej własnego wyrobu i z sierści koziej ukreconych (połączenie nogawic z kopycą i kopycy z kyrpcem, zwane jest przez Istebniaków nodkończym a przez Wiślan

że piękny i sympatyczny strój góralski dalej się utrzyma, bo chów owiec znowu się w ostatnich latach bardzo wzmacnia a także emigracja do Ameryki nie czyni obecnie ze względu na wielkie utrudnienia dalszych postępów.

Wspomnieć wypada jeszcze o tak zwanym stroju jabłonkowskim (ryc. 9), który stanowi właściwość jedynie miasta Jabłonkowa. Przypomina on strój wałaski

i węgierski i odznacza się u mężczyzn i kobiet bogactwem i wytwornością. Materja, z której strój ten jest sporządzony, jest znacznie kosztowniejsza, strój sam

dziej uderzającą częścią składową był sztywny czepek na głowie, wykonany ze złotem lub srebrem tkanej materji.

Jak z ubolewaniem podnieść wypa-



6. Kobiety istebniańskie.

Ze zbiorów ks. J. Londzina.

przyozdobiony jest w srebrne i nawet złote wyroby w postaci naszyjników, guzików i hoczków, gustownie i artystycznie wykonanych.³⁾

Przed 80 laty i mieszczyki cieszyńskie miały swój własny strój, którego najbar-

da, że mężczyźni na Śląsku Cieszyńskim, z wyjątkiem górali, porzucili swój strój narodowy, tak znowu kobiety przedewszystkiem, noszące strój wałaski, zasługują na pochwałę, że nie zarzucają swego pięknego stroju, owszem starają się u-

trzymać go i gustowniejszym uczynić. Zdarzają się wprawdzie tu i ówdzie wypadki, że się Wałaszka „przebierze“, ale grozi niebezpieczeństwo ze strony kupców cieszyńskich, fałszywych opiekunów stroju wałaskiego, którzy przez róż-



7. Dziewczęta góralskie z Jaworzynki.

Ze zbiorów ks. J. Londzina.

są to wypadki dosyć rzadkie. Częściej spotkać można lekceważenie ze strony inteligencji kobiety, ubranej w strój wałaski, choćby dobrze wychowanej i wykształconej. Natomiast strojowi temu ne dodatki, wzięte ze stroju wielkomiejskiego, tradycyjne formy tego stroju zmieniają i czystość i piękność jego niszczą. Kabotki zastępują koszulą, z przodu na piersiach wyciętą, i zaopatrzoną już

nie w bufiaste, lecz gładkie, przezroczy-
ste rękawki, jakle przedstawiają się jak
bluski marynarzy, galonki są o barwie
ciemno-modrej, fioletowej lub nawet
żółtej.

Ślązaczki, to Wasza właściwość, wolna
od obcego wpływu; niech pozostanie na
zawsze ten sam. A gdy Wy w tym stroju
zejdziecie do grobu, niech go z równą
miłością pielęgnują Wasze córki, wnucz-



8. Górale istebniańscy.

Ze zbiorów ks. J. Londzina.

Miejsce tu podnieść głos i zwrócić się
z prośbą do kobiet śląskich, ażeby strze-
gły czystości stroju wałaskiego i nie do-
puściły do zmarnowania tego dorobku
artystycznego swoich matek, babek i
prababek. Strój wałaski to strój Wasz,

ki i prawnuczki. Dopóki Ślązaczka nosi
swój strój, dopóty też nie wygaśnie u
nas miłość do wiary, do zwyczajów i
obyczajów przodków, nie zniknie uczci-
wy duch starośląski z domów naszych.⁴⁾

Przypisy Redakcji.

¹⁾ Artykuł niniejszy, tak jak i poprzednio ogłoszone już w „Zaraniu Śląskim“ („Piśmiennictwo polskie na Śląsku Cieszyńskim“, 1930, 116—121, oraz „Poezja ludowa“ 1930, 169—170), pochodzi z teki pośmiertnej ś. p. Autora. Rękopis owych trzech artykułów, wydo-

artykuły, kolejno przez nas ogłoszone. Tekstu ich, ogłaszając je, w niczem nie zmieniliśmy. Do artykułu niniejszego dodajemy ilustracje, pochodzące w części ze zbiorów ś. p. Autora, i objaśnienia szczegółowsze omawianych między innymi w tekście strojów Wałaszek i Jabłonkowie. Opis stroju wałaskiego jest przedrukiem



9. Wesele jabłonkowskie.

Fot. dr. E. Farnk (1908).

Na lewo młoducha z żenichem, na prawo družbowie, w tyle starostowie.

byty na światło dzienne z papierów ks. Londzina, obejmuje 20 ćwiartek starannie zapisanego papieru i pomyślany był pierwotnie jako jedna całość. Świadczy o tem tytuł: **Piśmiennictwo, poezja ludowa, dialekt śląski, stroje, szkoły i rozwój ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim**. Tytuł, opracowanie i układ całej rozprawy uległ później zmianie, zachowanej przy ogłaszaniu, a tem samem znanej czytelnikowi. Z pracy więc, zakrojonej zrazu na większą całość powstały tylko trzy luźne

notatki Jana Karłowicza, ogłoszonej w „Wiśle“ VI(1892), str. 491—492, jako objaśnienie do chromolitografji Bogumiła Hoffa, przedstawiającej młodą mężatkę z okolic Cieszyna. Ze strojem wałaskim zapoznał się Karłowicz bawiąc w lipcu i sierpniu r. 1891 w Jaworzu koło Bielska. Wyrazy podkreślone powtarza Karłowicz „dosłownie z ust Hanny Kurcejuski, miłej swej Szecherezady jaworskiej“. — Szczegółowszy opis strojów jabłonkowskich zawdzięczamy prof. P. Bockowi. Na

tem miejscu nie od rzeczy będzie podać także ubogą literaturę przedmiotu, którego dopiero jeden szczegół, mianowicie żywotek cieszyński, doczekał się w pracy Agnieszki Dobrowolskiej, omawianej na innym miejscu, obszerniejszego opracowania naukowego.

Ludwik Brożek.

²⁾ **Ślżaczka z pod Cieszyna.** — Górna część ciała ubrana jest w kabotek albo koszulkę; jest to niby krótka koszula zwierzchnia, noszona na zwykłej spodnie, długiej. Rękawy kabotka krótkie, bufiaste; końce ich zwą się manżety albo krauza i bywają wyszykowane (haftowane). Lemieczków (kołnierzyków; lemiec = kołnierz) u kabotków nie noszą; wykroj szyjowy oblamowują się po prostu białą lub kolorową sznurką (wstążeczką, tasienką). Na kabotek wkłada się żywotek; jest to do minimum sprowadzony gorset. Żywotek bywa najczęściej aksamitny, barwy aramantowej, z tyłu suto złotem naszywany. Z przodu stanowi on tylko wązki pas nad spódnicą; z tyłu jest nieco szerszy, ma w środku trójkątny niby daszek, ozdobiony pięciu prostopadłemi naszytymi złotem; trójkącik ten nazywa się szczytek. Po obu stronach szczytka idą w górę na ramiona i z przodu łączą się z pasem szelki, zwane oplecki lub naramięczka, z tegoż materiału, co żywotek, również złotem sztykowane (haftowane). Żywotek przeto składa się z paska, szczytka i dwóch oplecków czyli naramięczek. Krótka bardzo zbiyrano (fałdowana), więc szeroko odstająca wełniówka lub prostka (spódnica) pokrywa kobietę od pasa do nieco niżej kolan. Wełniówka jest z materji wełnianej delikatniejszej, a prostka z grubszej; obie bywają barw przeróżnych; kole spodu (u dołu) obszyte są galonką (galonem),

albo paskiem, koniecznie innej barwy; wełniówki miewają podkładkę (podszyście) z futerbachetu (barchanu). Pod wełniówką nosi się jedna lub więcej krochmalnych spodnic. U żywotka bywają hoczki strzybne (srebrne); dawniej bogatsze kobiety opasywały się lajcuchem (łańcuchem) strzybnym, długim, opasującym do 15 razy kibić; z lajcucha tego spadały naokoło srebrne, czasem złote sznurczki. Fortuch bywa różnych barw, kartonowy (perkalikowy), batystowy, rypsowy, barysowy (to znaczy wełniany, z takową wełną ostrawnej [szorstkiej] wełny), czasem jedbowny (jedwabny) lub sztofowy (z tkaniny byle jakiej). Pończochy noszą przeróżnej barwy. Na nie oblykają się (wkładają) butki lub strzewiki. Każda mężatka musi nosić czepiec, sporządzony siatkową robotą, z grubych nici bawełnianych. Na czepiec wkłada się szatka (chusteczka) kolorowa, zwykle jedbowno, związana gładko z przodku; końce wiszą w zadku (ztyłu). Z pod szatki u dziewcząt spuszcza się na plecy warkocz, zwykle jeden, zakończony kokardą ze sznurki (wstążki; wstążkę rzadziej zwą *bandlą*). W zimie na kabotek wkłada się haccka (duża chusta wełniana), albo szpencer (ryc. 4) lub jakła watawana, albo też kozuch, który kobieta „da oblyc do sukna ciemnomodrego albo piernikastego“. Kabotek spięty pod szyją szpendlikami albo szpinkami. Uszy zdobią oryngłami (kołczykami).

Jan Korłowicz.

³⁾ **Strój jabłnkowski męski.** — Mężczyźni, Jackami zwani, nosili na nogach buty z wysokimi cholewami (ryc. 9). Spodnie, zwane nogawicami, kroju takiego jak góralskie, a więc z dwoma rozporami (laccami), uszyte były z sukna granatowego. Lacciki obszyte były

tasiemką. Przytrzymywane były spodnie szerokim skórzanym pasem, wiśniowego koloru, dwukrotnie opasującym biodra i widocznym z pod kamizelki. Kamizelka, również ze sukna granatowego, jak i surdut, zwana *bruclikiem* albo *kamiżołą*, zapinana była tuż pod szyją na srebrne guziki. Guzików było dwanaście, kształtu i wielkości orzecha laskowego z wrębami. Surdut, zwany *mentyczką*, podszyty był białym barankowem futerkiem, a obramowany koło szyi, na przedzie i koło spodu czarnem futerkiem, również barankowem. Na przedzie były dwa rzędy guzików srebrnych, po prawej stronie pięć mniejszych, a po lewej sześć większych, kształtem podobnych do guzików na kamizelce, tylko wielkości włoskiego orzecha, a ozdobionych na końcu granatem. Guziki były rozmieszczone na jednej i drugiej stronie nie na tej samej wysokości, lecz naprzemian. Po między guzikami, na obydwu stronach, były przymocowane na odpowiednio cyzelowanych blaszkach srebrnych łańcuszki, również srebrne, przypominające *hoczki* z łańcuszkami przy *żywotku* u cieszyńskim. Łańcuszki służyły bardziej do ozdoby *mentyczki*, aniżeli do jej zapinania. *Mentyczkę* bowiem rzadko zapinano. Przeważnie noszono ją rozpiętą. Pod szyją na *mentyczce* znajdowała się *brooszka*. Do upiększenia stroju przyczyniał się t. zw. *orpant*. Była to ozdoba z łańcuszków srebrnych, ze sobą połączonych, a przymocowanych na barkach do specjalnych blaszek. Na piersiach spinany był *orpant* zapomocą odpowiedniej broszki, do której przymocowywano często jakiś pamiątkowy medal. Nakryciem głowy była aksamitna czapka, zwana *żarnami* lub *aksamitką*. Do podstawy czapki przytwierdzone było futerko lisie, okalające ją szczelnie dookoła. Futerko było ztyłu wyższe i lekko zwężało się ku przodowi, tworząc tutaj wycięcie, przez które oglą-

dać można było część przednią i wierzch aksamitnej czapki. Wierzch ten zdobiła żółta, nakrzyż przyszyta tasiemka, zwana *hortą*. Na skrzyżowaniu tasiemek przyszyty był zielony kutas, a na przedzie czapki lśniła się *brooszka*, zwana także *szpinką*, wykładana sztucznymi brylantami. Uzupełnieniem niejako stroju była laska, zakończona gałką i zaopatrzona w rzemyk do przytrzymywania, lub łańcuszek z medaljonem.

Strój jabłonkowski żeński. — Okrycie nóg stanowiły trzewiki czarne zamiszowe i pończochy białe lub czerwone. Czarna suknia, bez *żywotka*, była połańdowana, przyczem fałdy w tyle dzieliły się i kierowały ku przodowi. Spód sukni obszyty był szeroką, złotą *hortą*. Biała bluzka, t. zw. *koszulka*, bardzo obszerna, z długimi, bufiastymi rękawami, zakończonemi wyszywanemi mankietkami, ozdobiona była na przedzie i koło szyi koronkami. Pod szyją spinano *koszulkę* dużą *brooszka*. Fartuch, z lekkiej białej materji, zdobiony był u spodu kilku poziomymi sprasowanemi fałdami, t. zw. *ramami*. Gorset, podobny bardzo do *żywotka* cieszyńskiego, ale nieprzyszyty do sukni, zaopatrzony był w t. zw. *hoczki*, spięte ze sobą srebrnemi łańcuszkami. Srebrny pas uzupełniał ozdoby stroju. Panny chodziły z włosami gładko uczesanemi i przedziałem przez środek głowy; wstążki nosiły bardzo długie, bo sięgające do końca sukni. Mężatki natomiast okrywały głowę dużą, białą, ręcznie na brzegach wyszywaną chustą, t. zw. *drakiem*. Wiązano ją w ten sposób, że w tyle na szyi związywano dwa końce i spuszczano je naprzód na barki, zaś dwa inne końce spadały wtył poniżej pasa.

Paweł Bocek.



4) Literatura.

Adamus Alois: O krojích na Těšínsku. Černá země I, (1924—5), 19—23. Z 2 barwnemi ilustracjami, przedstawiającemi „lidový kraj z okolí Těšína okolo r. 1840“.

Dobrowolska Agnieszka: Żywotek cieszyński. Ze studjów nad strojem i haftem ludowym. Katowice MCM. Nakładem Muzeum Śląskiego w Katowicach. 4-ka, str. 38 + 2 ulb. + XLII tablic + mapka zasięgu żywotka cieszyńskiego (rys. inż. A. Czudek). Kraków, druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie, klisze siatkowe wykonała „Fotochemja“, rotogrąwjury Drukarnia Narodowa. (Wydawnictwa Muzeum Śląskiego w Katowicach, dział I, tom II). W tekście 10 ilustracyj. — Rec.: Małkowski Br.(onisław), Zanie Śląskie, 1931, 128. Zob. również odpowiedź A. Dobrowolskiej i recenzję G. Morcinka w niniejszym zeszycie.

Dobrowolski Tadeusz, dr., konserwator okręgowy: Muzeum Śląskie. Oddział Sztuki, Muzeum Śląskie, zabytki sztuki i przemysłu ludowego w województwie Śląskiem. Województwo Śląskie (1918—1928), Katowice 1929, 289—294.

Dobrowolski Tadeusz: Tradycje wołoskie w kulturze artystycznej górali Śląskich na podstawie zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach i Muzeum Miejskiego w Cieszynie. Zanie Śląskie, 1931, 89 i nast. Z ilustracjami.

Farnik Wł.: Stroje ludowe w Cieszyńskiem. Notatki i fotografie dostarczone przez... Polonia, Katowice, dnia 10 maja 1925, nr. 127, str. 11. Z 4 obrazkami.

Galicz Jan, dr.: Strój ludności w Księstwie Cieszyńskiem. Rozdział 7 w ogólniej części „Przewodnika po Beskidzie Śląskim“, wydanego w Cieszynie, 1931, str. 12—19. Z ilustracjami.

Hoff Bogumił: Lud cieszyński, jego właściwości i siedziby. Obraz etnograficzny skreślił ... Serja I. Górale Beskidów Zachodnich. Tom I. Początki Wisły i Wiślanie. Warszawa, M. Arct, 1888. 4-ka, str. IV + 74. Z 2 tablicami barwnemi, przedstawiającemi górali wiślańskich w strojach letnich i zimowych.

Jastrzembski H.: Ubiory Śląskie z lat 1840—1848. 13 pocztówek kolorowych, według akwareli, znajdujących się w Muzeum Miejskiem w Cieszynie. Nakładem Edwarda Feitzingera w Cieszynie.

Karłowicz Jan: Szlązaczka z pod Cieszyna. Wisła, VI (1892), str. 491—492. Z chromolitografią barwną Bogumiła Hoffa. Przedruk ukazuje się w niniejszym zeszycie.

Kobiela Ludwik: Stosunek folkloru Śląskiego do ogólnopolskiego. Księga o Śląsku, wydana z okazji jubileuszu „Zniza“, Cieszyn, 1929 142—154.

Kulisiewicz Franciszek: Polacy w Czechosłowacji. Zarys informacyjny. Frysztat, 1929. Str. 18—23. Z ilustracjami.

Langman Jerzy: [Strój Śląski w Muzeum Śląskiem w Katowicach.] Ustęp w książce dra T. Dobrowolskiego p. t.: Działalność Muzeum Śląskiego w Katowicach od chwili założenia Muzeum do końca lutego 1930 r., Katowice 1930, str. 20—22.

Łysek Jan (Obuszek J.): Strój góralski. Zanie Śląskie, I (1908), 188—190. Z tablicą, przedstawiającą rzeźbę w terakocie prof. Jana Raszki. Rzeźba (Bacza

Kantor z Kozubowej) znajduje się w Muzeum Etnograficznym w Krakowie.

Macoszek Antoni, ks.: Strój ludności w Księstwie Cieszyńskim. Rozdział X w „Przewodniku po Śląsku Cieszyńskim wraz z opisem topograficzno-etnograficznym“, wydanym we Lwowie, 1901, str. 93—99. Z ilustracjami

Malinowski Lucjan: Zarysy życia ludowego na Szląsku. Odbitka z „Ateneum“. Warszawa 1887. Str. 46—48.

Tenże: Listy z podróży etnograficznej po Szląsku. „Na dziś“, I, 289 i nast.

Małkowski Bronisław: Zdobnictwo śląskie. Tęcza, III, 14. Z ilustracjami.

Otto Leopold, ks. dr.: Okolice Cieszyna. Wyjątek z obszerniejszej monografii Cieszyna. Wisła, księga zbiorowa ku uczczeniu 25-letniej pracy na polu dziennikarskim Pawła Stalmacha. Kraków 1873, 328.

Pillati G.(ustaw): Cieszyńskie. Dwa fryzy ludowe. Nakł. Domu Wyd. A. Chlebowski (p. f. „Świt“), Warszawa. Dwa arkusze 80 × 30 cm. — Zobacz: Makosińska Jadwiga, Etnografja Polski w nauczaniu geografji, objaśniona na fryzach ludowych Pillatiego, Lwów 1931, str. 74—75.

Sawicki Ludomir: Wędrówki pasterkie w Karpatach. Kraków, 1919. Odbitka z Materiałów antrop. arch. i etnogr., t. XIV, dz. III. Szałaśnictwo na Śląsku Cieszyńskim, 57—103.

Sláma Franz: Slavisches Volksleben. Mähren und Schlesien in Wort und Bild, 583—604. Z ilustracjami i tablicą barwną.

Sláma Frant., dr.: Kroj Valachů na Těšínsku. — Babka a děvucha. — Valaši, Laši, Goralé a „po frydecku“. — Chłopi. Rozdział XXVI książki: Vlastenecké putování po Slezsku. Obrazy národopisné, historické a kulturní z Rakouského a Pruského Slezska. Praha. Str. 180 i nast. Z ilustracjami.

Sláma Franz, Dr.: Volkstypen und Volkstrachten aus Teschens Umgebung. Rozdział VII książki: Oesterreichisch Schlesien. Landschafts-, Geschichts- und Culturbilder. Prag, 1887, 81—87. Z ilustracjami.

Stroje cieszyńskie. Tygodnik ilustrowany, 1897.

O stroju śląskim. Posel Ewangelicki, 1926, 41.

Świdorski Zdzisław: Wieś Wisła. Szkic z wędrówki po Śląsku, w r. 1885 odbytej. Kraków 1889. Str. 6—7, 15—16, 33.

Udziała Seweryn: Pasy wieśniaków polskich, używane w południowej części Małopolski i na Śląsku Cieszyńskim. Lud, 1925, 104—127. Z ilustracjami.

Vyhlídal, P. Jan: O kroji na Těšínsku. Věstník Matice Opavské, 5 (1895), 19—22.

Zestawił Ludwik Brożek.

Pierwsze czasopismo polskie na Śląsku.

W bibliotece zboru ewangelickiego w Cieszynie znajduje się między wieloma cennymi dziełami, „Tygodnik Polski, Pismo czasowe, poświęcone Włościanom. Rok pierwszy. W Pszczynie, nakładem i drukiem C. Schemmela 1845“, wspomniany w II Roczniku Towarzystwa Przyjaciół nauk na Śląsku (w art. p. t. „Zbiory cieszyńskie“).

Wówczas znałem to czasopismo tylko z inwentarza biblioteki, obecnie mam je w rękach i mogę mu poświęcić parę słów, na które zasługuje w zupełności.

Zeszyt pierwszy (Nr. 1, Rok I) nosi datę: dnia 5 lipca 1845. Zawiera wstęp pióra samego redaktora, którym był C. (Chrystjan-Krystjan) Schemmel¹⁾.

Podaje w nim autor przyczyny wydawania czasopisma. „Stan Edukacji wieśniaków polskich — czytamy tam — zwłaszcza w Górnym Szląsku, znajduje się, jak to powszechnie z uzaleniem wyrzeczono, na bardzo niskim stopniu. Wszelka troskliwość zwrócona na szkoły ich nie przyniosła przecie pożytku takiego, jak u ludności niemieckiej na Szląsku. Przyczyna tego, jak się zdaje, zależy szczególniej na tem, że wiejska młodzież polska, wychodząc ze szkoły, nie ma okazji, wiadomości swych w szkole nabytych stwierdzić i udoskonalić. Zbywa im, jak i w ogóle wieśniakom polskim, wcale na takich pismach w języku ich ojczystym, w których by czytać mogli i wiadomości swe zbogacić.

¹⁾ Kim był ów Schemmel, o tem się nie dowiadujemy z tego zeszytu, gdyż w nim tylko wstęp jest pióra redaktora, nigdzie indziej niema jego podpisu ani objaśnienia, kim był. P. J. Wantała, który o „Tygodniku“ pisze w „Rolniku Śląskim“ z dnia 20. IX. b. r. w art. p. t.: Z pszczyńskiego pisma włościańskiego z r. 1845,

Wielokrotnie już nie tylko nad tą rzeczą narzekano publicznie, lecz też i nad zaniedbywaniem języka polskiego i literatury w Górnym Szląsku.

Mając więc zamiar szczerzy przyczynić się do tego, aby cokolwiek zaradzić wiele znaczącej tej niedogodności, postanowiłem w „mej nowo założonej drukarni“ wydać tygodnik, dostępny pospolitemu pojęciu, pod tytułem owym.

Wielebne dozwoleństwo Policji krajowej do tego przedsięwzięcia potrzebne, już mię także doszło.

Treść tego tygodnika obejmować będzie: 1. Rozprawy krótkie, a) o rolnictwie we wszelkich swych oddziałach, b) o hodowaniu bydła, pszczoł, drzew owocowych, c) z nauki naturalnej (fizyki), d) z Kosmografji (znajomości świata), e) z Technologii, f) o gospodarstwie; 2. Nauki, przestrogi i powieści z życia praktycznego, 3. Korrespondencye, a 4. Oznajmienia i obwieszczenia.

Z Polityki albo religijnych okoliczności, treść tego pisma obejmować nic nie będzie.

Ma ono raczej wspólnie korzystnymi nauczającymi rozprawami swemi polskim wieśniakom i polskiej młodzieży doradcą i źródłem się stać, z którego wiadomości swe zbogacać i wyższy stopień edukacji swej dostąpić mogą.

Lecz też tygodnik ten ma być oraz zastępcą dla tych, którzy pracują nad oświe-

nazywa go nauczycielem szkoły ludowej ewangelickiej w Katowicach. Wzmiankę o nim czyni również ks. K. Banzel w artykule swoim „Z przeszłości ewangelickiego życia religijnego i umysłowego na Górnym Szląsku“. Przyjaciół domu, kalendarz dla ewangelików na rok zwyczajny 1922, str. 45. Łódź, Z. Manitius.

ceniem ludu prusko-polskiego i którzy się udoskonaleniem języka polskiego interesują.

Więc ośmielam się, prozbę zanosić do wszystkich J. W. Xsięży, Nauczycielów i przyjaciół narodu prusko-polskiego: przychylić się o rozszerzenie tego Tygodnika i pisma stosujące się do niego przysyłać mi.

Także i rozprawy w języku niemieckim przyjęte będą i do polskiego się przetłumaczą.

Dla tych, którzy pismami swemi wspierać mię będą i tym sposobem współuczestnikami dzieła tego stać się chcą, zastąpię ja sam pocztowe za korespondencye i zezwolę im także na inne jeszcze korzyści. Redaktor C. Schemmel.²⁾

Wstęp określa cel założenia czasopisma i jego program. Ma nim być szerzenie oświaty wśród ludności polskiej Śląska przez podawanie jej wiadomości z dziedziny gospodarczej i naukowej. Sprawy polityczne autor wykluczył, co się w owych czasach rozumiało samo przez się, a także nie miał poruszać spraw religijnych, ponieważ pismo wydawał dla Polaków katolickich i ewangelickich, jednych i drugich chciał mieć za odbiorców i czytelników. Niebezpieczną było zresztą rzeczą na terenie Śląska Górnego o te sprawy zaczepiać.

Programu wydawca dotrzymał, o ile chodzi o treść. W 26 numerach, które wyszły w czasie od 5 lipca do 27 grudnia 1845, są artykuły o rolnictwie, o hodowaniu bydła, pszczół, drzew owocowych, z fizyki (n. p. Z kąd pochodzi grad), z historii naturalnej, kosmografji (n. p. O ziemi i jej mieszkańcach), geografji, technologi, gospodarstwa, potem przychodzą: Rozmaitości, oznajmienia i obwieszczenia, do których redaktor zaliczył także „Rys geografji Szląska“.

Współpracownikami Schemmla byli Karol Kotschy, pastor z Ustronia, który napisał cały szereg artykułów o drzewach owocowych, ks. Jan Dzierżoń, proboszcz

²⁾ Wstęp ten podaje też w całości p. Wantuła.

katolicki w Karłowicach, sławny hodowca pszczół i znawca ich sposobu życia (pisze o nim „Czas“ w numerze z 30 X. 1931 w art. p. t. „W 25 rocznicę zgonu“) w artykułach: O hodowaniu pszczół, głównym jednak współpracownikiem był J. Lompa, nauczyciel elementarny katolicki w Lubczy, w powiecie lublinieckim. Ten zasilal czasopismo stale swojemi artykułami, które były albo tłumaczeniami poezyj niemieckich lub prozy, albo oryginalnemi utworami Lompy jak artykuły o gospodarstwie. On też powitał Tygodnik z wielką radością i nie szczędził słów zachęty dla pozyskania prenumeratorów i poparcia pisma. W art. p. t. „Kilka myśli o „Tygodniku polsk.“, w Pszczynie wychodzącym,“ pisze: „Przed dawnymi czasy wychodziło na Szląsku w języku polskim czasopismo dla ludu wiejsk. poświęcone, którego bieg z niewiadomych okoliczności wstrzymany został. Następnie nastal Dziennik Regencyjny z obocznym przekładem w języku polskim drukowany, w którym podawano dla ludu w tejsze mowie wiadomości potrzebne. Wieśniacy przeto pozbawieni dotąd byli zabawy umysłowej i sposobu rozwijania swych wewnętrznych uczuć.

Staranie się atoli jednego z uczonych w Górnym Szląsku o dobro powszechne ludzi mianowicie wiejskich, dziś w zaniedbaniu będących, uwieńczyło skutkiem, że za zezwoleniem Wysokich Władz Rządu kraj. wychodzi pismo peryod. w Pszczynie pod tytułem: „Tygodnik polski“. Długie zatem i błogie moje oczekiwanie ziszczone zostało! — Jakże cię przeto mam przywitać? — ileżby mi wyrazów użyć potrzeba, któremibym był w możności określić użytek tego pisma i ocenić jego wartość? — Rodacy moi! nieście mu wspólne ze mną najserdeczniejsze pozdrowienia! Jest ono ranną jutrzenką i zwiastunem dalszej przyszłości do oświaty naszego ludu wiejskiego — ziarnem, które utrzymując w sobie użyteczny zaród, potrzebuje tylko upłodniającej ziemi, aby w nią wrzucone błogi plon wydało. — Do was to, współmieszkańcy

wiejszy przemawiam, — pismo: Tygodnik polski jest owem ziarnem, a wy tą rolę. Życie mu przeto długiego bytu, a przy waszej staranności i oszczędzeniu małych tylko niepotrzebnych wydatków zapewno z pochwalać dla siebie a z użytkiem dla was utrzymywany być będzie mógł.“ W dalszym ciągu artykułu apeluje L. do duchowieństwa i nauczycielstwa o poparcie dla pisma.

Tak założyciel czasopisma jak i jego współpracownicy, przedewszystkiem Lompa (obok Józefa Lompy przychodzi Feliks Lompa, niewiadomo w jakim stosunku do tamtego zostający) byli Polakami, oczywiście jak na ówczesne stosunki, co jest widoczne z programu pisma i ze sposobu jego prowadzenia. Skrętnie też przytaczane są w piśmie wszelkie wiadomości o wydawnictwach polskich, pojawiających się w innych częściach Polski. „Oto w Gliwizach wydał księgarz Kalles „Historję o pięknej i ślachetnej Meluzynie, w tłumaczeniu z niemieckiego J. Lompy.“ Dalej zapowiedź, że „w drukarni Tygodnika polskiego w Pszczynie wynijdzie z pod prasy dziełko nader zabawnej i moralnej treści p. t. Chłopiec niewidomy, Powieść dla dzieci i ich przyjaciół przez G. Nieritza“ w tłumaczeniu znowu J. Lompy. „W Lublińcu, nakładem i drukiem Jul. Plessnera wyszło w tych dniach dziełko: „Krótki rys Jeografji Szląskiej dla nauki początkowej. Ułożył J. Lompa. Z mapką kolorowaną kraju Szląskiego. Trzy arkusze druku. Książeczkę tę zamówić można u Redakcyi Tygodnika i u P. Pocztmistrza Kietlińskiego w Rybniku“. Ten Kietliński przychodzi też między współpracownikami „Tygodnika“. W Lublińcu, nakładem i drukiem J. Plessnera wyszło w tych dniach dziełko: Pielgrzym w Lubopolu czyli nauki wiejskie, szczególnie dla ludu Szląskiego zastosowane. Przez J. Lompę“ „Mały Górnik, czyli poczciwość trwa najdłużej. Powieść zabawnej i naukowej treści przez Gustawa Nieritza z niemieckiego tłumaczona przez J. Lompę“. „Zbiór wierszy,

które częścią z niemieckiego tłumaczył, częścią sam ułożył nauczyciel elementarny J. Lompa. W 3 zeszytach“. „Wzory Kalligraficzne polskie dla szkół elementarnych, ułożone przez J. Lompę“. Nabyć można tam, gdzie poprzednio. Na str. 76 notatka: „Uwiedomienie dla nauczycieli i rodziców ewangelickich. W roku bieżącym wyszło w Królewc, nakładem J. H. Bona dziełko nader pożyteczne i potrzebne p. t. Przyjaciół młodzieży. Książka naukowa dla szkół narodowych ułożona przez Preussa i Vettera. Z niemieckiego na język polski przełożona przez Mowitza, Kandydata urzędu kaznodziejskiego, a do druku przygotowana przez kilku szanownych znawców polszczyzny. Książka ta jest drukowana czcionkami niemieckimi, czyli tak zwanym drukiem Brzeskim, z przyczyną, że kancyonały i Biblie ewangelickie w takim druku są wydawane, a lud po większej części takowy tylko czytać potrafi“. Str. 88. Uwiedomienie literackie (to jest tyżące się handlu księgami). W Grudziądzu i Brodnicy, nakładem i drukiem Röthe, wyszła książka nader pożyteczna, której i w Szląskich księgarniach nabyć można pt.: „Wojciech Chętkiewicz, włościanin mądry, albo: nauka jak włościanie mogą żyć swobodnie i wesoło, uczciwie do majątku i dobrego bytu przychodzić, oraz sobie i bliźnim w przygodach być pomocnym“. Wreszcie str. 100: „Kalendarz katol. dla ludu Górno-Szląskiego i Elementarz polsko-niemiecki przez Onderkę“.

Przytoczyłem te „uwiedomienia literackie“ w całości, na dowód, że redaktorowie „Tygodnika“ orjentowali się w ruchu wydawniczym polskim, szczególnie tym, który się objawiał na ziemiach polskich pod zaborem pruskim i starali się polskie wydawnictwa na Śląsku rozposzechnić.

Apel wydawcy i Lompy do duchowieństwa i nauczycielstwa nie przyniósł oczekiwanego skutku. To pierwsze pismo ludo-

we śląskie przestało wychodzić po 2 latach. Po upływie dalszych 2 lat zaczął znowu Schemmel wydawać w Pszczynie „Tygodnik Górnośląski, przyjaciel ludu“, lecz i to pismo upadło w r. 1852, gdy Schemmel został mianowany starostą w Oleśnie i opuścił Pszczynę.³⁾

Ziarno rzucone przez redaktorów „Tygodnika“ nie poszło jednak na marne. Ruch narodowy zaczął się budzić na Śląsku. Ażeby go stłumić, postanowili, zaniepokojeni nim niemieccy właściciele wielkich posiadłości i przemysłowcy, wydać pismo dla ludu, ale w duchu całkiem innym redagowane. Dnia 3 października 1872 wyszedł — znowu w Pszczynie —

³⁾ Wiadomości te wzięłem z art. ks. Banszla.

pierwszy numer „Szlązaka“, Pisma poświęconego zabawie i wiadomościom politycznym. Redaktorem odpowiedzialnym i nakładcą był Jan Noras. Ale i to pismo nie utrzymało się długo. W r. 1879 przestało wychodzić, gdyż ci, którzy na nie łżyli, nie mieli więcej ochoty płacić.⁴⁾

Analogiczne stosunki narodowościowe i polityczne na Śląsku Cieszyńskim dały powód do powstania podobnych wydawnictw: Tygodnika w r. 1848, dla uświadamiania ludu polskiego i później „Szlązaka“ dla zwalczania ruchu narodowego.

⁴⁾ Mówił o tem piśmie na zebraniu Tow. historycznego śląskiego p. Musioł, prof. w Pszczynie.

WIKTOR KARGER.

Nieznany portret Jerzego Trzanowskiego (Tranosciusa), zwanego „słowiańskim“ Lutrem¹⁾.

Przyczynek do śląskiej ikonografji.

Wśród wybitnych Ślązaków, którym Szersznik w swoich „Wiadomościach o pisarzach i artystach z Księstwa Cieszyńskiego“ wystawił trwałe pomniki, pierwsze miejsce niewątpliwie należy się ewangelickiemu teologowi z Cieszyna i natchnionemu poecie religijnemu, ks. Jerzemu Trzanowskiemu²⁾. Działalność jego jako kazno-

¹⁾ Pozwolenie na reprodukcję ekslibrisu zawdzięczam urzędowi parafjalnemu zboru ewangelickiego w Cieszynie oraz p. sekretarzowi Kiszy. Za przyjacielską usługę przy niniejszej pracy dziękuję również pp.: naucz. Cebacauerowi, proboszczowi ks. J. Gerikowi, J. Olszarowi, fotografowi J. Kubiszowi i L. Brożkowi.

²⁾ Leopold Scherschnik: Nachrichten von Schriftstellern und Künstlern aus dem Teschner Fürstenthum. Teschen, 1810. — Zob. także biograficzne dane w książce G. Biermanna: Geschichte

des Protestantismus in Oesterr. Schlesien (1897), dalej ks. Jana Mocki: Život Jura Tranovského, Senice, 1891, tegoż samego autora: Historia posvatnej piesne slovenskej w Cirkevnych Listach, XXI, oraz ks. Fr. Buchwaldka: Jerzy Trzanowski, Cieszyn, 1922.

podpisywał, urodził się w 1591 r. w Cieszynie na Starym Targu³⁾, jako syn kowala, którego przodkowie swe nazwisko rodowe zawdzięczali pochodzeniu z Trzanowic, wsi położonej niedaleko Cieszyna. Po ukończeniu szkół w rodzinnym mieście udał się zdolny chłopak, licząc lat dwanaście, do gimnazjum w Gubinie na Dolnych Łużycach, a w rok później do słynnego liceum w Kołobrzegu na Pomorzu. Mając zaledwie lat szesnaście, poszedł na wydział teologiczny uniwersytetu w Wittenberdze i ukończył go prawdopodobnie w 1612 r. Następny rok spędza jako nauczyciel w domu Adama z Szwambergu w Trzeboniu w Czechach⁴⁾. Potem, przez jeden rok, spotykamy go w Pradze, jako nauczyciela w gimnazjum św. Mikołaja, a później jako rektora szkoły w Holeszowie na Morawach. Po ordynacji swej w Oleśnicy, w r. 1616, powołany został przez Dytrycha z Zerocina na stanowisko pastora do Wałaskiego Międzyrzecza. Tutaj powstał jego czeski przekład konfesji augsburskiej, dedykowanej burmistrzowi i radzie miejskiej Cieszyna (1620).

Następstwa polityczne bitwy pod Białą Górą zmusiły Trzanowskiego zrazu tylko do chwilowego opuszczenia Wałaskiego Międzyrzecza, a w 1625 r. do zupełnego usunięcia się z zajmowanego stanowiska. Schronienie znalazł u barona Jana Sunnegka, który powołał go na stanowisko kaznodziei niemieckiego przy kościele św. Mikołaja w Bielsku. Lecz i to miejsce już po dwu latach musiał wraz ze swym dobrodziejem opuścić. Udał się wtedy na Węgry, gdzie hrabia Illeszhazy przyjął go, jako nadwornego kaznodzieję na swoim

³⁾ Dom rodzinny Trzanowskiego stał, według jego własnych słów w „*Odorum Sacrarum*“, „obok domu, który jednym węglem graniczył z browarem“, a więc na miejscu, gdzie dziś stoi dom przy Starym Targu, l. 1, dawniej 207.

⁴⁾ Według badań Fr. Mareša w *Časop. musea kr. Čes.*, r. 82, i *Jahrb. d. Ges. f. d. Gesch. d. Protest. in Oesterr.*, r. 30.

zamku orawskim. Tutaj, jakby na wyznańczej jego wyspie Patmos, powstaje zbiór łacińskich hymnów „*Odorum Sacrarum*“, drukowany w Brzegu w r. 1629, który Trzanowskiemu, jako człowiekowi uczonemu i doświadczonemu, przynosi sławę i rozgłos. W 1631 r. zbor ewangelicki w Św. Mikołaju Liptowskim wybrał go jednomyślnie proboszczem. Na tem stanowisku spędził Trzanowski w spokoju i pracy swoje ostatnie sześć lat życia. Tutaj powstają jego słowackie pisma, mianowicie zbiór modlitw „*Phiala odoramentorum*“, oraz wydany w r. 1636 sławny kancjonał, będący zbiorem tłumaczeń pieśni Lutra i Braci czeskich, oraz własnych utworów. Pismom tym zawdzięcza Trzanowski swoje trwałe stanowisko w literaturze słowackiej⁵⁾. Tutaj też, w Św. Mikołaju, umarł dnia 29 maja 1637 r. w czterdziestym szóstym roku swego życia.

Grobu Trzanowskiego nie znamy i żaden pomnik nie przekazuje nam jego rysów. Wynika więc z tego, jak o tem mówi jego biograf, ks. Jan Mocko w swej doskonałej o nim książce (str. 87), „że nigdy chyba wielbiciele Trzanowskiego nie zaspokoją swego pragnienia, by oglądać jego prawdziwy portret. Takowy bowiem nie istnieje“. W „*Kalendarzach Trzanowskiego*“, wychodzących gdzieś już od 30 lat w wielkim zborze słowackim, w którym Trzanowski kiedyś pastorował, ozdobionych pięknie portretami Lutra i Melanchtona, Husa i Komeńskiego, brakuje najważniejszego obrazu, mianowicie wizerunku Trzanowskiego. A jednak portret taki istnieje. Dłużej niż dwa wieki ukryty był w starej książce, znajdującej się w bibliotece Zboru Ewangelickiego w Cieszynie, gdzie znaleziono go dopiero w jesieni 1928 r. Odkrycie to zawdzięczamy p. Janowi Olsza-

⁵⁾ J. Fischer: *Über Sammlungen von böhm. geistl. Liedern im Herzogtum Teschen. Teschen, 1865.*

rowi⁶⁾), który z polecenia prezbiterstwa cieszyńskiego porządkował bogate, niewykorzystane jeszcze przez uczonych zbiory starej biblioteki im. Tschamera. W postyli witemberskiego teologa Aegidiusa Hunniu-

nowskiego z minjaturowym portretem. Znajduje się on na wewnętrznej stronie okładki, nalepiony na połowie wszytego przez introligatora przy oprawie arkusza podwójnego. Na drugiej, nieprzyklepionej



10. Karta dedykacyjna z ekslibrisem Jerzego Trzanowskiego. Drzeworyt, pochodzący prawdopodobnie z r. 1612.

sa, drukowanej w Magdeburgu w 1600 r. (sygn. 1162)⁷⁾, znalazł on ekslibris Trza-

karcie tego samego arkusza, stanowiącej pierwszą jakby kartę książki, znajdujemy

⁶⁾ P. Jan Olszar jest obecnie rewerendarzem gminy ewang. w Inglis, Man. Canada.

⁷⁾ Tom oprawiony w drewniane okładki, pokryte gładką świńską skórą, który — jak o tem informują, najstarsze spisy inwentarza — już w w.

XVIII podarowany został bibliotece przez barona G. Fryderyka Błudowskiego. Jest to jedyny w dobrym stanie dochowany egzemplarz, o którym wiemy, że był własnością Trzanowskiego.

własnoręczne pismo Trzanowskiego, mianowicie jego dewizę „CALIX DOMINI SALUTARIS“ z łacińskim wierszem, oraz podpis: „Georgius Tranosci Teschinio — Silesius hujus Possessor Ao 1612 Calend. Jun. Scripsi“. Z powyższego wynika, że postyla ta była niewątpliwie w posiadaniu głośnego pieśniarza, a równocześnie dowiadujemy się ważnych danych o czasie, z którego pochodzi obrazek. Ekslibris sam jest

ris drukowany był u Andrzeja Seydnera. Drzeworyt przedstawia się jako bogaty i ciekawy układ figuralny: kielich, z którego wyrastają podłużny wieniec i dwie róże, otoczony rozwiniętą wstęgą z napisem *Georgius Tranosci*, a wyżej dwie postacie aniołów, trzymające tablicę z dedykacją *Calix Domini Salutaris*. Pod stopą kielicha widzimy mały medaljon z portretem, w kątach zaś u dołu drzeworytu postacie



11. Portret Jerzego Trzanowskiego. (Powiększony wizerunek z ekslibrisu.)

drzeworytem, wielkości 50 × 60 mm, umieszczonym wśród drukowanej dedykacji do Lutra, zaś całość obramowana jest szeroką bordjurą-metalorytem (r. 10). Bordjura ta jest o tyle ważna, że tłumaczy nam pochodzenie ekslibrisu. Szczegółowe bowiem porównanie wykazało, że złożona jest z takich samych elementów zdobniczych, jakich użyto w karcie tytułowej książki, drukowanej w Magdeburgu w r. 1600 u Andrzeja Seydnera. Okoliczność ta pozwala nam wnioskować, że i sam ekslib-

ris Joba i Łazarza, a u góry symboliczne przedstawienie Św. Trójcy. Przypatrzymy się bliżej owemu medaljonowi. Przedstawia on popiersie młodego mężczyzny z długimi włosami, krótką bródką i szerokim przekładanym kołnierzem, oraz obliczem, zwróconem w lewo. Portret ten przedstawia niewątpliwie Jerzego Trzanowskiego (ryc. 11). Z daty w rękopiśmiennej notatce na pierwszej karcie postyli wynika, że Trzanowski w chwili, gdy posiadał książkę z ekslibrisem, li-

czył dwudziesty pierwszy rok życia. Postylę Hunniusa, główne dzieło głośnego dogmatyka witemberskiego, nabył Trzanowski krótko przed opuszczeniem uniwersytetu lub niedługo potem, i ozdobił ją natychmiast swym ekslibrisem. Projekt tego ostatniego, o charakterze alegoryczno-biblijnym, wyszedł z pewnością od samego Trzanowskiego, a prawdopodobnie i rysunek do swego własnego portretu w drzeworycie on sporządził, o czym wnioskować można z ustawienia się postaci, zwróconej trochę w lewo profilem, a więc w sposób oglądany na autoportretach. Drzeworytnik ekslibrisu jest nieznany. Użycie tego samego stempla zdobniczego w bordjurze ekslibrisu i karcie tytułowej postyli, pozwala nam jednak wnioskować, że i drzeworytnik ekslibrisu pochodzi również z oficyny magdeburskiego drukarza Seydnera. O miejscowych drukarzach i rytownikach informują badania archiwariusza miasta Magdeburga, dra Neubauera, z których wynika, że w latach 1600—1626 znany był w Magdeburgu tylko jeden jedyny portrecista, Wilhelm Pfuhll⁷⁾. W. Pfuhlla mogliśmy więc uważać za drzeworytnika, który wykonał portret Trzanowskiego w jego ekslibrisie, w tym jednak tylko wypadku, gdyby tenże nie powstał w Wittenberdze. Użycie własnego wizerunku w ekslibrisie nie jest w czasach reformacji czemś nadzwyczajnym⁸⁾. Odpowiada mu podobizna

⁷⁾ Magdeburgs Buchdruck und Buchhandel bis 1631. Magdeburger Zeitung, 1906.

⁸⁾ Zob.: Leiningen — Westerbürg, Deutsche u Oesterr. Bibliothekzeichen, 1907.

autora w obrazku dedykacyjnym, tak dosadnie charakteryzująca — według Schottenlohera — wielkie znaczenia pisarza w wieku odrodzenia (Das alte Buch, str. 106). Trzanowski w młodych swych latach już dał się poznać jako autor łacińskich poezji⁹⁾ i w swej autorskiej dumie mógł sobie dać sporządzić ekslibris z własnym portretem. Wiemy, że go później zmienił, wstawiając w miejsce swego portretu wizerunek Ukrzyżowanego Chrystusa. W tej formie też zmieniony ekslibris ukazał się jako jego godło w zbiorze hymnów „Odarum Sacrarum“, drukowanym w Brzegu, w r. 1629¹⁰⁾.

W tym skromnym portrecie z ekslibrisu posiadamy więc jedyny autentyczny wizerunek Jerzego Trzanowskiego, twórcy słowackiej pieśni kościelnej, którego równocześnie uważać możemy za jednego z owych niewielu przedstawicieli słowiańskiej kultury religijnej, co Śląsk w czasach reformacji uczynili głośnym.¹¹⁾

⁹⁾ Mocko: Život..., str. 13.

¹⁰⁾ Tamże poetyczne wytłumaczenie ekslibrisu przez pszczyńskiego proboszcza Jana Hoffmanna, 1626.

¹¹⁾ Na podstawie opisanego wizerunku, wziętego z ekslibrisu Trzanowskiego, wydały Zakłady „Ebenezer“ w Dziegielowie, według obrazu Tadeusza Kubisza, portret Jerzego Trzanowskiego, ojca kościoła augsburskiego w Cieszyńskim i na Słowacziźnie, w czasie jego studjów wittenberskich w roku 1612. Pod portretem umieszczono również facsimile podpisu Trzanowskiego z owych czasów. (Przypisek redakcji.)



Józef Bożek, zapomniany wynalazca śląski.

Nasza ziemia śląska wydała sporo ludzi, którzy czynami i imieniem swem przysporzyli jej chwały. Przysłużyli się oni nietylko Śląskowi, lecz i całej ludzkości. Jedni z nich, pracując i pozostając w kraju, są dzisiaj otoczeni powszechną czcią, chociaż już dawno pomarli, — drudzy, którzy swą młodość i życie w pracy sterali poza swą Ojczyznę — gdzie zakładali swe ogniska rodzinne i warsztaty pracy, gdzie przeżywali blaski i nędze swego życia, i umierali — są przez nas poniekąd zapomniani. Naród zaś, wśród którego żyli w zależności, przywłaszczał ich jako swoich ludzi, względnie odpychał jako obcych intruzów.

Pomiędzy tych pierwszych zaliczyć należy Józefa Bożka, słynnego mechanika i wynalazcę, syna ludu polskiego na Śląsku, który działając w Pradze czeskiej, przywłaszczony został przez naród czeski i jako „genjalny Czech i czeski Stephenson“ po świecie rozreklamowany.

Z powodu uroczystości jubileuszowych na pamiątkę wybudowania pierwszej lokomotywy w r. 1829 przez Stephensona, odbyły się w r. 1929 na całym świecie akademje i odczyty poświęcone pamięci tego wielkiego Anglika, transmitowane przez rozgłośnie. Pomiędzy innymi podobny odczyt wygłoszony był w radju w Mor. Ostrawie, gdzie przy tej sposobności napomknięto o „czeskim Stephensonie“ Józefie Bożku. Ponieważ nazwisko to pochodzące od polskiego słowa Bóg nie wyglądało mi na czeskie, zainteresowałem się niem i okazało się, że dokonano tutaj — że tak powiem — kradzieży naszego człowieka, którego geniusz w dziedzinie mechaniki dorównywał a może nawet przewyższał najtęższe głowy wieku ubiegłego.

Lokomotywa nie jest wynalazkiem jednego, lecz całego legjonu mechaników.

Jerzy Stephenson.

W bielskim powiecie na polskim Śląsku, leży miejscowość Biry, należąca do parafji grodzieckiej. Tam, jak poniżej umieszczony wyciąg z metryki wykazuje, urodził się dnia 28 lutego 1782 r. pod nrem 13 Józef Bożek. Ojciec jego był młynarzem w Birach; z młyna pozostały do dnia dzisiejszego jeszcze szczątki, domek zaś zachował się w całości.

Wyciąg z księgi urodzin i chrztów urzędu parafjalnego w Grodźcu.

1782. Data urodzenia 28. II. Data chrztu 28. II. Imię i nazwisko: Józef. Rodzaj: męski. Ojciec: Bożek Mikołaj, młynarz, Biry Nr. 13. Matka: Marja z domu Duda Jan. Chrzestni rodzice: Gazda Jan, chałupnik. Ewa Gruszczyk. Imię i nazwisko księdza chrzącego: Jan Musioł, prob.

Potomkowie tych Bożków żyją jeszcze w Birach, Jaworzu i sąsiednim Grodźcu. Najstarszy z nich, siedemdziesięcioczeroletni Jan Bożek, przypomina sobie z opowiazań swego ojca, iż domek ten i młyn (ryc. 12 i 13) należały do młynarzy Bożków, w „złych i głodnych rokach“ przeszedł zaś na własność dominium grodzieckiego za „kopę główek kapusty“. Domek ten i szczątki młyna przechodziły następnie z rąk do rąk, obecnie zaś są własnością p. Białasa z Bielska.

Wspomniany Jan Bożek jest świadomy swego sławnego przodka. Był kowalem i wskutek całożyciowej pracy w swym zawodzie oślepl od gorąca ogniska kuźni i dzisiaj jest na wymowie u swego syna Franciszka, krawca w Birach.

Nie mogłem stwierdzić, gdzie nasz Bożek uczęszczał do szkoły powszechnej, jednakowoż przygotowanie z zakresu szkoły normalnej posiadać musiał, w r. 1799 wstąpił bowiem do gimnazjum w Cieszynie, gdzie zasłynął jako zdolny mechanik. Ówczesny wizytator szkół ks. Leopold Szersznik w swem dziele „Nachrichten von

Schriftstellern und Künstlern aus dem Teschner Fürstentum“ poświęca mu długą wzmiankę. Nawiasem mówiąc, pisownia nazwiska Bożka u Szersznika jest nieściśła; pisze bowiem Jan Bożik chociaż w końcowym spisie podaje znowu Józef, również data urodzenia Bożka jest mylna we wspomnianem dziełku. Ks. Leopold Szer-

zrečność długie czasy niespostrzeżoną, aż przypadkiem wyszło na jaw przez formę kunsztownie w drzewie wyciętą, którą pewnemu współpracownikowi do odlewania cynowych pieczęci wygotował. Formę tę dostałem do rąk. Uważałem ją za dzieło artysty, ale mi powiedziano, że ona została wykonaną przez studenta na-



Fot. Gustaw Morcinek.

12. Domek w Birach, w którym urodził się Józef Bożek.

sznik podaje następujące dane z czasów jego studjów gimnazjalnych

„Bożik Jan z Birów przy Skoczowie, gdzie ojciec jego Mikołaj był młynarzem, urodził się w r. 1785, rozpoczął studja gimnazjalne w r. 1799 i ukończył je w r. 1803. Jego uzdolnienie do mechaniki objawiło się już w pierwszych latach młodości. Przy pomocy kół młyńskich wywoływał celowo różne ruchy. Chociaż ojciec jego maszynerje te za każdym razem niszczył, urządzał je natychmiast na innem, mniej ojcu w oczy wpadającym miejscu. Podczas pobytu w Cieszynie pozostała ta jego

zwiskiem Bożik, który nietylko umie rzeźbić różne formy, ale umie nawet wyrabiać drewniane zegary. Kazałem mu tedy przyjść do siebie i pokazać sobie przez niego wykonany zegar, wskazujący minuty, z mechanizmem, przeznaczonym do bicia kwadransów i godzin. Praca była wzorowa, a jego odpowiedzi zdradzały przenikliwy rozum. Zachęciłem go więc do ciągłych ćwiczeń w tym fachu, dałem mu zrozumiałe zasady mechaniki do częstego czytania i zaopatrzyłem go w różne do takich prac potrzebne instrumenta. Odtąd zajmował się wykonywaniem w wol-

nych chwilach różnych modeli częścią według przedłożonych rysunków, częścią także tylko według ustnych, często niedokładnych opisów. Ponieważ słyszał wiele o praskim gabinecie artystycznym św. Klemensa, zapragnął gorąco oglądać tamże przechowywane dzieła artystyczne. Wybrał się więc w czasie wakacyj w drogę. W Ołomuńcu oglądał kunsztowny ze-

powiedział, tak uczynił. Ponieważ jednak znalazł zatrudnienie w Pradze, gdzie się jeszcze znajduje, nie zajmował się już więcej odbudowaniem tego kunsztownego dzieła. O jego zmyśle wynalazczym świadczy uderzający przykład: gdy mu przedłożono rysunek automatycznego warsztatu tkackiego, którego wewnętrzna budowa nie była całkiem jasna i domagano się od



Fot. Gustaw Morcinek.

13. Staw w Birach, położony niedaleko młyna i rodzinnego domku Bożka.

gar na ratuszu, zrozumiał wnet jego budowę i jego braki, i ofiarował się nietylko je uzupełnić, ale także nowe kunsztowne mechanizmy dołączyć, jeżeli rada miejska poniesie koszt. Po powrocie pouczyłem go w sprawie oferty i kaucji, którą musiałby złożyć w razie, gdyby mu powierzono reparaturę zegara.

„Jestem ubogi — odpowiedział na to — dlatego nie mogę dać gwarancji, ale całe w małych rozmiarach wykonane dzieło kunsztowne może owych panów przekonać, że potrafię je odbudować.“ Jak

niego wykonania według tego wzoru modelu, rozmyślał nad mechanizmem tak długo, dopóki nie udało mu się jeżeli już nie ten sam mechanizm wynaleźć, to przynajmniej inny sporządzić, który umożliwiał automat. tkanie. Gdy już model był gotowy, przeprowadził na nim kilkakrotne zmiany. Szybkość jego pojmowania była tak nadzwyczajna, że każdą najbardziej nawet skomplikowaną maszynę potrafił zbudować, jeżeli miał sposobność zobaczyć ją tylko raz, chociażby tylko przez chwilę. Tak było z maszyną do strzyżenia

sukna w Bernie, którą mógł oglądać przez kilka minut a przecież udało mu się jej mechanizm szczęśliwie odtworzyć w modelu. Liczbę w moim gabinecie znajdujących się kunsztownych mechanizmów wymienię zaraz, ale trud opisania jego późniejszych wynalazków, dokonanych w Pradze, muszę pozostawić jemu samemu, albo komuś innemu, bo jestem za bardzo oddalony i za mało mam o nich wiadomości.

1. Potrójnie złożona dźwignia.
2. Dźwignia do wydawania pali według Belidora.
3. Taran, który się sam uwalnia również według Belidora.
4. Maszyna do wydobywania korzeni według Leupolda.
5. Maszyna do wiercenia według Leupolda.
6. Suche spławianie drzewa.
7. Dyszle połowe według Delinsa.
8. Zwyczajny młyn.
9. Wałaski młyn bez kół. Kamień młyński bywa poruszany przez wodę spadającą na skrzydła umieszczone na walcu młyńskim.
10. Wiatrak.
11. Piła (tartak) poruszany przez deptanie wałów.
12. Piła poruszana rękami ludzkimi.
13. Młyn do szlifowania zwierciadeł, jaki można zobaczyć w Kinsberg koło Chebu w Czechach.
14. Wałkownia.
15. Winda do dźwigania ziemi.
16. Prasa do drukowania sztychów miedzianych.
17. Elewator.
18. Przyrząd do liczenia kroków według Biona.
19. Rzymski katapult według Lipsiusa.
20. Katapult okrętowy.
21. Katapult do rzucania.
22. Katapult na inny sposób.
23. Katapult, który oddaje usługi innym katapultom.

24. Tollo do dźwigania żołnierzy na mury miasta.

25. Automatyczny warsztat tkacki.

26. Automatyczny warsztat do wyrobu wstążek, który przez osobliwy mechanizm może być puszczony w ruch.

27. Maszyna do strzyżenia sukna.

28. Dobosz, który bębni według taktu.

29. Model ołomunieckiego zegara ratuszowego.

Ponieważ ks. Szersznik wspomina, iż modele te są w przechowaniu w jego gabinecie, obecnie w muzeum ks. Szersznika w Cieszynie, zwiedziłem je i przekonałem się, iż żadnego z wymienionych modeli tam niema. Kustosz p. prof. Wytrzens, obejmując urząd w wymienionym muzeum, nie zastał już żadnego modelu. Widocznie czas zrobił swoje. A szkoda.

Po ukończeniu studjów gimnazjalnych udał się Bożek w r. 1803 do Berna, gdzie studjował matematykę i mechanikę, potem uczęszczał jeszcze na wydział filozoficzny uniwersytetu praskiego, przyczem zarabiał na życie reperacją zegarków swym współkolegom. Następnie był prywatnym wychowawcą dzieci hr. Clam-Martinita, a w r. 1806 został mechanikiem i zegarmistrzem politechniki praskiej.

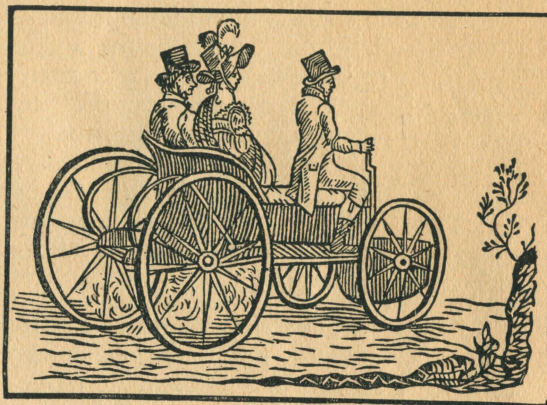
Będąc mechanikiem praskiej politechniki, sporządził sporo nowych mechanizmów, z tego 22 nowych. Na szczególne uwzględnienie zasługuje zegar skonstruowany przez niego dla praskiego instytutu astronomicznego.

W gabinecie politechniki znajdował się model stojącej maszyny parowej, ofiarowany jej przez hr. Buqoi z Anglii. Otóż model ten zaczął Bożek pilnie studjować i powziął zamiar, by stojącą maszynę parową zastosować do ruchu kołowego. Sporządził model wspomnianej maszyny o mocy $\frac{1}{20}$ KM z kotłem opalany spirytusem. Model ten stał się przedmiotem wielkiego za-

interesowania praskiego towarzystwa uczonych. Zachęcony tem, skonstruował wóz z napędem parowym. Wóz mógł pomieścić 3 osoby. Wypróbowany został po raz pierwszy 17 IX. 1815, przyczem próba wypadła dobrze.

Był to pierwszy pomyślny wypadek zastosowania maszyny parowej dla celów

Z czasów tych dochował się tekst zaproszenia i ryciny jego wynalazków, umieszczonych na afiszach ogłaszających jego publiczny popis z łodzią parową i wozem (ryc. 14). Afisze drukowane były w języku niemieckim. Treść w tłumaczeniu polskim poniżej podaję:



Mit hoher Bewilligung

wird

Heute Sonntag den 1^{ten} Juny 1817

(wenn es die Witterung zuläßt)

der Befertigte im Bubentscher Thiergarten,

ein von 7 Klaftern langes und 9 Schuh breites Dampfschiff, auf dem Moldauarme, ob der Kaisermühle, und seinen künstlichen Dampfswagen, auf dem Teichdamme, einem hohen Adel und verehrungswürdigen Publikum öffentlich vorzustellen, die Ehre haben.

Der gütige Beifall, welcher dem Unterfertigten vor zwey Jahren, bei Gelegenheit der öffentlich gegebenen Produktion seines
14. Ryciny, przedstawiające wynalazki Bożka, umieszczone na afiszach, zapraszających na popis
w r. 1817.

komunikacyjnych na europejskim kontynencie. O lokomotywie Stephensona z r. 1814 nie mógł Bożek wiedzieć, ze względu na blokadę Anglii przez Napoleona jak również i z powodu wielkich trudności w porozumiewaniu się poszczególnych państw.

Zbudowawszy wóz parowy, nie ustawa w pracy, tak, że krótko później mógł się pochłubić nowym wynalazkiem, a mianowicie łodzią poruszaną parą, którą zademonstrował publicznie dnia 1. VI. 1817.

Za wysokiem pozwoleniem
w niedzielę dnia 1 czerwca 1817
(jeżeli pogoda dopisze)

będzie miał podpisany zaszczyt przedstawiać Wysokiej szlachcie i szanownej publiczności swoją łódź parową 7 sążni długą i 9 stóp szeroką. Demonstracja odbędzie się w Stromowce przy Bubenczu na odnodze wełtawskiej koło młyna cesarskiego, pokaz wozu parowego zaś odbędzie się na grobli rybnika.

Łaskawa pochwała, której udzielono podpisanemu przed dwoma laty, kiedy publicznie zademonstrował swój wóz parowy, oraz zachęta znawców, by praktycznym zastosowaniem spopularyzować maszynę parową, skłoniły podpisanego do zastosowania maszyny parowej do poruszania łodzi przeciwko prądowi.

Jego usiłowania w tym kierunku szczęśliwie się udały, tak, że jest gotów wykonać łódź przedstawić przed sąd uczonej i znającej się na rzeczy publiczności, by publicznym popisem pokazać celowość i praktyczny użytek, którego pełną miarą należy oczekiwać dla spławnych rzek w Czechach, gdy zaprowadzi się maszynę parową dla żeglugi łodzi i dostawy zboża przeciwko prądowi.

Dlatego oczekuje, iż szanowni i wiedzę miłujący obywatele Pragi ukoronują jego usiłowania łaskawem i licznem uczestnictwem i swem zadowoleniem.

Jazda wozem parowym przy dowolnem kierowaniu rozpocznie się wystrzałem o wpół do piątej i potrwa aż do drugiego wystrzału, który wyznaczy koniec jazdy. Troska o dobry porządek nasunęła podpisanemu następujące wskazówki:

Tytułowani panowie goście z pierwszych i drugich miejsc zatrzymają swe bilety podczas pokazywania wozu, a po upływie pół godziny opuszczają zajęte miejsca i wyznaczonymi drogami udają się na nowe miejsca przy brzegu, gdzie swoje bilety oddadzą bileterowi jeszcze przed przyjazdem łodzi. Później po nowym sygnale dzwonem spuszczonej zostanie na wodę model łodzi parowej 5 stóp długi, który popłynie w dół rzeki a w końcu podpisany wyjedzie z wielką łodzią parową, która dla większej zabawy wysokiej publiczności uzbrojona będzie w małą armatkę i popłynie od cesarskiego młyna z prądem i przeciw prądowi, lecz tylko tak daleko, by szanowni widzowie wszystko ze swych miejsc widzieli.

Ceny miejsc:

Pierwsze 2 zł, drugie 1 zł, trzecie 30 grajcarów. Dzieci poniżej lat 8 płacą połowę.

Dla większej wygody bilety można nabyć wcześniej w Bożym Oku na Starem mieście ul. Siarkowa, w sklepie p. Wojciecha Maszy na Końskim targu, Na Nowem mieście w aptece pod Złotym starcem i w Mosteckiej ulicy na Male Stranie w księgarni Widtmana.

Józef Bożek, mechanikus.

Jak z powyższego ogłoszenia wynika, był nasz Bożek i bardzo dobrym organizatorem. Próba z wozem parowym i łodzią wypadła wyśmienicie, publiczność była rozentuzjasmowana, widząc wóz, łódki małą i dużą popędzane parą. Widok jak na owe czasy rzeczywiście niezwykły — wóz bez koni, łódki bez wiosel i żagli.

Materjalny wynik demonstracji był niepomysłny. Pod koniec powstała burza i w tumulcie, jaki powstał podczas wychodzenia tych tłumów, skradł mu ktoś całą kasę z zebraniem wstępem, które miało być jedynem wynagrodzeniem za skonstruowanie tych drogich maszyn. Nieznani dobroczyńcy zebrali dla niego około 300 zł, któremi w części zapłacił długi, w jakie wpadł dzięki swym wynalazkom.

Dalsze losy jego życia obeszły się z nim bezlitośnie, stypendjów i subwencyj na podobne cele wówczas nie znano, napróżno więc zwracał się do urzędów i osób wysoko postawionych z prośbą o pomoc potrzebną do zrealizowania swoich pomysłów, napróżno przedstawiał dogodności, jakieby wynikły z zaprowadzenia komunikacji parowej. Wszędzie zbywano go obietnicą pomocy, której mu udzielią wtedy, kiedy dla tego rodzaju przedsięwzięcia będzie więcej pieniędzy. Czasów tych nie doczekał się nieszczęsny nasz wynalazca ni jego maszyny, widząc bowiem, że znikąd nie doznaje ni podpory ni przyjaźni,

w przystępie rozpaczy własnymi rękoma zniszczył dzieło swego życia, które go kosztowało tyle pracy i było przyczyną ciężkiego niedostatku.

Zmarł w r. 1835 nie doczekawszy się bolesnej chwili, jakąby mu spowodowała lokomotywa Stephensona, która 20. VIII. 1845 po raz pierwszy przejechała przetrzeń z Ołomuńca do Pragi.

Z danych pozbieranych przez jego syna Romualda (Technicke museum C. S. Praha) wynika, iż wóz posiadał maszynę parową z korbami, nasadzonemi o 90 stopni względem siebie, co świadczy o przenikliwości umysłu konstruktora. Cylindrów, które ocalały, użyto później do urządzenia przewietrzania gabinetu fizycznego instytutu św. Klemensa. Dalsze dane mówią, iż wóz miał kocioł miedziany, umieszczony pod nogami kierowcy, pod kotłem palono węglem, przyczem każdorazowa obsługa ogniska wymagała zatrzymania wozu. Podano również pewien zajmujący szczegół, a mianowicie, że wskutek nacisku swego przełożonego dyrektora (Gerstnera) użył Bożek do rozprowadzenia pary małych tłoków (tłokowych suwaków) z uszczelnieniem konopnym, aczkolwiek miał skonstruowane suwaki metalowe. Innych danych co do jego maszyny niema. Informowano mnie, iż w Muzeum technicznym w Pradze znajdują się szczątki wspomnianych wynalazków. Napisałem więc tam w tej sprawie o informację, lecz skąd przysłano mi tylko odbitkę rycin, przedstawiających jego wynalazki, nie wspominając, czy szczątki w muzeum się jeszcze znajdują. Prawdopodobnie nie.

Józef Bożek był rówieśnikiem Jerzego Stephensona (Stephenson urodził się w roku 1781). Wynalazki ich powstały prawie że w jednym czasie, obydwa napotykali w swym trudzie na duże trudności. Stephenson był poniekąd w lepszym położeniu, gdyż pracował w zagłębiu węglowym, gdzie w praktyczny sposób mógł przed-

stawić dogodności, wynikające z przewozu maszyną parową w porównaniu z przewozem końmi. Dodać trzeba, iż Stephenson posiadał światłych i bogatych mecenasów Edwarda Pease i Thomasa Richardsona, którzy nie szczędzili pieniędzy na jego eksperymenta, natomiast nasz nieszczęsny Bożek nie posiadał nikogo, i gdyby nie brak środków, to w Europie jeździłyby lokomotywy nie Stephensona, lecz Bożka.

Twierdzenie, że Bożek był Czechem, nie wytrzymuje krytyki. Przedewszystkiem urodził się on w czystopolskiej okolicy na polskim Śląsku, wykształcenie normalne i gimnazjalne odebrał również w stronach ojczystych. Pracując w Pradze zczechizować się nie mógł, Czechy bowiem w tym czasie były zniemczone, przeżywając okres t. zw. przez Alojzego Jiraska „temna“.

Świadczy o tem zresztą ogłoszenie Bożka, wydane dla Prażan w języku niemieckim. Józef Bożek urodził się Polakiem i zawsze nim dla nas zostanie.

Zbierając potrzebny materiał, stwierdziłem, iż w r. 1917 jedno z pism czeskich, mianowicie „Narodu Politika“ umieściła notatkę, że przed 100 laty śląski Czech Józef Bożek wynalazł parowiec. Nazywa go czeskim Stephensonem. Na notatkę tę odpowiedział ś. p. ks. Józef Londzin w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ (nr. 23, 1917), broniąc słusznie Bożka przed przywłaszczeniem go przez Czechów. Ks. Londzin, opierając się tylko na zapiskach ks. Szersznika, popełnił jednak za nim te same błędy, które sprostowałem na podstawie metryki, dostarczonej mi przez Urząd parafjalny w Grodźcu.

Imię i sława Bożka były dotychczas na Śląsku i w całej Polsce nieznanne. Uważam, że celem uczczenia jego pamięci, należałoby nazwać jakąś uczelnię techniczną jego imieniem — może szkołę przemysłową w Bielsku, może Śląskie Techniczne Zakłady

Naukowe w Katowicach lub przyszlą politechnikę śląską. Byłby to trwały pomnik geniusza Polaka ze Śląska, Józefa Bożka.

Zbierając potrzebne dane, spotkałem dużo szczerzej chęci i realnej pomocy, więc pozwałam sobie złożyć na tem miejscu serdeczne podziękowanie Przewielebnemu ks. Łomozikowi z Grodzca, Przewieleb. ks. pastorowi A. Buzkowi z Cieszyna, pp. Gustawowi Morcinkowi ze Skoczowa, inż. W. Kargerowi, prof. J. Wytrzensowi z Cieszyna, naucz. L. Brożkowi ze Skoczowa, Janowi Bożkowi z Birów, sztygarowi

Franciszkowi Mżykowi, mej siostrze Annie i Zarządowi Muzeum Technicznego w Pradze.

LITERATURA.

Ks. L. Szersznik: „Nachrichten von Schriftstellern und Künstlern aus dem Teschner Fürstentum“. Teschen 1810.

Józef Klika: Mużowe prace. Praha 1907.

Velflik: Dejiny technického učeni v Praze z dějinným přehledem nejstarších inženýrských škol.

Ks. Józef Londzin: Śląski wynalazca. „Gwiazdka Cieszyńska“, 1917, 56.

JACEK KORASZEWSKI.

Ks. Jan Dzierżoń.

W 25-tą rocznicę zgonu.

Nazwisko znane każdemu pszczelarzowi nietylko u nas, ale sławne na cały świat. Mąż niepomiernych zasług, który odkryciami wręcz rewelacyjnymi prawdziwy przewrót spowodował w dziedzinie pszczelarstwa, przewrót błogosławiony w skutkach, człowiek przytem niezmiernie skromny, prosty, poprzestający na małym, bez wymagań osobistych, nie odmawiający nigdy, nawet w ciężkich chwilach, pomocy biednym; indywidualność oryginalna, pogłębiona rzetelnymi studjami, nie znająca kompromisów, krocząca zawsze własnymi drogami i niezmiernie stąd ciekawa. Godzi się więc z okazji 25-letniej rocznicy zgonu poświęcić jej wspomnienie, wszak rozniosła sławę imienia polskiego, choć w dziełach po niemiecku pisanych, po całym świecie.

Polska fachowa prasa pszczelarska przyniosła już w styczniu b. r. cykl bardzo ciekawych artykułów z okazji 120-lecia urodzin wybitnego męża, ojca nowoczesnego pszczelarstwa; dziś właśnie, kiedy w jego rodzinnem siole, w Łowkowicach pod Kluczborkiem, Niemcy od-

ślaniają w uczczeniu zasług tablicę pamiątkową na jego rodzicielskim domu i chcą z Dzierżonia gwałtem Niemca zrobić, głosząc na cały świat o jego rzekomem niemieckiem pochodzeniu, należy i szerokiemu ogółowi przypomnieć, kim był nasz rodak i w czem leżą jego zasługi.

Urodził się 16 stycznia 1811 r. z ojca Szymona i matki Marji. Dom szczepolski, jak i rodzina cała, prześladowana później w czasie plebiscytu za swe przekonania przez Niemców. Dochował się bardzo ciekawy dokument, list bratanka ks. Jana, Franciszka Dzierżonia, z roku 1911 do redaktora „Gazety Opolskiej“, w którym wspomina on o bogatej spuściznie pamiątek po swym stryju. Niestety dostały się nam z tej spuścizny tylko trzy listy, wszystkie do ks. Dzierżonia skierowane, jeden przez Lompę z r. 1858, drugi przez Miarkę z r. 1864, trzeci zaś, w tym razie najciekawszy, przez hr. Platera, założyciela Muzeum Narodowego w Rapperswylu, z r. 1878. Nazwałem ostatni list najciekawszym, bo tyczy się interesu narodowego, miano-

wicie hr. Plater informuje ks. Dzierżonia o stanie Muzeum, o jego organizacji, o przybytkach i zaprasza ks. Dzierżonia do współpracy nad pomnażaniem skarbów ojczystych. List tchnie patriotyzmem i szczerem uznaniem dla zasług naukowych naszego sławnego pszczelarza. Sprawa narodowa wysuwana w nim jest stale na pierwszy plan; kończy się słowami:

„Xiądz Dobrodziej położyłeś zaślugi w dziedzinie naukowej i zrządzisz Zarządowi muzealnemu przyjemność, popierając jego prace i usiłowanie, oraz przysyłając swój portret i to coś dotąd ogłosił w swej zajmującej specjalności. Tylko powodowani solidarnością i ofiarnością możemy przechować w spuściźnie duchowe skarby narodu naszego i pracować skutecznie nad jego odrodzeniem...“

Byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą i pożyteczną zbadać, jakie były dalsze losy tej akcji, ale wróćmy po tej dygresji do lat młodzieńczych ks. Dzierżonia. Do dziesiątego roku życia uczęszczał Jan do szkoły wiejskiej w Łowkowicach. Chłopiec był niezmiernie zdolny i zamilowany w pracy, rodzice zaś dość zamożni, żeby dać dziecku wyższe wykształcenie, to też po roku nauki w miejskiej szkole w Buczynie wysyłają go do gimnazjum św. Macieja w Wrocławiu. Niemcy kuja z tego argument: „A, skoro był Polakiem, to poco uczęszczał do niemieckich szkół!“ W tem cała tragedia! Tragedja przyszłego naukowca i tragedia pomyłek. Bo jakże mógł obrać inne, kiedy innych nie było! I przyszły naukowiec, nie znający dostatecznie polszczyzny literackiej, ani tembardziej polskiej terminologii bartniczej, wolał posługiwać się w swych dziełach językiem niemieckim, jako dobrze sobie znanym ze szkół. Nie miał przytem wyrzutów sumienia, bo dzie-

dzina jego zainteresowań była międzynarodową. I dziś wielu Polaków pisze naukowe rozprawy po niemiecku, francusku, lub w innym języku, a i wówczas Lompa n. p., którego z pewnością o brak patriotyzmu nie posądzimy, posługiwał się językiem niemieckim w artykułach o pszczelnictwie i ogrodnictwie, przysyłanych do „Breslauer Zeitung“. (Naturalnie o tej działalności Lompy widocznie Niemcy jeszcze nie wiedzą, ostatni bowiem zeszyt czasopisma „Der Oberschlesier“ powiada o nim lekceważąco: „ein gewisser Lompa“, w przyszłości jednak, skorośmy na to uwagę zwrócili, może i z niego Niemca zrobią?)

Po chlubnem ukończeniu gimnazjum wrocławskiego — był w każdej klasie prymusem — obiera Dzierżoń studjum teologiczne. Księdzem jednak wzorowym nie był. Zbyt kochał swe zajęcia około pszczół i pracę w polu, żeby starczyło czasu na obowiązki duszpasterskie. Zaniedbywał je do tego stopnia, że w niektóre niedziele parafjanie próżno oczekiwali w kościele przybycia swego proboszcza, bo ten w sadzie, upojony brzękiem rojów pszczelnych i bliskiem obcowaniem z przyrodą, zapominał o świecie całym. Takie postępowanie miało jednak także swoje źródło w wcześniejszych wpływach, jakie odebrał jeszcze w Wrocławiu, na wydziale teologicznym, gdzie w owych latach panowały stosunki oplakane. Kapelanem był w Siolkowicach, proboszczem w Karłowicach pod Brzegiem. Postępowaniem swoim, na które wpływały od parafjan liczne skargi do urzędu biskupiego, i niechęcią do poddania się autorytetom kościelnym spowodował wnet konflikt. W roku 1870, kiedy Sobór Watykański sformułował dogmat o nieomyślności Papieża, przystąpił do t. zw. starokatolików, którzy dogmatu tego nie uznali, wskutek czego został zawieszony w czynnościach duszpasterskich.

Zyskiwał natomiast coraz większą sławę na polu pszczelarstwa. Zjeżdżali się do niego ciekawi z całego świata, by zaczerpnąć wiadomości o racjonalnej hodowli pszczół i o inowacjach, wprowadzonych przez Dzierżonia do konstrukcji ula. On pierwszy zbudował t. zw. ul ramkowy, rozbierny, pozwalający wyjmować miód bez uszkodzenia woszczyzny. Swoje niezmiernie ciekawe spostrzeżenia, zdobyte długoletnią uciążliwą pracą, jakby wzorowaną na skrętności pszczół, ujął w szeregu głębokich prac. M. i. z jego dzieł tłumaczyli Lompa: „Nowe udoskonalenie pszczelnictwa ks. plebana Dzierżonia (Leszno, 1851 i 59), oraz Witowski: „Najnowsze pszczelnictwo“ (Lwów 1853). W uznaniu zasług mianował go uniwersytet monachijski honorowym doktorem filozofii, ces.-król. akademją we Wiedniu swoim członkiem, a piersi jego przyozdobiły się licznymi orderami i odznaczeniami.

Tymczasem strudzony nieporozumieniami w Karłowicach Dzierżon rzucił w roku 1884 tamtejszy bogaty war-

sztat pszczelny i wrócił do rodzinnych Łowkowic. Tu pędzi żywot iście pustelniczy, oddany tylko jednej swojej namiętności. Wzruszające są ostatnie lata życia tego niestrudzonego starca. Kiedy już wątłość zdrowia na stałe przykuła go do łoża, jeszcze nie mógł pożegnać się z pszczołami, kazał więc ul wnieść do swej prostej, bielonej izby, pozbawionej całkiem ozdób, już oddawna służącej mu zarazem za mieszkanie i pracownię, żeby umilić sobie ostatnie godziny życia miłym brzęczeniem owadów, tak dobrze znaną mu od dzieciństwa muzyką, melodją upojną dla jego stęsknionego ucha.

Pod koniec swego życia wrócił na łono Kościoła katolickiego. Miał w tem dużą zasługę tamtejszy proboszcz, ks. Szołtysek, serdeczny towarzysz ostatnich lat Dzierżonia. 94-letni starzec po 36 latach przystępuje znów do Stołu Pańskiego. W ciszy i rozmodleniu, człowiek, co przez całe życie szukał prawdy, znalazłszy ją w Chrystusie, pokornie i ze skruchą dokonywa lat i umiera pogodzony z Bogiem 26 października 1906 r.

GUSTAW MORCINEK.

CZŁOWIEK.

Fragmenty z monografji p. t. „Śląsk“¹⁾

Wszystko tam takie, jak u nas, taż sama mowa, strój, obyczaje, położenie kraju, wszystko świadczy, że Polska i Śląsk jednym narodem, jedną były krainą.

Juljan Ursyn Niemcewicz.

Piastowie śląscy zniemczyli się, rozdrobnili, pozwolili schłonać przez żywioł niemiecki lub wymarli. To samo stało się ze szlachtą śląską. Dzisiaj trudno uświad-

czyć na Śląsku jednego bodaj polskiego nazwiska szlacheckiego. Pozostały po niej zwietrzałe herby kamienne na grobowcach cmentarnych, któremi nikt się nie przejmuje, wytarte nazwiska i przydomki na płytach w przedsionkach kościelnych i kruchtach, oraz mętne wspomnienia u ludzi i niesamowite podania o pokutujących duchach dawnych „panów dziedzicznych“, co teraz na rozdrożach i wydmuchowiskach straszą i o zmiłowanie boskie proszą. Krzywdzili bowiem lud poddany.

¹⁾ Wyjdzie nakładem wydawnictwa „Cuda Polski“ księgarni R. Wegnera w Poznaniu.

Mieszczachństwo śląskie było nieliczne. A to, co było, przemieniło się w ciągu wieków do niepoznaki, zmieszało z przybyszami niemieckimi, co łakome dostatniego chleba, na Śląsk zbiegało się od niepamiętnych czasów.

Został tylko chłop i robotnik śląski, warstwa zwarta, mocna i nieustępliwa, którą niesposób było nadkruszyć. I oni tylko są dzisiaj prawowitymi dziedzicami ziemi śląskiej, jej jedynymi włodarzami, wchodzącymi w skład zróżniczkowanego jeszcze dzisiaj plemienia polskiego, jako nowy, twórczy a nieodkryty i niepoznany element.

Począwszy od Beskidów aż po północne krańce powiatu lublinieckiego jest on w istocie swej ten sam, niezmieniony. Wyróżniają go jedynie drobne cechy przypadkowe, jako znamię odrębnych wpływów duchowych i materialnych, działających na niego od chwili podziału Śląska na Cieszyński i Górny za Fryderyka II. Rozwijający się zaś przemysł i górnictwo śląskie w ostatnich dziesiątkach lat nie pozostały również bez wpływu na urobienie psychiki, odchylającej się pozornie od swego pierwotnego typu. Mowa tutaj o górniku i hutniku śląskim. Doszło nawet do tego, że robotnik śląski ze wszystkimi swojemi nabytemi cechami stał się synonimem Ślązaka wogółności. W uproszczonym zesumowaniu tych cech Ślązak w ujęciu Polaka z innej dzielnicy ma być szorstkim, nieprzystępnym, nieumiejętnym współzycie się z nim, niewdzięcznym i zarozumiałym. Krzywdzący ów sąd polega jednak na nieporozumieniu lub na nieumiejętności przystosowania się Polaka z innych dzielnic do odmiennych warunków, jakie na Śląsku istnieją. Wyrażając się ściślej, — ów niesłuszny sąd wydają ci, co nie umieją żyć się ze Ślązakiem.

Niezaprzecznie, człowiek to twardy, nie mający w sobie nic albo bardzo mało z rozlewności słowiańskiej, ale takim już

go urobiła ziemia, z której żyje i owo osamotnienie, na jakie był skazany w ciągu sześciu wieków.

Najbardziej twardym, zamkniętym i szorstkim — to robotnik śląski, górnik i hutnik. Niedziwota zresztą. W ustawicznym obcowaniu z maszynami nabiera jej manier. Maszyna dla niego jest żyjącem stworzeniem. Bodaj, że i myślącym. Maszyny — to przyczajone bestje, dygocące ujarzmioną siłą, które może jednym łagodnym ruchem ramienia wstrzymać w zapamiętałym biegu czy pchnąć je zpowrotem do życia. Słuchają człowieka i za niego pracują. Lecz umieją się one mścić. Człowiek chodzi koło nich, czujny na każdy ruch, na każdy obrót rozwichrzonego kółka, śledzi z podębła jej wymierzone drogi, szanuje i nienawidzi. Szanuje, bo pracują za niego, nienawidzi — bo pomniejszają jego zarobek i niszczą życie ludzkie jednym uderzeniem ciężkiego ramieniska, łamią kości rozpędzonymi sprychami, miążdżą stalowemi zębami trybów.

Człowiek bezwiednie nabiera jej manier. Staje się czujny, zimny, wyczekujący. Tak długo, aż przyjdzie czas. Potem zniemacka uderza. Jak maszyna. Chytrze, mocno a w odmierzonym ruchu. Tobie śmierć, albo mnie śmierć! Potrafi długo czekać na taką chwilę. Tak długo, aż się doczeka. Okazała się w czterech powstaniach śląskich.

Górnik w podziemiu skupia się w sobie, jak zapaśnik, szukający słabej strony swego przeciwnika. Śmierć za nim chodzi krok w krok, wierna towarzyszką jego. Śmierć chytra, podstępna, złośliwa. Górnik musi umieć przejrzeć jej zamiary, przedbiec jej cios, odparować na zimno, bez zmrużenia oczu, podejść chytrze, a zwyciężoną wykpić serdecznie. Nie lękać się jej, tylko podejść i wykpić. Inaczej nie godziłby się na miano górnika.

Obcowanie z czarną śmiercią urabia z niego człowieka przewidującego, zimnego, pozornie brutalnego i bez serca.

Podobnie, jak tamten robotnik chodzi koło swej maszyny, tak i on czyni w kopalni. Zajadłość go ogarnia. Jeżeliś ty taka, tom i ja niegorszy!...

Przyczajona śledzi jego kroki. Czasem strop zarwie znienacka, pragnąc go przysypać spękanem rumowiskiem; czasem obluźnioną ścianę węgla w filarze strąca na niego lub pożar nieci w opuszczonych ganckach i w starych robotach; czasem wybuchające gazy zapala, radując się żniwu, gdy płonący pył węglowy pędzi rozpętanym piorunem po chodnikach, a pożar się rozszaleje i trujące czady żółtym dymem rozwloką się w podziemiu; czasem utajoną żyłę wody nieoczekiwanie roztworzy w odkrywanej caliźnie, a wtedy woda pędzi z krzykiem za ludźmi, czarna, wyjąca, ściga ich nieubłaganie, dopędza i pochłania; czasem zaś sypką kurzawką na wieki zagrzebie, linę na pochylni zerwie, by lejące wozy rozgniotły go na miazgę...

Górnik wszystkie jej sposoby musi przewidzieć.

Owa zaciekle walczyła z przyczajonym wrogiem czyni go innym od spotykanych gdzie indziej ludzi. Wyzbywa się on miękkości w obejściu z bliźnim, bo mu ją praca zabiera. Wstydzi się okazywać swe uczucia nazewnątrz. Prędzej ciężko zapieronuje, aniżeli się roztkliwi. Nie umie się rozczulać ani nad własną ani nad cudzą dola. Powiedziałby ktoś, że brak mu serca. Nie, tego nie można powiedzieć! Ma on serce czujące, proste, szczere, co czyni wrażenie bryły złota, przysypanej pyłem. Zetrzeć pył, to roziskrzy się złoto w słońcu. Chodzi o to, by umieć ów pył zetrzeć.

Wiarę w Boga posiada prostą, swoistą. Bigotem nigdy nie będzie. Przeciwnie — raczej wykpi w swój urągliwy sposób nadmiar zewnętrznej pobożności. W głębi serca ma jednak wiarę w Boga. Chwalić nie lubi się nią, ani publicznie przekazywać. Poza tem głęboki sentyment żywi do swej orędowniczki, świętej Barbarki, patronki górników. Godnie potrafi uczyć jej świę-

to, bardzo godnie. Z paradą, muzyką, wystawnym nabożeństwem w kościele. — Niech ucieszy się święto Barborka — powiada — niech wie, że ją mamy radzi festelniel!...

Z duchem Skarbnikiem czy Pusteckim, co pod ziemią mieszka, to on za pan-brat. Młodsze pokolenie to tam bardzo w niego nie wierzy. Lecz starsi górnicy inaczej o nim sądzą. Na Śląsku Górnym nazywają go Skarbnikiem, w Cieszyńskim — Pusteckim. Jest to stare, krzepkie chłopisko z długą brodą, w ubraniu sztygara, z kilofem i czerwonym światelkiem w lampie. Siedzi gdziesik w caliźnie i nic. Czasem to wyjdzie ku ludziom, zmieniając swą postać do niepoznaki, czasem komuś drogę przejdzie, w oczy zaświeci i znika. Czasem daje znać o sobie lekkim pukaniem, ba czasem nawet w pracy pomoże, a zawsze stara się ustrzec górnika przed grożącą śmiercią. Nie wolno go tylko gniewać. A gniewa się rzekomo wtedy, gdy ktoś głośno śwista w kopalni. Trochę dziwne wymaganie, ale trudno. Jeżeli jednak śmierć przejdzie i życie komuś zabierze, to widać — ktoś go rozgniewał i dlatego nie-szczęśnika nie ostrzegł.

Przyjdzie pożar, zalew lub nastąpi obwał i towarzyszy jego niechybna śmierć podchodzi, staje z nią w zapasy o ich życie. Idzie cichy, spokojny, bez patosu, uważając to za rzecz tak bardzo prostą i naturalną, że się aż sam dziwi, gdy się ktoś obcy temu dziwuje, brodzi w duszących dymach, wynosi pobitych braci na powierzchnię, naraża się na tę samą śmierć, którą już oni polegli, a częstokroć życiem przypłaca swoje pogardliwe bohaterstwo. W obliczu śmierci jest mu każdy bratem. Niema wtedy u niego nienawiści plemiennej czy klasowej. Chociażby jego największy wróg to był, co kona w pożarze lub w kurzawce, lub w zasypanem zawalisku — idzie i ratuje go. A jeżeli zginie, to nic. — Zrobią mi kamraci fajny pogrzeb z mu-

zyką, paradą i ze zwonami. No nie? — powiada. — Ale swoje musza zrobić!... Choćby pierony były! — I swoje robi.

„Szczęść Boże“... Takim pozdrowieniem wita się i żegna w podziemiu. Uprzywilejowane to pozdrowienie. W zachości ono bywa i poszanowaniu wielkiem u braci górniczej. I tak się utarło, że gdy dozorca lub sztygar lub nawet inżynier czy sam dyrektor przyjdą do przodka, to nikt z górników pierwszy nie pozdrowi swego przełożonego. Wszyscy czekają, aż przełożony to uczyni. A wtedy dopiero każdy odpowie mu swoje „Szczęść Boże!“ Bo tak zwyczaj każe.

Na powierzchni staje się innym. Jego kanciastość, szorstkość i bezceremonjalność może być rażąca dla obcych, co go nie znają. Zapytać go naprzykład o drogę, popatrzeć na ciebie z podębą, zmierzyć nieufnie przymrużenymi oczyma, otaksuje, coś zacz i powie, jeżeliś mu przypadł jako tako do serca. W przeciwnym razie zbędzie cię krótko: — A ciś pieronie, bo cie mazna w gęba! — i to wszystko.

Świadom jest swej wartości, dba o swój honor, i dlatego nie znosi czyjegoś wywyższania się ponad niego lub czyjegoś znizania się do niego, czynionego w formie jałmużny czy dostojnej ofiary. Wykpi takiego niefortunnego „społeczniaka“, pieronami szczerze obdarzy i na tem się skończy. Frazesu nienawidzi. Jeszcze bardziej nienawidzi patosu. Posiada doskonałe wycucie miary, gdzie zaczyna się puste, komedjanckie żonglerstwo szumnemi słowami, a gdzie tkwi rzetelna prawda. Na odświętny patryjotyzm z napuszonymi mowami o „ukochanej ojczyźnie“, „o ostatniej kropli krwi“ nie da się nabrać. Wogóle przysłowiowego słomianego zapału nie posiada. Działa spokojnie, wytrwale a uparcie, jako jednostka świetnie zorganizowanej i zdyscyplinowanej masy, świadoma swych celów i zwycięstwa. Klasycznym tego przykładem trzecie powstanie górnośląskie, gdzie w ciągu jednej nocy

stanęła olbrzymia armja powstańcza, wyćwiczona, zgrana, działająca, jak złożony mechanizm. A wszystko to było przygotowywane w ukryciu, potajemnie, bez zwrócenia najmniejszej uwagi ze strony obcych.

Ślązak z okręgów rolniczych czy z Beskidów, to człowiek pozornie odmienny. A jednak ten sam. Łagodniejszy on tylko, bardziej uprzejmy, mowa jego nie jest już najeżona „pieronami“, lecz poza tem tak samo zamknięty przed obcymi sobie, twarde, zimny, nie lubiący się rozczulać, wstydzący się okazywać swe uczucia, świadomy swej godności.

Tak samo, jak górnik czy hutnik, nie płaszczy się przed kimś, co wyższy od niego społecznie, nie upokarza się ani nie pozwoli się poniżyć z racji swego niższego pochodzenia stanowego. Dla niego wogóle kwestja różnicy stanowej nie istnieje, gdyż jej na Śląsku nigdy nie było. Istniały tylko różnice narodowe. Walka klasowa, jaka rozgorzała w okręgach przemysłowych, identyfikowała się zawsze z walką narodową i odwrotnie. Przedstawicielami kapitału bowiem, wyzyskującego śląskiego robotnika, byli tylko Niemcy lub Czesi. Wskutek tego też wszystka walka Ślązaka o utrzymanie swego narodowego stanu posiadania miała tylko podłoże socjalne, zwłaszcza w okręgach przemysłowych. I tem się też tłumaczy owo zjawisko, że najbardziej narodowo uświadomionym żywiołem na Śląsku i najbardziej zdolnym do ofiarnej walki, był robotnik śląski. Robotnik też tworzył najliczniejsze kadry powstańcze, podniecane do walki niejasno skryształowaną ideą polskość i nienawiścią do obcej mu narodowo warstwy społecznej, co dotychczas nim rządziła i wyzyskiwała go.

Ślązaka nie łączyła z Polską ani tradycja, ani wspólnota przeżyć dziejowych, gdyż tych nie było z powodu 600-letniego wyodrębnienia jego ziemi z pod wpływów Polski. Jedynie język był tym łącz-

nikiem. Dlatego też pojęcie polskości nie było u niego tak wysubtelnione i tak głęboko sięgające swemi korzeniami, jak n. p. u powstańców polskich z r. 1863 czy 1905. A jednakże uczucie, żywione przez niego do polskości było tak ogromne, jędrne jakieś, zwarte i prostolinijne, że w rzeczywistości ono było głównym motorem w jego czynnie zbrojnym, aczkolwiek wyrosło ono jedynie na podłożu klasowej odrębności.

Poza tem nie mniej ważną rolę odgrywało tutaj uczucie religijne, zagrożone przez Niemców w tak zwanej walce kulturalnej, wszczętej przez Bismarcka. Polskość stała się tutaj synonimem atakowanego katolicyzmu, zwłaszcza w okręgach rolniczych Górnego Śląska.

Wszystkie cztery powstania śląskie, jedno na Śląsku Cieszyńskim, trzy — na Górnym, są jedynymi powstaniami polskimi o charakterze wybitnie ludowym, a uczestnicy ich składali się w 98 proc. ze Ślązaków.

Swoj zbrojny trud zakończył Ślązak zwycięstwem, aczkolwiek nie posiadał stosunkowo odpowiedniej inteligencji, która by mu ułatwiała walkę. Młodzież śląska bowiem, kształcąca się na Górnym Śląsku jedynie w szkołach niemieckich średnich i wyższych, przeważnie ulegała germanizacji. Nieliczne tylko jednostki oparły się procesowi wynaradawiającemu i zajęły przodujące miejsce w wojującym społeczeństwie śląskiem. Lepiej przedstawiały się stosunki na Śląsku Cieszyńskim, gdzie z gimnazjum polskiego w Cieszynie i z gimnazjum realnego w Orłowej wyszły całe zastępy rodzimej inteligencji, tworzącego nowy typ polskiego obywatela. Cechuje go — podobnie jak inteligencję górnośląską — jakaś młodość i świeżość uczucia patriotycznego, ogromna żywotność, ruchliwość, prostolinijność i szczerłość. Współczesny Ślązak wprowadza w kulturę Polski ogromnie cenny nabytek, przejmuje go

z wdziękiem ciekawego dziecka, szybko, przyswaja, przetrawia i tworzy nową, odrębną, mocną i zdrową. Żeby użyć porównania, możnaby powiedzieć, iż współczesna kultura polska na Śląsku ulega temu samemu procesowi, co kultura anglosaska w Ameryce. Ze środowiska chłopskiego czy robotniczego wyrasta nowy typ polskiej inteligencji, zajmującej już dzisiaj wybitne stanowiska na katedrach uniwersyteckich w kraju i zagranicą, w sztuce plastycznej, muzyce, literaturze i administracji państwowej.

GWARA ŚLĄSKA.

Dziwnie piękną jest gwara śląska. Pominąwszy naleciałości niemieckie i czeskie, które wkradły się w mowę Ślązaka, a które tak łatwo usunąć i zastąpić wyrażeniami gwarowymi, nic nie uchybia jej urodzie. Zapytać o coś napotkanego gazdę, odpowie ci językiem, w którym ongiś Mikołaj Rey swój „Żywot człowieka pościwego“ spisywał. Ma się wtedy wrażenie, że ktoś przed tobą stary foljał o pergaminowych kartach roztworzył i czyta ci z nich językiem, którym ludzie w Polsce przed wiekami mówili, językiem dostojnym a namaszczoneym, bo po Piastach w spadku otrzymanym.

Jest to jedyna gwara polska niemazurząca i dlatego też może — jak pisze prof. Nitsch — Śląsk jest bodaj jedyną w Polsce dzielnicą, w której narzecze ludowe nie zostało zepchnięte do roli pogardzanego kopciuszka, zrzadka tylko i sztucznie przywoływanego do artystycznego pokazu; tu żyje ono jeszcze nieraz w swobodnej mowie ludzi wykształconych. Narzecze w Cieszyńskim mniej zachwaszczone germanizmami, posiada wszystkie cechy archaicznej mowy polskiej; narzecze zaś na Górnym Śląsku wyróżnia się od cieszyńskiego twardszą wymową niektórych spółgłosek oraz zamianą końcówki „ę“ na samogłoskę „a“.

NAZWISKA ŚLĄSKIE.

Odrębną a niezmiernie ciekawą pozycję w językoznawstwie stanowią nazwiska śląskie, różniące się od nazwisk w innych dzielnicach Polski. Bardzo wiele z nich powstały, urobione z imion własnych, tak, że dzisiaj mamy na Śląsku przeróżnych Barteczków, Janeczków, Morcinków, Kubiców i t. p. Wywodzą się z pokrewieństwa rodzinnego, jak Chowaniec, Szura, Dziadek, Stryczek, następnie z rzemiosła, którym dotyczący człowiek się parał, dużo przypomina pańszczyznę i prace z nią połączone, wiele jest wziętych od miejsca zamieszkania, tysiące ich powstało od przymiotów i właściwości ciała, niektóre z nich wskazują na cechy psychiczne pierwszych ich właścicieli. Wszędzie przeważają tutaj formy proste, pierwotne. Nazwisko śląskie wykazuje tutaj brak kulturalnych wpływów Polski. Nie uległo bowiem przemianom, jak w Polsce, nie przybierało końcówek *-ski* i *-cki*, a jeżeli takie nazwisko znajdzie się, to miało ono raczej charakter przycinka jakiegoś, ironicznego przezwiska, a nie cechy szlacheckiego rodu. Form na *-icz* nie zna nazwisko śląskie, lecz za to bardzo dużo kończy się na *-ek*, Polaczek, na *-ik*, Gaździk, na *-yk*, Waclawczyk i na *-ok*: Kubalok, Funiok i t. p. Poza tem dużo kończy się na *-ko*, Mocko, *-ol*: Szpernoł, Gorol, *-oł*: Musioł, *-ala*: Gembala, Tomala i *-ała*: Smykała, Szkubała i t. p.

CHORZÓW.

Z boku zaś Królhuty — jak potocznie nazywają Królewską Hutę — przygarnął się do niej Chorzów, prawdopodobnie najstarsza osada górnicza na Śląsku. W archiwum gnieźnieńskim znajduje się bowiem dokument papieża Inocentego II z roku 1136, na mocy którego potwierdza posiadłości i dochody arcybiskupa gnieźnieńskiego, a między temi posiadłościami „item villa ante Bitom, que Zuersow dicitur, cum rusticis, argenti fossoribus“ etc. Ów „Zuersów“ — to Chorzów dzisiejszy,

wymienieni zaś w dokumencie kopacze srebra świadczą, że była to osada górnicza, istniejąca już przed wyszczególnioną datą. Niektórzy uczeni przypuszczają, że górnictwo na Śląsku istniało już za czasów rzymskich i że Rzymianie do ziemi, nazwanej przez nich „Luna silva“ zaliczali także Śląsk Górny. Dzisiaj już tutaj niema srebra. Według Długoszkowych zapisków, któreby można włożyć między bajki, srebro to zniknęło za karę, że „mieszczanie bytomscy w swem szaleństwie utopili proboszcza i kaznodzieję w roku 1363“.

Dzisiaj sława Chorzowa po całej Polsce stąd, że tutaj znajduje się państwowa fabryka azotu, zbudowana przez Niemców na kilka lat przed wojną światową. Poza tem istnieje największa śląska elektrownia. Rząd polski przejął fabrykę azotu w dniu 4 lipca roku 1922, a więc jeszcze przed objęciem Górnego Śląska przez wojska polskie. W dniu tym zajechał nieoczekiwanie przed gmach dyrekcji inż. Ignacy Mościcki, obecny Prezydent Rzeczypospolitej i zażądał od dyrektora Schiecka oddania fabryki pod jego zarząd. Dyrektor Schieck, zaskoczony tem wszystkim, energicznie zaprotestował i w tym samym dniu zwołał wszystkich urzędników i inżynierów na zebranie do Bytomia, gdzie wymusił od nich przysięgę, iż opuszczą fabrykę azotu z chwilą przejęcia jej przez rząd polski. I tak się stało. Z 30 inżynierów pozostało tylko trzech, z 250 urzędników — około 50. Majstrowie i robotnicy zostali prawie wszyscy, aczkolwiek Niemcy rozpuszczali między nimi wieść, że Polacy, wskutek nieumiejętnego prowadzenia zakładów, spowodują wysadzenie ich w powietrze. Inż. Ignacy Mościcki, mianowany już teraz dyrektorem, zwołał przerażoną załogę i uspokaja ją. Pierwszy kamień, rzucony Mościckiemu pod nogi, został usunięty. Lecz teraz dopiero zaczęło się nadludzkie borykanie z przeciwnościami, któreby innego człowieka pokonały. Niemcy byli przekonani, że fa-

fabryka może być czynną w ruchu tylko przez 7 dni. Na tyle czasu bowiem obliczone były zapasy wapna, potrzebnego do fabrykacji azotu. Po 3-dniowej przerwie, spowodowanej odejściem inżynierów i urzędników, Mościcki uruchomił fabrykę, zabiega o nowe transporty wapna, zakłady nie wylatują w powietrze. Po trzech miesiącach następuje nowa trudność. Zabrakło elektrodów. Tutaj grozi już zupełne wstrzymanie ruchu. Niemiecka firma, która dotychczas dostarczała ich fabryce, odmówiła dalszej dostawy. Mościcki radzi sobie w ten sposób, że wykorzystuje ponownie zużyte już elektrody, a równocześnie zamawia z Francji nowy ich transport, które jednak okazały się za krótkie. I tutaj znaleziono radę. Krótkie elektrody francuskie zdołano wykorzystywać. A fabryka wciąż nie wylatuje w powietrze, jak tego co dnia oczekiwali Niemcy. Następuje teraz rzecz najgroźniejsza. Między załogą znalazły się przekupione jednostki, które rozpoczęły próby sabotażu. Niewiadome, obce, zbrodnicze dłonie sypią piasek w łożyska maszyn i starają się wywołać krótkie spięcie w przewodach i maszynach elektrycznych. I tutaj zapobiega nieszczęściu czujność Opiekuna powierzonej sobie fabryki. Mościcki wychodzi obronną ręką. Wiernym jego druhem i towarzyszem, pomagającym mu ratować tak ważną placówkę przemysłu Polski — to ś. p. inżynier Feliks Zaleski. Ileż to nocy nie przesпали, ileż to godzin naśledzeli się nad rozłożonymi papierzykami, ileż to razy załoga nocna patrzyła z podziwem i uznaniem w oświetlone okna pracowni Mościckiego i Zaleskiego, jarzące się niejednokrotnie do świtu, — i powtarzała z szacunkiem: — Dzisz!... Tam „Stary“ z Zaleskim jeszcze festelnie głowią się nad papierami! Fajniści ludzie, robotni, że aż okropa!... Zdawali sobie sprawę, że za zasłoniętymi oknami czuwają dwa mózgi i dwa serca, że gdy obydwóch nie stanie, poniewierka ich czeka, a zwycięstwo powstańca śląskiego uszczupleje.

Robotnicy szanowali i kochali swojego „Starego“, jak nazywali między sobą dyrektora Mościckiego. Patrzyli na niego, jak o godzinie 6 rano wkraczał w kitlu robotniczym i jak z zakasanymi rękawami pracował przy maszynach i w laboratorium chemicznym wraz z innymi robotnikami, jak obmacywał troskliwie każdą śrubkę, doglądał, troszczył się i strzegł, jak własnego dziecka. A dla każdego miał dobre, ojcowskie jakieś słowo i ten dziwnie jasny uśmiech, mądry, wyrozumiały a słodki, co z serca się tylko rodzi. Odzywał się do nich nie inaczej, jak: — Synu, czego sobie życzysz? — kładąc przytem swoje spracowane dłonie na ramiona rozmawiającego z nim robotnika.

To też niedziwota, że kiedy odchodził ze swego Chorzowa, aby objąć godność Prezydenta Polski, żal ich pomieszany był z radością i dumą, że między sobą mieli tak wielkiego człowieka. A kiedy przyjechał do Chorzowa już jako Prezydent, wystroili się jak na największe święto, zbudowali „festelną“ bramę triumfalną, przedeszli go kęs drogi, radośnie witając, odzwierny zaś w głównej bramie, najbardziej zacna persona w całym zakładzie, mówiąca o sobie w sprawach fabryki w liczbie mnogiej, podbiegł do nadjeżdżającego samochodu, zatrzymał go, jak to zwykł czynić z każdym samochodem i osobą, otworzył drzwiczki i podał dłoń Prezydentowi, potrząsając nią kordjalnie i mówiąc: — Pięknie ich witom, panie Prezydencie!... Zazdrościli mu tego wszyscy robotnicy, bardzo zazdrościli.

I dziś jeszcze wspominają serdecznie swego naczelnego dyrektora, profesora Ignacego Mościckiego i każdemu obcemu z dumą opowiadają, że ich roztomy Dyrektor nie tylko że obronił się przed złością niemiecką i fabrykę utrzymał w ruchu, lecz nawet wprowadził w fabrykację azotu wiele ulepszeń i swoich wynalazków w zakresie produkcji karbidu i azotniaku.

KS. EMANUEL GRIM.

Ondraszkowe wesele.

Dośpiew do „Ondraszka“*)

Przyjacielem człowieka, to wyrzut sumienia,
bo on nawet zbrodniarza w dobrego przemienia...
a szczęśliwy, kto głosu sumienia usłucha,
bo dusza na głos Boży w nim jeszcze nie głucha...
a Bóg serce miłością, by ten śnieg, wybieli...
i z niebios spłynie spokój do duszy anieli...

I.

Ondraszek postanowił nie zwlekać ni chwili,
bo i serce i Hanka nagli go i sili,
aby rzucić rozboje i wszcząć życie nowe
i tak z nieszczęść bez liku unieść całą głowę...
a osiąść już na stałe gdzieś w dalekiej stronie
i szukać w pracy szczęścia na znojnym zagonie...

Uśmiecha się do niego dola wymarzona:
w chacie dzieci kilkoro, on i dobra żona,
gdy zasiądą po pracy razem do wieczerzy...
któż szczęście serca wówczas wyczuje, odmierzy!!
na to ni wagi niema, na to niema miary,
to tylko z sobą niesie święty zwyczaj stary...

2.

I tak snują się myśli, by to złote kłębo,
iż w zachwycie zaniemiał z półotwartą gębą,
bo ten obraz czaruje i wabi i nęci,
że zostaje nieczuły, głuchy, bez pamięci,
zapatrzony na słońca zachodniego zorze,
w smutku bezwiednie szepce: daj to mocny Boże!!

I porzucić gotowy wszystkie skarby świata...
przed oczy wciąż powraca: sad, lasek i chata,
a przed chatą „na słońcu“ koło niego blisko
krzyczy, hasa i goni dzieciaków mrowisko...
spracowałby te ręce i schodziłby nogi,
by taki wymarzony znaleźć kącik drogi...

3.

Kłębo myśli przerywa trzask suchych gałęzi...
„Co cię jeszcze Ondraszku trzyma tu i więzi?!

*) Ogłoszonego w „Zaraniu“.

bo siedzisz nieruchomo od samego rana...
więc już niczem dla ciebie droga dawniej Hana!!
wciąż w niemej trwodze drży mi ze strachu powieka,
a głos jakiś przynagła: uciekaj! uciekaj!!!“

„Uciekniemy Haneczko w kraj obcy, daleki...
tam znajdziemy dla duszy ukojenia leki...
i serce się uciszy, wypocznie dowoli
i zapomni na chwilę, co gniecie, co boli...
i będziemy tam żyli bliżej siebie, Boga...
czy cię to nie zachwyca Hanko moja, droga!!

4.

Uciekają tajemnie; nikt nie zauważy,
zbójce widać bezpieczni, śpią nawet bez straży...
Ondraszek im wyprawił prawdziwe wesele,
jadła, picia nie szczędził, pieniędzy dał wiele,
by tak czujność ich uśpić i ujść od nich skrycie,
a rozpocząć oddawna wymarzone życie...

Jurasz sam jeden nie śpi, wyczuł jakby zdradę,
budzi innych i idą za zbiegami śladem...
gdy ci spokojnie dążą do polskiej granicy,
zastępują im drogę groźni rozbójnicy...
„Ondraszku! wracaj z nami! nie śmie być inaczej!
bo krew twoja i nasza góry te poznaczy!!!

5.

Ondraszek staje groźny, z podniesioną głową,
mając po boku Hanke, bronić się gotową...
i słycać zgrzyty zębów, pomruki, przekleństwa...
do ataku gotowa cała zbójów gęstwa...
aż tu Jurasz z zarośli coś z sobą prowadzi;
przycichają wnet wszyscy, niespodzianie radzi...

„Patrzcie! kogo prowadzę! prawdziwe to czary!
jak zeznał, jabłonkowski ma to być wikary!
jeśli zełgał, to prawdę zaraz nam zanuci,
gdy go chwycę za gardło i przycisnę kruciej“...
i począł dławić księdza, a Ondraszek skoczy
i wali Juraszkowi prosto między oczy...

6.

Ten puszcza gardło księdza i pada na ziemię,
by sroka uwędzona w obozowym dymie...
„Wara wszystkim od niego! boć to sługa Bóży!!
zginie każdy, kto chociaż palec nań położy!!!

„księżu! — woła Ondraszek — Bóg cię zesłał w porę,
byś spowiedzią i ślubem leczył serce chore!

„Byśmy mogli żyć z Hanką odtąd jako ludzie,
a nie kryć się po lasach gdzieś w zwierzęcej budzie,
lub się ciągle przymilać, łąsić, schlebiać chłopom,
by pozwolili usnąć spokojnie pod szopą,
a ta drogo kupiona od nich niby-łaska,
jedną dłonią wygraża, drugą czule głaska“...

7.

„Gdy ślubu nie dostanę, to wszystkich uśmiercę!!
mchy bujne będą dla nas tu ślubnym kobiercem,
a gwiazdy będą migać, by z ołtarza świece...
ja światła ich zapalę, miłością podniecę,
a księżyc nam zastąpi lampę przed ołtarzem...
księżu! ja o tym ślubie ciągle śnię i marzę!“

Wszystko księżu gotowe i na ciebie czeka,
byś z rozbójnika zrobić mógł znowu człowieka,
co chce życiem naprawić dawne grzechy, zbrodnie,
by służyć odtąd Bogu i wiernie i godnie...
udziel ślubu, a los nasz zaraz się odmieni,
byś kwiaty sadził w lesie miast skał i kamieni“...

8.

Las wkoło ich otacza, by kościelne ściany,
a wicher w drzewa trąca i gra, by organy,
niebo gwiazdziste w górze pstrzy się miast ołtarza...
Ondrasz z Hanką za księdzem przysięgę powtarza:
„miłość, wierność, uczciwość do śmierci ślubuję!“
a świadkami przysięgi: Bóg i groźne zbójce...

„Tu masz księżu nagrodę! Bóg ci zapłaci za to!“
i rzucił wikaremu sakiewkę bogatą,
„a jutro przy Mszy świętej za nas westchnij, wspomnij!“
„wspomnę! lecz o was będą pamiętać potomni...
z pieniędzy monstrancję kupię i kielichy,
za was przy Mszach ksiądz pacierz będzie zmawiać cichy.

9.

Gdy Ondraszek obdarzył hojnie wikarego,
Jurasz zgrzytał z zazdrości, nie życzył mu tego,
a oczy by u wilka wnet się zaiskrzyły
i na szyi nabrzmiały od chciwości żyły,
gdy w rękach wikarego zobaczył pieniądze ,
takie one wzbudziły w rozbójniku żądze...

Był widzieć kiem sakiewki, jakby żądłem żgnięty,
więc wymyślał przezornie przeróżne podstępny,
jakby się mógł wydalić z pod oczu nieznacznie...
w krótkce orgja zbrodni w duszy grać mu zacznie:
widzi jak wikaremu skarb z sakiewką złupi,
a jego zewłok broczy we krwi blado-trupi...

IO.

I odjechał wikary z podwójną zasługą,
bo duszę Ondraszkową uleczył na długo
i połączył go z żoną kościelnym obrzędem,
więc szeptał ucieszony: dumny z tego będę,
żem dusze uratował, zawrócił z złyj drogi,
a święte sprząty będzie miał kościół ubogi...

Gdy tak myśli swych zbożnych jasną nitkę przedzie,
słyszy, że za nim trzeszczą złamane gałęzie...
Jurasz cały zsiniały nagle go dopędza
i by pieniądze złupić, godzi w głowę księdza!
ten krzyknął tylko „Jezu!“ padł by dąb strzaskany,
bo mózg i krew wytrysły wraz z otwartej rany...

II.

I do dziś między ludem wieść się o tem niesie...
i dziś jeszcze wskazują straszne miejsce w lesie,
gdzie Jurasz się dopuścił zbrodni kainowej
i dla marnej mamony rozbił księdzu głowę...
na miejscu zbrodni trysło źródło żywe, rwące,
niedaleko od drogi na „Zbocz-Kubalonce“...

I do dziś na tem miejscu nigdy śnieg nie leży,
choć szczyty i doliny lśnią w jego odzieży,
na tem miejscu śnieg zawsze wytaje najskorzej,
a w tem widzą górale znak i palec Boży...
każdego na tem miejscu strach w swój uścisk bierze,
nawet i niedowiarek szepce tu pacierze...



FRANCISZEK POPIOŁEK.

Z przeszłości szkolnictwa polskiego w Cieszynie.

Szkolnictwo polskie w Cieszynie miało w początkach swoich do przebycia cierniową drogę. Wszystkie wpływe czynniki pracowały nad tem, żeby do powstania go nie dopuścić, a potem, gdy mimo to powstało, byt mu utrudnić.

Do r. 1895 nie było w żadnym mieście Śląska Cieszyńskiego szkoły polskiej, ani ludowej, ani średniej, ani publicznej, ani prywatnej. Uczniowie polscy, którzy uczęszczali do niemieckich szkół średnich w Bielsku czy Cieszynie, wynaradawiali się, z wyjątkiem poszczególnych nielicznych jednostek, i przepadali dla polskości.¹⁾ W r. 1895 było w gimnazjum niemieckiem w Cieszynie 116, w szkole realnej 124 uczniów polskich.

Gdy rozeszła się wiadomość, że Macierz Szkolna dąży do założenia gimnazjum polskiego w Cieszynie, Niemcy wszczęli alarm. Wydział gminny cieszyński próbował z początku zażegnać to niebezpieczeństwo przez zaprowadzenie w szkołach ludowych i wydziałowych obowiązkowej nauki języka polskiego, oraz staranie o wprowadzenie tej nauki także w szkołach średnich cieszyńskich. Odpowiedni wniosek został postawiony na posiedzeniu Wydziału z 16. III 1895. Uzasadniano go ze stanowiska niemieckiego (dr. Bukowski) tem, że „musi się dbać o to, żeby dzieci niemieckie nie musiały gdzieindziej szukać chleba z powodu nieznamośności drugiego (polskiego) języka krajowego, że to umożliwi Polakom śląskim kształcenie swych dzieci w zakładach niemieckich“. Ponieważ wyto-

niły się także pewne wątpliwości, odesłano wnioski do miejskiej komisji szkolnej, która miała sprawę zbadać wszechstronnie i zreferować na następnym posiedzeniu.

Komisja szkolna przedstawiła sprawę przez usta dyrektora szkoły ludowej i wydziałowej (Metznera) na posiedzeniu z dnia 7. V., oświadczając się przeciw wprowadzeniu języka polskiego jako obowiązkowego i motywując to następująco: „Na podstawie § 19 ustawy zasadniczej, rozporządzeń Ministerstwa i Rady Szk. Kraj. nie może istnieć przymus uczenia w szkołach publicznych drugiego języka krajowego. Zważywszy, że przy obecnych planach naukowych nie można dodawać jeszcze jednego przedmiotu bez szkody dla rozwoju fizycznego i umysłowego uczniów, wynikającej z przeciążenia, że przez ukrócenie innych przedmiotów nauki wyniki nauczania musiałyby wogóle mocno ucierpieć, a szkoda byłaby tem większa, ile że przy mianowaniu sił nauczycielskich miarodajne byłyby nie zdolności pedagogiczne i zawodowe, lecz tylko znajomość kilku języków, zważywszy dalej, że z jednej strony w szkołach średnich musiano by zaprowadzić nie jeden, lecz 2 słowiańskie języki krajowe, co by spowodowało nowe trudności w nauczaniu i że z drugiej strony zmiana taka pociągnęłaby za sobą różnicę w organizacji między szkołami cieszyńskimi a szkołami wszystkimi austriackimi, zważywszy następnie znaczenie polityczne zmiany tego rodzaju na niekorzyść Niemców, bo w ten sposób sami Niemcy działaliby na szkodę Niemców w państwie, przedewszystkiem zniszczyliby dotychczasowy charakter zakładów naukowych, a — jak tego dowodzą obecne starania koło założenia gimnazjum

¹⁾ Księga o Śląsku („Znicz“), art. „Szkoła a kultura“, oraz: ks. Tomanek: Młodzież polska w niemieckich szkołach średnich (Sprawozdanie gimn. z r. 1920).

polskiego — nie doczekaliby się za to żadnego uznania ze strony ludności słowiańskiej — zważywszy zatem te wszystkie okoliczności, należy zaniechać wprowadzenia języków słowiańskich w publicznych szkołach miasta Cieszyna i nad tą sprawą przejść do porządku dziennego.“ Wniosek ten został przyjęty.

W tem rozumowaniu Wydziału gminnego, usiłującego obawę o niemiecki charakter Cieszyna osłonić rzekomą troską o wyniki nauczania, zwrócić należy uwagę na fakt stawiania na równi języka polskiego i czeskiego, jakkolwiek w Cieszynie — według urzędowego, niekorzystnego dla Polaków spisu ludności z r. 1900, naliczono wtedy 5950 Polaków, a tylko 1050 Czechów.

Niemcy cieszyńscy uznali zatem ostatecznie naukę języka polskiego za niepotrzebną i niebezpieczną, oraz za bezcelową o tyle, że nie widzieli możliwości zapobieżenia przez to założeniu gimnazjum polskiego.

Natomiast rozszerzono w tym roku nadobowiązkową naukę tego języka, wprowadzając ją we wszystkich oddziałach szkoły powszechnej i przyznając wynagrodzenie za udzielanie jej (na posiedzeniu z 26. VII. 1895). Uczyli go w tym czasie nauczyciele: Eppich, Pustelnik, Drastich i Hodurek. O jednym z nich wiem, że dopiero w parę lat później uczył się początków języka polskiego. Ale też w tej sprawie nie chodziło o nic innego, jak o to wynagrodzenie. Że tak było istotnie, o tem świadczy fakt, że właśnie nauczyciele, należący do Wydziału gminnego i komisji szkolnej oraz zgrupowani w Towarzystwie „Deutscher Pädagogischer Verein“ oświadczyli się stanowczo przeciw wprowadzeniu nauki obowiązkowej i przeforsowali odmienną uchwałę od tej, jaką powziął poprzednio Wydział gminny.

Gdy Polacy się przekonali naocznie, że ze strony rządzących Niemców nie

mogą liczyć w żadnej mierze na uwzględnienie najskromniejszych swoich postulatów, dążyli tem usilniej do założenia gimnazjum polskiego, oczywiście prywatnego, bo o tem, żeby państwo je utworzyło, nie mogło społeczeństwo polskie marzyć. Posłowie polscy ze Śląska i opinja publiczna naciskały na Koło polskie we Wiedniu, które wreszcie wymogło na rządzie pozwolenie na założenie. Notatkę o tem jedno z pism wiedeńskich, nieurzędowych, zaopatrzyło tendencyjnym, niezgodnym z prawdą komentarzem, że Rząd przyrzekł temu gimnazjum już na rok pierwszy subwencję w kwocie jeszcze nieokreślonej.

Wiadomość ta wywołała wśród Polaków niepożądany skutek: zmniejszenie się ofiarności na rzecz „Macierzy“ i gimnazjum, które miała założyć.²⁾ Wśród Niemców zawrzało. Natychmiast zebrał się Wydział gminny na posiedzenie (13. VIII. 1895), na którym dr. Bukowski (wiceburmistrz) odczytał złożony przez siebie projekt petycji do Prezydium Rady ministrów tej treści: „Już wiadomość o założeniu polskiego gimnazjum prywatnego w Cieszynie wywołała wśród ludności niemieckiej miasta naszego i Śląska niemałe wrażenie, spowodowane troską, że przez to gimnazjum powstanie ważny środek do polonizacji miast Śląska wschodniego. To poruszenie wzrosło jeszcze bardziej przez dokładne relacje prasy, że Rząd zamierza na ten rok przyznać gimnazjum polskiemu z funduszków państwowych subwencję, a w następnym roku wstawić do budżetu odpowiednią dotację.

Cieszyńskie szkoły średnie czynią w zupełności zadość dotychczasowym potrzebom całej ludności Śląska, o czem świadczy chlubnie nadzwyczaj zadowolona-

²⁾ Pisze o tem ks. Londzin w art. „Założenie i pierwsze lata istnienia gimnazjum polskiego w Cieszynie (Sprawozdanie gimn. 1920).

jący poziom wykształcenia, przede wszystkim zaś wśród ludności polskiej na Śląsku.

Jeżeli mimo to dąży się do założenia drugiego gimnazjum, to przyczyną tego nie mogą być braki w wykształceniu, lecz chodzi tu — rzecz jasna — o agresywną narodową akcję. Mimo to gmina nie zwalczałaby tego zakładu, gdyby był utrzymywany ze środków prywatnych. Całkiem inaczej się jednak rzecz ma, jeżeli zakład ma być wspierany ze środków państwowych i jeżeli te środki mają służyć do tego, żeby istniejący dotąd pokój narodowościowy na Śląsku był zakłócony, a spokojne i lojalne mieszczaństwo było sprowokowane do walki narodowościowej, nie mówiąc o tem, że w ten sposób najlepsze gimnazjum państwowe ma ponieść dotkliwą szkodę wskutek konkurencji, popartej przez Rząd.

Podpisane zastępstwo miasta Cieszyna uważa za swój obowiązek patriotyczny zwrócić Wysokiemu Rządowi uwagę na te wszystkie okoliczności, w przekonaniu, że Rząd w interesie pokoju narodowościowego w mieście i kraju uczyni wszystko, żeby wymienionym wyżej następstwom zapobiec.“

Rezolucję tę przyjęto jednogłośnie i skierowano do Rady Ministrów. Na tem się jednak nie ograniczyła akcja gminy przeciw przyszłemu gimnazjum polskiemu. Na tem samym posiedzeniu burmistrz dr. Demel, „stając w obronie niemieckiego gimnazjum w Cieszynie przeciw polskiej konkurencji, a młodzieży śląskiej przed uwiedzeniem i agitacją (Verführung und missbräuchliche Agitation)“, zaproponował utworzenie z funduszków miejskich szeregu stypendjów dla uczniów, pochodzących ze Śląska wschodniego, którzy wstąpią w bieżącym roku do I klasy gimnazjum niemieckiego, co Wydział gminny również uchwalił.

Na tem posiedzeniu była jeszcze tylko traktowana sprawa rezygnacji dra

Kluckiego z mandatu poselskiego. Próbowano go nakłonić do cofnięcia jej. Klucki jednak nie ustąpił, tłumacząc się, że stanowisko posła z tego miasta jest coraz trudniejsze, „nie tylko bowiem daje się odczuć silny polski ruch, lecz także



15. Kamienica przy ul. ks. Świeżego, w której mieściła się polska szkoła ludowa Macierzy Szkolnej w Cieszynie. Dziś mieści się w niej Bursa Macierzy Szkolnej.

inne prądy biorą górę i na to, żeby podjąć trudnościom, trzeba młodego człowieka“. Wspominam o tem dlatego, że ojciec jego był właśnie jednym z założycieli pierwszego pisma polskiego na Śląsku Cieszyńskim, a więc pionierem niejako tego ruchu, na który syn narzeka i

którego się też wyparł, nazywając się Klukim, podczas gdy ojciec nazywał się poprostu: Klucki.

Do protestu przeciw gimnazjum polskiemu przyłączyła się także gmina Bielsko, tylko „Berlin śląski“, jak go nazywano, uczynił to ostrzej, namiętniej, „Wolni od narodowego szowinizmu — brzmi rezolucja zastępstwa gminy — a jednak ożywieni pragnieniem, aby niemiecki zwyczaj i obyczaj na Śląsku były utrzymane w dalszym ciągu w stanie nie naruszonym i stulecia trwający stan posiadania niemieckiego ludu w tej różnojęzycznej monarchji nie był uszczuplony, widzą członkowie Rady miasta Bielska w założeniu polskiego prywatnego gimnazjum w Cieszynie, nieuzasadnionem żadną istotną potrzebą, nietylko prowokację ludności niemieckiej Śląska wschodniego, lecz także źródło wzmagającej się ciągle waśni narodowościowej. Różne narodowości, żyjące dotychczas na Śląsku w pokojowym porozumieniu, są bez żadnej przyczyny podburzane i niezgoda narodowościowa, która już monarchji tyle szkód przyniosła, będzie oddziaływała także w tym kraju ze szkodą dla dobrobytu gospodarczego. Przez założenie gimnazjum polskiego będzie przygotowywane niewątpliwie spolszczenie Śląska wschodniego. Ma ono służyć zatem nie dla ochrony tego, co jest, lecz do zaspokojenia jednostronnych narodowych aspiracyj, które do istniejących dotąd zakładów nie miały dostępu i nie będą go miały. Przypuszczalna jednostronność narodowa, którą wychowankowie wyniosą z tego zakładu, stworzy z nich niezawodnie fanatycznych agitatorów, którzy po wyjściu z gimnazjum rozproszą się po Śląsku. Działalność ich także Rządowi nie będzie na rękę. Rada miejska musi wyrazić obawę, że wtedy także Bielsko stanie się punktem zbornym takich żywiołów, hamujących każdą pożyteczną działalność, zakłócają oni dotychczasową zgodę wśród mieszczaństwa i zaszko-

dzą przysłemu rozwojowi miasta. Uważamy zatem za obowiązek swój wyrazić nasze głębokie obawy, płynące z serdecznej troski o dobro naszego miasta i kraju, zwrócić uwagę Rządu na niepożądane konsekwencje, które pociągnie za sobą założenie polskiego gimnazjum w Cieszynie i prosić najusilniej, aby nie dopuścił do naruszenia pokoju narodowościowego w kraju oraz zastosował odpowiednie środki, by z zakładu pozornie naukowego nie wyszła działalność agitacyjna i rozkładowa najgorszego gatunku.“³⁾

Założenie prywatnego gimnazjum polskiego w kraju, liczącym według spisu urzędowego 72.000 Niemców, a 238.000 Polaków, było zatem w oczach Niemców prowokacją i zakłóceniem pokoju narodowościowego.

Odtąd Niemcy śląscy nie spuszczaają z oka sprawy polskiego gimnazjum. Organ ich „Silesia“ ma stałą rubrykę p. t. [Polnisches Gymnasium, oprócz artykułów wstępnych, które mu poświęca, w niej zaś notuje skwapliwie to wszystko, coby mu mogło zaszkodzić. Bierze n. p. gorąco w obronę dra Molina, Ślązaka, profesora krakowskiego gimnazjum, który w „Nowym Czasie“ ogłosił artykuł przeciw założeniu gimnazjum polskiego, a gdy z tego powodu Ignacy Żółtowski, który Molina wspierał materialnie podczas studjów uniwersyteckich, zażądał zwrotu pieniędzy względnie ofiarowania ich na rzecz gimnazjum polskiego, on zobowiązał się dawać przez 10 lat po 50 zł. na wsparcie dla uczniów gimnazjum niemieckiego pochodzenia polskiego, lecz niemieckich przekonań. Molin aspirował do katedry uniwersyteckiej, lecz nie otrzymał jej. Stąd obraza. Sprawa ta była głośna w swoim czasie.

Innym razem podchwyciła redakcja za „Nowym Czasem“ notatkę z lwowskiego „Przeglądu“, w której miało być wyrażone życzenie, aby gimnazjum polskie uczyło kochać naszą wiarę katolic-

³⁾ „Silesia“ z 25. VIII 1895.

ką"; z tego wysnuwa wniosek, że gimnazjum będzie miało charakter wyznaniowy i zwraca na to uwagę ewangelików śląskich. Miała ona na celu ostrzeżenie ich przed dawaniem synów do tego gimnazjum.

Ten sam cel: ostrzeżenia Polaków śląskich przed gimnazjum polskim miała wiadomość, że dyrektorem jego został: Daniel Parylak, Rusin, niesprostowana później, chociaż w redakcji z pewnością wiadano wkrótce, że pierwszym dyrektorem został Piotr Parylak, Polak, polonista.

Agitacja przeciw gimnazjum polskiemu osiągnęła skutek. Rząd zwlekał długo z pozwoleniem na otwarcie gimnazjum, gdy je wreszcie udzielił, wstrzymała je przez długi czas Rada Szkolna Krajowa w Opawie i nadeszło dopiero wtedy, gdy już wpisy do szkół niemieckich były ukończone, a rodzice polscy tracili nadzieję wogóle, czy to gimnazjum będzie otwarte. Rząd uspokoił zresztą rozszonionych Niemców zezwoleniem na otwarcie piątej szkoły średniej na Śląsku Cieszyńskim, prywatnego, lecz obficie subwencjonowanego gimnazjum we Frydku, oraz utworzeniem przy gimnazjum niemieckim w Cieszynie i szkole realnej w Bielsku klas przygotowawczych, które miały przygotowywać dzieci polskie dla szkół niemieckich.

Aż znowu zaniepokoił się Niemcy, gdy Polacy wszczęli akcję w sprawie szkoły polskiej ludowej.

Gimnazjum polskie istniało już parę lat, ale do niego przychodzili tylko synowie rolników i robotników ze wsi. Z Cieszyna nie było uczniów, ponieważ wszystkie szkoły ludowe cieszyńskie były niemieckie i z nich szły dzieci do szkół średnich niemieckich. Grono obywateli cieszyńskich (Hilary Filasiewicz i towarzysze) wniosło prośbę do Rady Szkolnej Krajowej w Opawie, aby poleciła gminie założenie polskiej szkoły, lecz

stamtąd otrzymało odpowiedź odmowną, co Rada gminna przyjęła „z zadowoleniem“ do wiadomości (19. II. 1900). Orzeczenie było uzasadnione tem, że „według badań, przeprowadzonych przez Radę szkolną powiatową w okresie lat 1893-4—1897-8 było przeciętnie tylko 31 dzieci w wieku szkolnym, których rodzice uznali się za przynależnych do narodowości polskiej i żądali nauki w języku polskim, a najmniejsza wymagana liczba wynosi 40.“

W korespondencji urzędowej z władzami szkolnymi panowała niepodzielnie niemczyzna. Gdy jedno z pism cieszyńskich wezwało, przy sposobności przyszłych wyborów do Rady szkolnej powiatowej, swoich sympatyków, aby wybierali tylko tych ludzi, którzy się nie obawiają żądać równouprawnienia w szkole, napisała „Silesia“ w artykule „Schule und Politik“ (z 19. VI. 1900): „Widać, niektórzy panowie są ruchliwi i skromni. W jakim znaczeniu chcą mieć to równouprawnienie? Czy im to nie wystarczy, że szkołom wiejskim pozwala się uczyć w polskim języku? Że niektóre gminy wiejskie mają w swych szkołach wyżej zorganizowanych język wykładowy niemiecki, to do tego mają zupełne prawo i po ich stronie stoi praktyczny cel szkoły. Czego się chce od tego równouprawnienia? Prawdopodobnie chce się żądać, żeby językiem korespondencji urzędowej był polski, żeby na konferencjach nauczycielskich mówiono także po polsku i t. p.“

Gdy Wydział gminny odmówił założenia dla 6000 Polaków szkoły publicznej z polskim językiem nauczania, poczyniła „Macierz Szkolna“ starania o założenie szkoły prywatnej. Ułożono się z p. Alfonsem Matterem, który właśnie stawiał dom czynszowy (ryc. 15) na dzis. ulicy ks. Świeżego (obecna bursa „Macierzy“) co do wynajęcia tego budynku dla niej. Ale p. Matter był członkiem

Wydziału gminnego. Na posiedzeniu tegoż z 2. II. 1900 p. dr. Hinterstoisser, dyrektor szpitala śląskiego, poprosił o głos i oświadczył: „Panowie czytaliście w gazetach o zamierzonym założeniu polskiej szkoły „Macierzy“ w Cieszynie (w protokołach i pismach nazywana jest Macierz stale „polnischer Schulverein“). Prawdziwe oburzenie musi napęlić każdego, że członek tego niemieckiego zastępstwa gminnego odgrywa rolę Efialtera (zdrajcy) w tej sprawie. P. A. Matter, członek Wydziału gminnego, oddaje, jak kiedyś dla polskiego gimnazjum, tak tym razem dla polskiej szkoły ludowej świeżo wybudowany dom, prowadzi rokowania w tej sprawie. Nasze niemieckie zastępstwo gminne oświadczyło się kilkakrotnie jednogłośnie przeciw założeniu szkoły polskiej i musi bezwarunkowo potępić takie zachowanie się członka Wydziału gminnego. Stawiam zatem następujący wniosek: Obradujący dziś Wydział gminny Cieszyna wyraża członkowi Wydziału Alfonsowi Matterowi z powodu jego stanowiska w sprawie szkoły polskiej najostrzejsze potępienie (die schärfste Missbilligung)“. Za nagłośnią wniosku przemawiał dr. Tront, który wskazał na to, że przez wynajęcie domu Macierzy popiera się cel agitacyjny, gdyż zezwolenie Rady Szkolnej na założenie szkoły polskiej nastąpi tylko w takim razie, jeżeli Towarzystwo dostarczy lokalu. Ponieważ p. Matter polskiemu Towarzystwu oddaje dom, to w ten sposób popiera założenie polskiej uczelni. Przez to działa p. M. na szkodę materialną gminy, gdyż dalszą konsekwencją będzie przejęcie tej szkoły na etat gminy.

Przystąpiono do głosowania. Za wnioskiem oświadczyło się 23 członków Wydziału, nie głosowali za nim tylko pp. Tugendhat i Presser (2 żydowscy członkowie Wydz.). Burmistrz stwierdził z zadowoleniem, że wniosek przeszedł prawie jednogłośnie.

Sprawa szkoły polskiej była jeszcze przedmiotem obrad na kilku następnych posiedzeniach Wydziału gminnego. P. Matter, ulegając widocznie naciskowi swych towarzyszy niemieckich, zerwał rokowania z „Macierzą“ w sprawie wynajęcia budynku, za co Wydział gminny wyraził mu podziękowanie. Równocześnie jednak tenże wystąpił na posiedzeniu z 20. II. z obroną swego postępowania, oraz protestem przeciw uchwale, potępiającej go, uważając ją za bezprawną, gdyż jako człowiek interesu i ojciec rodziny nie mógł postąpić inaczej. Odpowiadał na to wnioskodawca uchwały potępiającej, dr. Hinterstoisser, twierdzeniem, „że jego wniosek był skierowany wyłącznie przeciw p. M. jako członkowi Wydziału, a nie przeciw prywatnej osobie lub komendantowi straży pożarnej (którym był p. M.). Dopóki p. Matter podaje się za Niemca, musi jako członek tego niemieckiego Wydziału gminnego podlegać krytyce. W mieście Cieszynie, które jest zalewane falą słowiańską, wolno chyba stanąć na straży niemieckiego charakteru. On (dr. H.) wziął na siebie tę rolę strażnika i nie da się powstrzymać atakami prasy, poza którą stoją osobniki o bardzo ciemnym charakterze.“

Na posiedzeniu Wydziału gminnego 22 III. znowu zajmowano się sprawą szkoły polskiej. Burmistrz zakomunikował, że adaptacja budynku dla szkoły polskiej postępuje naprzód, pomimo, że budowniczy Jedek wycofał się od prowadzenia budowy, i zażądał od p. M. wyjaśnienia. Tym razem z atakami przeciw niemu, w nieobecności dra Hinterstoissera, wystąpił dyrektor szkoły realnej, Januschke, również zaciekle wróg Polaków. On to dowodził, że niestusznym jest powoływanie się Mattera w swojej obronie na to, że dr. Hinterstoisser leczy także polskich pacjentów, a księgarze cieszyńscy sprzedają swoje książki również Polakom,“ to jest bowiem obowiązkiem

każdego lekarza, a takie zaparcie się zasługuje poprostu na podziw; co innego jest jednak popierać cele polskich agitatorów i przez to wspierać ich dążenia do spolszczenia miasta. P. Matter występował nieraz przeciw agitacji polskiej, a teraz sam jej daje broń do ręki. Przez to wytworzyła się między nim a ludnością niemiecką przepaść, która się nigdy nie wyrówna.“

Dyskusja zakończyła się stwierdzeniem burmistrza dra Demla, że szkoła polska ma cel wyłącznie i wybitnie agitacyjny, a założenie jej nie odpowiada ani potrzebom ani życzeniom ludności mówiącej po polsku.

P. M. ukarano za odstąpienie budynku dla szkoły polskiej nie tylko podtrzy-

maniem uchwały, wyrażającej mu najostrzejszą naganę, ale także wykluczeniem go z niemieckiego Towarzystwa (Deutscher Verein) i odmówieniem mu kredytu w banku, którego był cenzorem.

Niemcy bronili swego stanu posiadania zaciekle, do ostateczności, aż do zagłady Austrii; bo gdy na nią przyszły ciężkie chwile, gdy jej byt został zagrożony, wtedy mało było takich, którzyby jej chcieli naprawdę bronić, wiedząc, że jej wygrana to zwycięstwo Niemców, a tego nikt chyba na świecie poza Niemcami, sobie nie życzył.

Szkoły polskie zaś, założone pomimo tylu przeszkód, utrzymały się i — bez agitacji, której nie uprawiały — spełniły swoje zadanie.

MIECZYŚLAW GŁADYSZ.

U progu epokowego dzieła.

Prasa podała niedawno krótką notatkę, że w styczniu r. b. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze w Warszawie przystąpiło do opracowania nowego **Słownika Geograficznego Państwa Polskiego**.

Wiadomość ta została podana tylko przez drobną część prasy, reszta zbyła ją milczeniem. Widocznie nie doceniono ogromu zadania, jakiego podjęła się garka ludzi, powołana przez wymienione Towarzystwo. Dlatego też zamierzonemu dziełu poświęcamy więcej miejsca na użyczonych nam szpaltach.

Dawny Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, wydany w latach 1880—1904 staraniem Władysława Walewskiego i Kasy im. Mianowskiego, dzieło wielkie, imponujące rozmiarami i pracowitością (szesnaście grubych tomów), opracowało zaledwie kilku ludzi pod redakcją i z głównym udziałem Filipa Sulimierskiego, Bronisława Chlebowskiego i Józefa Krzy-

wickiego. Praca ta, w wielu wypadkach pozbawiona źródłowych opracowań, zawiera wiele wiadomości mylnych. Przepełniona materiałem historycznym, nie zawsze odpowiadała swojemu celowi, a nie uwzględniając zaś badań z całego ostatniego półstulecia, posiadając przytem przedawnione wiadomości statystyczne, nie może już spełniać swojego zadania po odzyskaniu niepodległości.

Dr. A. Maciesza, prezes Towarzystwa Naukowego w Toruniu, wychodząc z podobnych założeń, poruszył sprawę opracowania nowego Słownika na zjeździe P. T. K. w Poznaniu w 1929 r. Inicjatywę tę podjęło P. T. K., a głównie dzięki prof. A. Patkowskiemu i prof. S. Arnoldowi doprowadzono do rozpoczęcia prac nad nowym **Słownikiem**. Zaproszono cały szereg instytucji i towarzystw naukowych oraz kilku wybitnych uczonych polskich. Na posiedzeniu delegatów powołanych instytucji i towarzystw nau-

kowych utworzono Główną Radę Redakcyjną. W skład jej prezydium weszli: prof. E. Romer, jako przewodniczący, prof. Fr. Bujak, prof. B. Hryniewiecki, S. Małkowski, prof. J. Smoleński, Al. Janowski i prof. A. Patkowski.

Na redaktora naczelnego powołano dra Stanisława Arnolda, prof. Uniw. warszawskiego, który łącznie z komitetem redakcyjnym ma decydować o wszystkich sprawach, związanych z metodyczną i techniczną stroną wydawnictw, zgodnie z ustalonymi przez Radę Redakcyjną „zasadami opracowania Słownika Geograficznego“.

Główna Rada Redakcyjna powołała do pomocy komitetowi redakcyjnemu Komisje Regionalne. Do śląskiej Komisji Regionalnej powołano dra Wacława Olszewicza, wiceprezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku.

Nowy Słownik ma być encyklopedją ziem polskich i dawać wyczerpujące informacje o wszystkich osiedlach ludzkich, górach, rzekach, jeziorach i t. d., znajdujących się nie tylko na terenie całej Rzeczypospolitej, ale i na ziemiach ościennych państw, etnograficznie lub historycznie z nią związanych.

Słownik dalej ma być obrazem życia Rzeczypospolitej i służyć do jej poznania. Mają z niego korzystać zarówno władze polityczne, administracyjne, samorządowe, szkoły, nauka, prasa, organizacje gospodarcze, społeczne, instytucje kulturalno-naukowe, turystyczne, sportowe, jak i dla cudzoziemców ma zawierać wyczerpujące i ścisłe wiadomości o rozwoju Polski.

Jak widać, praca to ogromna i uciążliwa w samym już zgromadzeniu materiałów, a co dopiero mówić o jego naukowemu opracowaniu, które będzie wymagało rozległej i głębokiej wiedzy całego szeregu uczonych z różnych dziedzin wiedzy, a pochłonie ogrom energii, nim powstanie dzieło, godne nauki polskiej.

Nowy Słownik ma objąć piętnaście tomów, około 750 arkuszy druku, a więc tyle mniej więcej, co dawny. Jakkolwiek z jednej strony będzie korzystał Słownik z dorobku ostatnich dziesiątek lat i będzie mógł w formie treściwej podać wyniki ostatnich badań, co może wpłynąć na pomniejszenie ilości tomów, to przecież z drugiej strony, opierając się na badaniach terenowych, będzie musiał uwzględnić o wiele większą ilość nazw miejscowych, niż to uczynił dawny.

Jeżeli chodzi już o sam Śląsk, to kilka zaledwie wsi beskidzkich przyniosło nam dotychczas około tysiąca ciekawych nazw miejscowości. Cóż dopiero przyniesie Niż Śląski, zamieszkały przez Walachów i Lachów, grupy etnicznie tak bogate w nazwy, a gdzie reszta Śląska, która obejmie kilkanaście tysięcy pozycy? A przecież Śląsk jest najmniejszym województwem w Polsce. Trudno nam też przypuścić, czy redakcja pomieści zebrany materiał w ramach zamierzonego wydawnictwa.

Jak już wspomniano, Główna Rada Redakcyjna powołała do współpracy Komisje Regionalne, które mieszczą się w miastach uniwersyteckich lub tych, które posiadają odpowiednie warsztaty naukowe.

Na Śląsku podjęło się tej ważnej pracy Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wyłaniając z pośród swoich członków Komisję, na której czele stać będzie każdorazowy prezes towarzystwa.

Rozumiejąc zaś, że praca na Śląsku nabiera szczególniejszego znaczenia, że w wielu wypadkach będzie to praca od podstaw, bowiem Śląsk zapomniany był przez polską naukę, a tak często tendencyjnie opracowywany przez badaczy niemieckich, zaprosił ks. prałat dr. Emil Szramek, jako przewodniczący śląskiej Komisji, instytucje i stowarzyszenia naukowe, mające swe siedziby na terenie województwa śląskiego, a posiadające wy-

bitnych znawców minionego i współczesnego życia Śląska, do współpracy. Prace Komisji znalazły też gorące przyjęcie. Najwydatniej poparł ją jednakże wojewoda śląski, dr. Michał Grażyński i naczelnik W. O. P., dr. Ludwik Ręgorowicz, przez przydział do pracy podpisanego, jako stałego sekretarza tejże Komisji, dalej dyrektor dr. T. Dobrowolski, przez udzielenie lokalu na biura Komisji w Muzeum Śląskiem, oraz dyrektor Biblioteki Sejmowej, prof. dr. K. Hartleb, przez udostępnienie cennych zbiorów, bogatych w s i l e s i a c a.

Nic też dziwnego, że dzięki tak sprzyjającym warunkom prace śląskiej Komisji Regionalnej posunęły się znacznie, wyprzedzając tem samem inne dziełnice. Komisja posiada dziś około stu członków-korespondentów z całego terenu, objętego jej działalnością, lecz jakże to jest mało w porównaniu z wielkością zadania.

Aby prace Komisji wydały jak największe owoce, powinni z nią współpracować ci wszyscy, którzy dzięki znajomości warunków miejscowych w okolicy, którą zamieszkują, mogą w pracy nad Słownikiem służyć cenną pomocą. To też śląska Komisja Regionalna odwołuje się o pomoc i współpracę do tych, którzy zarówno ze względu na swą działalność bądź teoretyczną, bądź też praktyczną, mogą interesować się należytyym opracowaniem Słownika.

Pierwszym etapem pracy jest zebranie wszystkich nazw geograficznych, występujących na terenie danej gminy, według kwestjonariusza, który chętnym do pracy na żądanie prześle Komisja Regionalna (Katowice, Muzeum Śląskie, „Słownik Geograficzny“).

„Cały zapas nazw geograficznych kądźdego narodu jest wielkim rozdziałem wielkiej księgi żywota, jaką naród z woli Bożej układa.“ (Rozwadowski, Język polski, II, 7.)

Zbieranie nazw, które lud daje okolicznym wzgórzom, przysiółkom, dworom¹⁾, folwarkom, rzekom, strumieniom, potokom, drogom, łąkom, pastwiskom, lasom, polom i t. d. — daje w zamian zbieraczowi wiele zadowolenia wewnętrznego. Zaczynamy wtedy rozumieć znaczenie dawno zapomnianych wyrazów i głębiej poczynamy kochać te skromne osiedla. Miłość bowiem prawdziwa kraju polega na jego poznaniu i rozumieniu. Z drugiej strony przyczynia się zbieracz do wzbogacenia nauki polskiej.

Zbierać powinno się najdrobniejsze nawet nazwy i to nietylko dziś występujące, ale i przechowane jedynie w pamięci starszego pokolenia. W tych drobnych napozór nazwach miejscowości przechowuje się przastare formy językowe, dawno w mowie potocznej zapomniane, na podstawie których językoznawcy odtwarzają brzmienie polszczyzny w dawnych wiekach, etnografowie wykreślają zasięg fal kulturalnych, archeolodzy określają dawne siedziby plemion, a historycy granice narodów.

W Beskidzie Śląskim mamy ogromne bogactwo nazw geograficznych. Świadczą one zatem o wielkiem bogactwie gwar śląskiej. Góral śląski wśród warunków twardych zakładał coraz to nowe osiedla, t. zw. dwory, i nazywał je szczegółowo. Dzisiaj ta obfitość wyrazów niknie, zatraca się coraz bardziej i ginie ze słownika młodszego pokolenia. Zmienia to życie. Któż dziś rozumie znaczenie zorków, łązów, owych wierzgoni, ścięgien, brusów, płoni i plenisk, które są często jedynymi dokumentami niepisanych czasów, a są jednym z poważnych objawów naszej kultury.

Śląska Komisja Regionalna przywiązuje wielką wagę do zebrania nawet najdrobniejszych nazw miejscowości, bo je-

¹⁾ Dworem nazywa się na Śląsku Cieszyńskim grupę domów.

śli chodzi o Śląsk, to nie posiadamy z tej dziedziny ani jednej wyczerpującej pracy. Mamy coprawda materiał bardzo wartościowy w niektórych dawniejszych pracach²⁾, oraz szereg przyczynków, rozrzuconych w „Gwiazdce Cieszyńskiej“⁽³⁾ lub „Katoliku“, ale to nie wyczerpuje materiału ani w drobnej części.

Śląsk posiada mnóstwo zabytków, niewykazanych dotychczas w innych dzielnicach Polski. Przytoczę tu tylko **tatry**, jako wyraz pospolity, używany w Beskidzie Śląskim, a oznaczający nieużytki, zapadliska, niebezpieczne miejsca. Zbadany szczegółowo dorzuci trochę światła do badań prof. Rozwadowskiego nad pochodzeniem nazwy Tatr.

Oczywiście będziemy mieli nazwy miejscowości wspólne całej Polsce, ale będą i rzeczy odrębne, wynikające z od-

miennych warunków i stanu śląskiej kultury.

Mamy nowe i stare wsie, górki, grody, piaski, miasteczka, kamienie, strumienie — o nazwach, wspólnych wszystkim ludom.

Mamy nazwy, charakteryzujące duszę śląską i jej umiłowanie ziemi i przyrody, objawiające się w owych **brzeziach, brzezinach, brzezinkach, dąbrówkach, dębowcach, lipinach, jedłownikach, lyskach, leszczynach** i t. p.

Mamy wołoskie pomniki w rodzaju **Czerhli i Czantoryj, czeskie przybłędy, rozczęścia i gronie**, ale też i odrębne: **ja-gielnie, kotucze, stramby, wierzgonie, wydzierki, zapadliny, podpleniska...**

Zebrane nazwy mówić nam będą o osadnictwie, zajęciach i ustroju społecznym: Łagiewniki, Strzelce, Woźniki...

²⁾ **Adamy H.:** Die schlesischen Ortsnamen, ihre Entstehung und Bedeutung. Ein Bild aus der Vorzeit. Breslau Priebatsch, 1887. 8-ka, str. III + 76. — Toż, zweite, vermehrte und verbesserte Auflage, tamże, 1889. 8-ka, str. IV + 146. — Rec.: A. J. Parczewski, Wisła, II, 415—419.

Drzażdżyński Stanisław: Słowiańskie nazwy miejscowości na Śląsku Pruskim. I) Powiat Głubczycki, Wisła, X, 630—642 i XI, 119—133. — II) Powiat Raciborski, Wisła, XIX, 337—364 i 497—523. — III) Powiat Kozielski, Lud, XIX, 1—30.

Tenże: Die slavischen Ortsnamen Schlesiens. Teil I. Leobschütz (Głubczyce). Sprawozdanie król. katol. gimn. za r. 1895-6. Stron 14. — Rec.: Dr. A. Kalina, Lud, II, 173. — Teil II. Ratibor, 1902.

Nehring W.: Schlesische Ortsnamen auf -witz (-itz). Schlesiens Vorzeit in Bild und Schrift, nr. 16, XII, 1885, 8-ka, 485—493.

Tenże: Schlesische Ortsnamenforschung. Archiv für slavische Philologie, XI, 143.

Mycielski Józef: Pierwotne słowiańskie nazwiska miejscowości na Śląsku Pruskim. 1900.

Ks. Damrot Konstanty: Die älteren Ortsnamen Schlesiens, ihre Entstehung und Bedeutung. Mit einem Anhang über die schlesisch-

polnischen Personennamen. Beiträge zur schlesische Geschichte und Volkskunde. Beuthen O/S, 1896. — Rec.: Dr. El. Radzikowski, Lud, III, 378—381. (Przedmowa J. Gregora.).

Prus Konstanty: Spis miejscowości polskiego Śląska Górnego. Nazwy wszystkich gmin, obszarów dworskich oraz osad i kolonij znaczniejszych. Zestawił... Bytom 1920. Nakładem Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego dla Górnego Śląska. Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie, 8-ka, stron 106. Rec.: Nitsch K., Język polski VI (1921), 124—126.

Nitsch Kazimierz: O nazwach kilku miast śląskich. Język polski, VII (1922), 106—108.

Vašek Ant.: Výklad slovanských místních jmen v Opavsku. Sprawozdanie gimnazjum opawskiego, 1872. — Rec.: Jan Bystron, Prace filologiczne, II, 786.

³⁾ **Firla Józef, ks.:** Nazwy słowiańskie w ziemi cieszyńskiej. Gwiazdka cieszyńska, 1895, 1, 2, 3, 4, 6, 8, 10. — Rec.: Dr. St. Eljasz-Radzikowski, Lud, III, 381, V, 88.

Zobacz również: Ks. J. B.: O pochodzeniu i powstawaniu nazw miejscowości w języku polskim. Zanie śląskie, IV, 49—56.

Przy zbieraniu nazw należy napisać rodzaj gramatyczny i drugi przypadek. Nie zawadziłoby dopisać nazwy mieszkańca i mieszkanki (przykład: ta Miedzno, czyli literackie ta Miedzna, Miedzwanin, Miedzwanika), oraz przymiotnika, urobionego od nazwy osady (miedzwyński).

W dalszym ciągu zwrócić trzeba baczną uwagę na nazwy części osady: przysiółki, przedmieścia, dzielnice, zagrody, „dwory“, folwarki; nazwy gruntów: pola orne, niwy, łągi, ogrody; nazwy łąk: pastwisk, polan, hał, pasiek; nazwy nieużytków: uroczysk, kopców granicznych, wysp; nazwy wód bieżących i stojących: źródła, rzeki, potoki, strumyki, strugi, wodospady, brody, kanały, przekopy, jeziora, tamy, tonie, studnie, moczary, bagna, torfowiska i t. p.; nazwy wzniesień: góry, pagórki, skały, przełęcz, mogiły; nazwy dolin, wąwozów, jarów, przepaści, urwisk; nazwy zalesień: lasy, gaje, zarośla, krzaki, poręby; nazwy jaskiń i grot; nazwy kopalń czynnych i nieczynnych; nazwy młynów; nazwy karczem; nazwy kościołów, kapliczek, przydrożnych krzyżów i figur.

Nazwy koniecznie trzeba zapisywać w gwarze, a nie literacko, bo tylko gwara rozstrzyga w wielu wypadkach o istocie rzeczy (przykład: Łyski, które pewne sfery z uporem propagują wbrew ludowi jako Łyski — powiat rybnicki). Przy zbieraniu nazw dobrze jest informować się u kilku osób. Jestto doskonałym sprawdzianem zebranych wiadomości, potrzebnych szczególnie we wsiach beskidzkich, porozrzucanych na ogromnej przestrzeni. Zapiski opierać trzeba na informacjach, zaczerpniętych z każdej części wsi, gdyż mieszkańcy n. p. z Istebnego, z pod Młodej Hory, czy Olecek, mało wiedzą o osadach, położonych pod Baranią lub Gańczorką. Baczną uwagę należy zwrócić na nazwy szczytów, narzucane często przez niecisłe przewodniki lub

specjalne mapy, a tak różne od ludowych. Już sama urzędowa nazwa Istebna to przecież Istebne! Ustalenie więc nazw wymaga wiele ostrożności i ścisłej kontroli mieszkańców.

Często zapisywanie przy badanym wpływa ujemnie na wartość zeznań. Należy więc wtedy zapisywać, jeśli informator wniknął w nasze dobre zamiary i gdy nie podejrzewa nas o nic złego. Pamiętać trzeba także i o tem, aby nigdy nie podsuwać własnych spostrzeżeń, czy domysłów. Doskonale informacje o tem, jak zbierać nazwy geograficzne, podają J. Zborowski i W. Semkowicz⁴⁾.

Nie możemy tu pominąć sprawy doniosłej dla polskich stosunków na Śląsku. Germanizacja wyrządziła tyle szkody imiennictwu geograficznemu, tyle dawnych nazw usunęła, tyle zniekształciła, a na Śląsku Opolskim w ostatnich latach wprost z wściekłą furją przystąpiła do ich tępienia.

Systematyczne zbieranie usunie wiele niedopatrzeń, obcych naleciałości i niesumienności, nieznanych wcale naszemu ludowi. Należy tedy, jeszcze raz to podkreślamy, uwzględniać tylko ludowe brzmienie, aby dostarczyć materiałów sumiennych i zgodnych z istotnym stanem na danym obszarze.

Na zakończenie trzeba tu wspomnieć o pierwszym śląskim Słowniku Geograficznym, po polsku pisanym, którego autorem był Józef Lompa. Marzył on, by jego Słownik Geograficzny był pierwszym „po P. Purkinie, który jest jako Dubrowski ogniskiem słowiańskiego życia“⁵⁾.

⁴⁾ Juljusz Zborowski, kustosz Muzeum Tarzańskiego w Zakopanem: Wskazówki do zbierania nazw geograficznych. Kraków, 1923. Stron 32. Biblioteczka Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, nr. 4. — Prof. dr. Władysław Semkowicz: O zbieraniu nazw geograficznych. Orli lot, V (1924), str. 100—107.

⁵⁾ Wyjątek z listu.

Złożony chorobą, skarżył się, że „osoby, których o pomoc wzywał, poczytały sobie zamiar jego częścią za fraszki, częścią też za chęć zbytęzną do piśmiennictwa, nabycia sławy i wzbogacenia się, a z tych przyczyn zostały w milczeniu głupiem obojętni⁶⁾”. Lompa zamierzonego dzieła nie dokończył. Przerwał pracę nieszczęśliwy wypadek, jakiemu uległ w r. 1843. Choroba pochłonęła zaoszczędzone w nauczycielskiej pracy pieniądze tak, że nie mógł się udać do Wrocławia, aby tam w bibliotekach pozbierać dawne nazwy polskie zniesionych już wsi i osad śląskich. Rękopis niewykonywany zawiera wiele cennego materiału^{**)}. **Słownik Ge-**

⁶⁾ Wyjątek z listu, pisanego w Lubszy, dnia 24 sierpnia 1843.

ograficzny Lompy nosi następujący tytuł: **Dykcyonaryk jeograficzny czyli wyszczególnienie miast, wsi i mniejszych osad, jako też rzek i gór Szląska Pruskiego**“.

W przedmowie do **Dykcyonaryka** objaśnia autor czytelnika, co skłoniło go do pracy około zbierania nazw. „Aby zachować imiona i w okolicach całkiem zgermanizowanych dla potomności od zapomnienia...“: „Aby wskazać, gdzie jeszcze język polski góruje, wiele kościołów i szkół istnieje, gdzie się lud do Boga w mowie macierzystej modli i dzieci w szkołach religji uczą, jak wiele tedy jeszcze książek dla ludu jego potrzeba“.

^{**)} Rękopis jest własnością ks. prałata dra E. Szramka.

KS. ANDRZEJ BUZEK, CIESZYN.

Z archiwum zboru ewangelickiego w Cieszynie.

(Korespondencja pierwszych pastorów cieszyńskich z r. 1716.)

Są to jeszcze czasy ostrych walk wyznaniowych. Dnia 26 marca 1716 udzielił jeden z pierwszych pastorów cieszyńskich Krystyn Hentschel, ostatniej Komunji św. ewangelickiemu mieszczaninowi w Żarach, Jerzemu Makoszowi. Tymczasem katol. proboszcz w Żarach, Andrzej Vattolinus, powołując się na pewien bliżej nieokreślony „stary przywilej“, według którego nie wolno było mieszkać ewangelikom w Żarach, uważał owego mieszczanina jak i wogóle ewangelików tamtejszych za swoich parafjan. Doprowadziło to do konfliktu wyznaniowego, jakie wtedy często wybuchały. Wywiązała się też na tem tle korespondencja pomiędzy pastorami cieszyńskimi a mieszczanami ewangelickimi w Żarach. Z korespondencji tej utrzymały się kopje dwóch listów pastora Jana Muthmanna i jednego listu pastora Hent-

schela do Marcina Lazarka w Żarach, tudzież po jednym liście tego mieszczanina do obu wymienionych pastorów. Cała korespondencja prowadzona jest w języku polskim i jest jednym z oczywistych świadectw, że pierwsi pastory kościoła ewang. w Cieszynie znali dobrze język polski i używali go w stosunku do parafjan, i że ich działalność nie ograniczała się do Szląska Cieszyńskiego, lecz sięgała i na dalsze obszary śląskie.

List Hentschla brzmi:

Waszecine staranie wyrozumiałem z pisania do mnie odesłanego, nie trzeba się na mnie starać, żeby się nie miała stać Satisfactia Panu Archibresbiterowi (t. j. proboszczowi w Żarach) wszak jeszcze nie minał termin. Dali Pan Bóg zdrowie, tedy jeszcze przed 27 dniem Aprila ta sprawa

dość Swego konca, iżego ja asecuruję. W tym ale, gdy czas nie pozwala więcej pisać, ja Waszeci (: wielce pozdrawiając wszystkich domowników) oddawam oopiece i ochronie Boskiej, zostawając Waszeci mego Dobrodzieja powolnym sługy Bogomodlcym

Christian Hentschel, Diacon.

Przed Cieszynem d. 19. Apr. 1716.

Panu Marcinowi Lazarek, Farbiarzowi a Mieszczaninowi, mnie wielce Kochanemu Przyjacielowi nalezi dać w Żarach.

List Muthmanna brzmi:

Jezusa!

któryc jest cichy a pokornego Serca, ale też mocney a sprawiedliwey Ręki, ku Radzie y Obronie! nayprzód życzę.

Mój kochany Panie Lazarek,

Wielce się dziwuję, że Sobie waszec przy tym, o czym się do P. Hentschla, (ktory ale teraz we Węgrzech jest;) pisało, taką starość z innymi robi albo immaginuje, jakobyście nie wiem co za grzechy byli poczynili. Krystus, w Którego wierzyście, mówi: Nie boycie się ludzi! A naymiłościwszy Cysarz nasz takimi Słowy Wolność wiernym swym Ewanjelikom w całym Śląsku udziela:

„Secundo pozwała Jego Cesarska a krol. Mił. naymiłościwiej, aby się wolno podawała Wieczera (albo Komunia) przy nawiedzaniu chorych Augsburskiej Konfessyey, kiedy się takie Podawanie od księdzow teyże Konfessyey stanie, ktorzy są w Księstwach przygranicznych, kędy obie Religie dozwolone, osiadli y będący.

Dosyć na tym. Kto się podważy nieprzystoynie reformować słowa takie Mayestatu, znajdzie Sądęc swego. Tego się jednym słowem trzymaycie. Pieniędzy nie utracaycie, bo ich potrzebuje najaśniejczy nasz Pan więcej niżli Priwatny człowiek, który was sądzić nie może, boście nie jego Poddani, ale Cesarscy. Co się z naszey strony daliey wam ku dobremu, będzie

czynić mogło stanie się. Bogu wiernemu, a wesoło w niego ufające miłującemu, was oddawam

Jan Muthmann

przy Cieszynie d. 11. May 1716.

Zachowany dotąd list ewangelików żarskich do ks. Muthmanna z dnia 23. V. 1716 brzmi:

Wielebny a dwoie tczci godny Mosci Ksieże Panie Johan Mutman, a Panie Dobrodzieyu nasz.

Nie mogoncz tego zaniehać a Waszmosci to oznomic zem yakeh przyszeł z Tieszyna y przstompilhmy przed Nasz Sławny Maistrat z wielgom prośbom zeby nad nami Ręke dzierzeli yak nad ubogimi Somsiadami, Zeby nos tem Arrestem więczy nie tropili kole tey Cautie podpisu, czo Nasz Xsiondz z moczy tego pragnie, bosmy tym prosili Maistratu podle prawa, poniewadz on sie do inszey instancie tam do Tieszyna do Sławnego urzędu zimskiego na Pana Hentzla Zalobe posłoł, yageh słyszol od Waszmości y od Jego Mosci Pana Colatora Żyrowskiego, ze tomuż Naszymu Farorzowi Dieta naznaczona yest tylko niewiem na kiery dzin po Swiontkah y w tym uproszomy Waszmości zeby sie Waszność Swoyom osobom do tego włożyć albo kierego Pana Colatora na Mieyscu Naszym uproszac, bo to sie thnie wszytytkich Waszeczynuow bo trzeba nato obdarowani z Miłosci Cysarskie bronic zeby z Cancellarie tylko przyznani nom do Zoruw zebysmy mogli dostać ze włośnie nasz Farorz przedzałowol na Pana Hentzla bo nasz Sl. Maistrat nom ku odpowiedzi doł, zebysmy na pismie przynisli ze z tego Arrestu będziemy przepuszczeni bo na moye Słowo Sl. Maistrat nichzioł nicz uczynicz a nasz tego Farorz zpiro. Tylko ze on yest dla tego citirowany, zeby Lepszom informatiom Jego Mości Panu Hetzmannu mug ustni dać, a tak nom znowu nakazano od Sławnego Maistratu na zondosc Farorze Naszego zebysmy tak długo warestie zustowali az on z Tieszyna

przyedzie abo sie do tey Cautie podpisi a tak społecznie Waszczinuw dla Miłosierdzia Panskigo uproszomy, zeby nom Waszczowie z tego ciężoru na pomoczy byli yak nom tez y Pa. Hętzel Slubował ze yednego greycara wtey Materyi nie ztracemi, bo my Sobie prostoczy Sami nie mogemy Radzic tylko dla Pana Boga uproszomy Waszcziuw yak Neyprędzey żebyśmy tey Starosci pozbyli a yednego w taki pitne czasy mitręstwa a tak yezcze roz dla Boga uproszomy zeby to przyznani z Cancellary było nom przez tegoz posła odesłane yezeli włosnie przelałował ten nasz Ksiondz Farorz, zebysmy tego Arrestu pruzni byli z tym Waszmosciów Społecznie Panu Bogu oddaiemy a

Zawsze Sługami unizonemi Waszczium
zustaiemy

Datum w Zorach dnia 23 May R. 1716.

Martin Lazarek
George Spohrn
Jan Laczenko
Wentzel Sstyper
Girzy Mentyl.

Adres tego listu brzmi:

Wielebnemu a dwoie tczci Godnemu
Panu Johannowi Mutmanowi Na ten Czas
Kaznodzieyowi Na Przedmiesciu w Mie-
scie Tieszynie przy Augustyńskim Koscie-
le k dodani Zależy do Tieszyna.

J. ZAHRADNIK.

Goryczka i ostróżka.

Pogawędka o starośląskich ziołach leczniczych.

Nasi przodkowie na ziemiach śląskich odznaczali się między innymi zdolnościami także bardzo dobrą znajomością ziół krajowych. Miały u nich zioła lecznicze zwykle pierwszeństwo. Służyły one jako skuteczne środki na rozmaite choroby, a nasze prababki umiały z nich sporządzać maści i prószki oraz gotować herbatki i nalewki.

Dawniej Ślązaczki nie uciekały się po zioła lecznicze do aptek, lecz zbierały same po polach, łąkach, niwach, lasach i górach rozmaite przydatne zioła, by je suszyć na strychu i w czasie zachodzącej potrzeby dla swoich lub kogoś od sąsiadów należycie przygotować.

Do takich ziół leczniczych zaliczano kiedyś także i na naszych górach śląskich rosnącą „goryczkę żółtą“ (łac. *Gentiana lutea*), którą dziś jedynie w kra-

jach alpejskich napotkać można¹⁾. Roślina na górskich pastwiskach i kwitła dopiero pod jesień. Tak kwiat jak i korzeń służył naszym przodkom jako wybitne lekarstwo na choroby żołądkowe. Miało ono być także skuteczne jako środek przeciw następstwom ukąszenia od psa wściekłego lub węża jadowitego.

Roślinę tę już na naszych górach śląskich trudno znaleźć, chociaż naprzy-

¹⁾ Goryczkę z kwiatem **modrym**, kwitnącą również w jesieni i długo zdobiącą trawniki polan, niczem poza tem nie różniącą się od opisanej wyżej, a więc z temi samymi właściwościami, przypisywanemi jej, spotkała w bieżącym roku na polanach lasów, ciągnących się między Wilamowicami a Skoczowem, p. Anna Prausowa ze Skoczowa. Odwar z niej — jak mówi medycyna ludowa — jest dobry również na dolegliwości żołądkowe. — Przypisek Redakcji.

kład jeden z pagórków ustronńskich nosi nazwę „Goryczka“ i pod górami utrzymały się nazwiska śląskie „Goryczków“, mające pewnie z nazwą tej rośliny jakąś łączność...

Natomiast w naszych aptekach i droguerjach można nabyć korzeń tego zioła pod nazwą niemiecką „Enzianwurzel“, a w górzystej Szwajcarii wyrabiają z korzonków tej Goryczki likier tak gorzki, żeby go Ślązacy pewnie po spożyciu nazwali „kręcipyskówką“...

Drugiej z kolei roślinie przypisywali nasi przodkowie nadzwyczajne siły lecznicze, a zwali ją „ostróżką dziką“. Zioło to jest także zwane „ziołem św. Otylji“ i buja jako chwast na naszych oczyszczonych łąkach śląskich. Kiedyś hodowano ją w ogródkach naszych pradziadów, ogrodzonych płotem plecionym z gałęzi wierzbowych...

Hodowanie to przyczyniło się do takiego uszlachetnienia tej rośliny, że w ogrodach zmieniała swoją poprzednią barwę niebieską na rozmaite inne kolory. Bywa ona zaliczana w botanice i lecznictwie do jaskrów, jako roślin trujących, a przecież nasi przodkowie prawie w tem ziółku widzieli lekarstwo na rozmaite choroby wewnętrzne i zewnętrzne.

W starych poradnikach lekarskich czytamy, że nasienie „ostróżki“, gotowane w winie, służyło również jako środek przeciw ukąszeniu węży i jadowitych. Ten sam środek służył kiedyś przeciw suchotom, dzisiejszej gruźlicy, tej najstraszniejszej chorobie, która stale się da-

wniej panoszyła i dziś panoszy jako zaraza w naszym kraju.

„Ukrop“, parzony z tego zioła i jego korzenia, używano przeciw kamieniom żółciowym, morzyskom, wymiotom i żółtaczce. Gotowano kwiat ostróżki także w piwie i raczono takim sładem połoźnice przeciw bólowi, „dającym się czuć po porodzie“...

Ostróżka, rozmiądziona na maść i nałożona na twarz lub inne części ciała rozbijała opuchlinę i „wyciągała“ chorobę. Z kwiatu ostróżki destylowana woda zastępowała sól i gasiła przeważnie gorączkę wątroby...

Największe usługi oddawała ostróżka jako lekarstwo na oczy. I tu z kwiatu destylowana woda i zastrzykana w oczy, zasilala wzrok, tępiła czerwonosć oczu i zapobiegała ich łzawieniu.

W dzień św. Jana Chrzyciela służyło to zioło do wicia wieńców, wywieszanych w „izbach“ naszych przodków, boć „każde spojrzenie na taki wieńiec zasilalo wzrok przez dziwną i leczniczą moc tego zioła.“...

A gdzie urządzano „Sobótki“, to ludzie rzucali takie wieńce do ognia, wołając głośno:

„Niechno opuści i tu się spali,
To wszystko zło, co mnie boli...“

Dziś te zwyczaje już dawno poszły w niepamięć i kult ostróżki minął. Ale coś pozostało! Są to również rozpozszechnione nazwiska śląskie „Ostróżków“, piszących się jednak „Ostruszków“...



Rekwizycja szperek.

Opowieść z czasów wojennych.¹⁾

Jędrys Kidoń wymiatał miotką piec kuchenny a żona jego, Maryna Kidońska, robiła masło. Wtem rozwarły się z trzaskiem drzwi od sieni a do kuchni wpadła z oznakami najwyższego przerażenia sąsiadka Hanula Gawlaska.

— Jezu Kryste, ludzie... wrzasnęła, nie dokończywszy zdania, bo potknęła się o maślniczkę i runęła jak długa na podłogę. Maślniczka wywróciła się na nią, oblewając ją obficie gęstą śmietanką.

— Kyrie elejson, sąsiadko, co robicie — krzyknął Kidoń, podnosząc Hanulę z ziemi i walając ją całą sadzą.

— Nale wiecie — zawołała sąsiadka, przychodząc do siebie, — to już je sumeryja, co sie robi. Bezmali zaś fojt chodzą z jakąsikej konwisyją po dziedzinie i szpyrki rekwirują.

— Dłobości — załamali Kidonowie rozpaczliwie ręce. — Toć już nas teraz ze wszyckigo obdzierają. A kaj tera są?

— U Bortliczka na Zolesiu, ludkowie mili. Bezmali mu całą świnie z koryta zebrali. Tak jesi co mocie, to schovejcie, bo wom te psi pakarze wszycko zbierają. Tem więczej, że z fojtem w złości żyjecie.

To powiedziawszy, wypaliła z kuchni i puściła się, oblana śmietaną i za-

morusana sadzą, do następnej chałupy z ostrzegawczą wieścią.

— Jak nejprzedzy szpyrki schować — zadecydował Kidoń szybko.

— Ale kaj? — odparła na całym cieledrząca jego baba.

— A to już chyba na górze pod „sypanim“.

— Akurat, że tam — przytwardziła nieco uspokojona Kidońska. — Tako ci tam dziura ukryto, pram na schowani szpyrek dobro.

Więc też nie tracąc czasu, pobiegli szybko do komory, zdjęli z haków owędzone szperki i przy pomocy służącej Hanki ukryli je starannie w ciemnym lochu pod „sypaniem“.

— Ani djabeł ich tu tera nie wysznupe — uspokajał się Kidoń, zatykając dziurę starannie deską i ceglami.

— Żebyś mi ale Hanko nika nic nie fułała, kaj momy szpyrki — ostrzegala Kidońska dziewczkę, grożąc jej palcem.

— Kajtać też tam — zapewniała Hanka swą dyskrecję. — Ani bych pykiem ruszyła, moja libezno gaździnko.

— No tak — dorzucił ze swej strony groźnie Kidoń. — Bo jakbyś myrcho kaj co drzysła, tobych ci gryzok rozwalił. Bo też ty mało co w pysku utrzymać mo-

¹⁾ Walenty Krząszcz napisał dotąd kilkanaście śląskich powieści ludowych, jak: Z cieszyńskosląskiej wsi, Szkoła na pustkowiu, Sfałszowany testament, Janek, Mamidło cygańskie i Zdrójca powstańców. Nakład wymienionych powieści jest, z wyjątkiem ostatnich dwóch, zupełnie wyczerpany. Zachęcony dotychczasową wziętością swych dzieł, zamierza autor poczynając od przyszłego roku wydawać swoje nowe „śląskie powieści lu-

dowe“ regularnie w półrocznikach. Prenumerata półroczna wynosić będzie tylko 1 zł 35 gr, całoroczna 2 zł 60 gr. Ze względu na to, że drukować będzie się tylko taką ilość egzemplarzy, na jakie będzie zamówienie, uprasza się nadsyłać pocztówką zamówienia, najpóźniej do 31 stycznia 1932 r., pod adresem wydawcy: W. Krząszcz, kier. szkoły w Międzyrzeczu, poczta Wapienica, Śląsk Cieszyński.

żesz. No ale teraz chytejmy sie dali naszej roboty, bo już bee koło południa.

I zeszli ze strychu na spodek do kuchni. Tutaj dopiero uprzytomnili sobie, że masła nie będzie można dorobić, bo śmietana rozlała się z wywróconej maślniczki szeroką brudną kałużą po całej podłodze.

— Też ta szolono Hanula wpadła jak potrzask do kuchni — złościł się Kidoń. — Szkoda śmietonki i masła.

— Nale dyć nie hóc, stary — uspakajała go żona. — Gdyby nas Hanula nie opamiętała, przyślibyśmy o całe szpyrki.

— Bajić że tak — przyznał nieco udobruchany gazda Kidoń. — Ale zawsze szkoda pore ćwiertek masła. Wiesz, jak teraz mieszczanie taki rzeczy przepłacają. A grejcarek zawsze sie przydo, ale kaj też ta pierońsko konwisyja tera je?

— Może do nas przydą dziepro po południu.

— Może bajić tak. A ty Hanko idź se teraz do swoi roboty, i to ci padom, żebyś skyrś tych szpyrek pary z pysku nie puściła. W sobote kupię ci za to w Cieszynie u Lewińskiego szumną szatke.

Komisja rekwizycyjna z powodu nawału pracy nie zdążyła już w tym samym dniu do Kidoniów przybyć. Oczekiwali jej na następny dzień.

Dziewka Hanka, wierna danemu słowu, nie puściła faktycznie przez cały dzień ani pary z gęby gwoli tych szperek schowanych, a dopiero pod wieczór zwierzyła się przed matką w sekrecie, iż służbodawcy jej schowali szperki na strychu pod „sypaniem“.

— Jeny żebyście też mamulko co kaj nie drzysnęli — zaklinała mamę na wszystkie świętości.

— Kajtać też tam, moje dziecko — zapewniała matka. — Dyćby z tego było straszne piekło.

— Tak powiedzcie mamulko trzy razy „dolibóg“ i piznijcie se w piersi, że

nic nie powiecie — zażądała jeszcze córuchna.

— Dolibóg, dolibóg, dolibóg — biła się stara matka w wychudłe piersi, aż trzeszczało. — Nie bój sie, nic nie powiem. Nale te bestje Kidonie, to oni jeszcze tela szpyrki mają? Mój Boże, a jo biedno kumornica ni móm razinko czem ziemioczki pomaścić.

— Wiecie co, mamulko? W nocy wyleżę pokryjomu na gazdową górę, pajtnę nożem klin szpyry i przyniesę wom.

— No dobrze, dobrze — moje dziecko. Zrób to, chyba że i Pónbóczek nie bee miol nic przeciw temu, że sie bogatym coś ujmie a ubogim do. Pónbóczek je przeca sprawiedliwy.

Kiedy Hanka opuściła matkę, poszła ta do wójtów na wieczorną pogadankę, u których była na „kumorze“. Zastała samą wójtową, gdyż mąż jej siedział jeszcze z komisją w gospodzie i zestawiał wykaz zrekwirowanej w gminie szperki.

— Cosikbych wom jeszcze pedziała, roztomiło fojtko — zwierzyła się komornica pod koniec rozmówki.

— Na cóż też takigo, mówcie, moja złoto — nalegała zaciekawiona wójtowa. — Wy zawsze umiecie człowieka jakąsiej nowością rozweselić.

— Jeny byście sie musieli fojtko trzy razy w piersi rypnąć i „dolibóg“ pedzieć, że nie beecie nika padać, co wom teraz padać będą.

— Dolibóg, dolibóg, dolibóg i jeszcze roz dolibóg. A tera mówcie prędko, bo pękne z ciekawości.

— A nadewszycko, żebyście też to waszemu chłopu nie pedzieli.

— Jezu Kryste — zniecierpliwiła się już wójtowa — na dyć mówcie już, co wiecie. Padom wom, że pary nika nikomu nie puszcę.

I opowiadała komornica wójtowej przyciszonym głosem wszystko, co się od

swej córki dowiedziała. A koło północy, kiedy wójt wrócił podchmielony z gospody, opowiedziała mu zaś jego wierna połowica, gdzie te beskurcje Kidonowie szperke schowali.

— Hale, pieróny jasne — wygrażał się wójt, dysząc z okrutnego zadowolenia. — Szak jo Kidoniom zagrzeję jutro temi szpyrkami, na mu duszu!

Nazajutrz zrana odwiedził czteroletni synalek wójta czteroletniego synalka Kidonia. Starzy żyli wprawdzie w wielkiej niezgodzie i nienawidzili się, lecz ci młodzi nie robili sobie nic z tego i lubili się bardzo.

— Czy wy tu Kidoniu macie zawsze zimno? — pyta się syn wójtów starego Kidonia.

— Zimno? Ale kajtać też tam. Cóż ci sie zaś śni, synku?

— No 'bo wom mój tata chcą dziśka szpyrkami zagrać — odpowiada naiwnie chłopak, obgryzując palec.

— Jakimi szpyrkami?

— Na temi szpyrkami, co to macie kańsik na górze pod sypanim schowane.

Kidonowi wypadła fajka z ust. Aż mu dech zatrzymało, tak się straszecznie przeraził. Ale się wnet zreflektował.

— No dobrze, dobrze, syneczku. Oto mosz dziesiątkę na cukierki, a idź se tera do domu, i nie mów żodnemu nic, żeś tu był.

Ledwo wójtów chłopak wyszedł za próg, skoczył Kidoń z żoną co tchu na strych celem usunięcia szperki z kryjówki.

— To ci bestyje, dziady — kłął, drząc na całym cielem. — A Hance bachora wytrzępię z wańtucha, jak ją do pazurów chyć.

— Cicho, cichutko chłopcisku, nie szarpej sie już tela i wyciągnij szpyrki, nim konwisyja nadejdzie, ale hónem! Zatem Kidoń, zakasawszy rękawy, sięgnął głęboko do dziury.

— Cóż to tam je? — zdziwił się, dotknąwszy w dziurze coś miękkiego i kuddatego. A kiedy wyciągnął rękę nazad, trzymał w drżących palcach zdechłego kota.

— Jezu Kryste, co to? — krzyknęła Kidońka.

— To ci parada — kiwał Kidoń głową. — Włoz se myrcha kocur do dziury na szperki, a tu ci cegła spadła na niego i zapuczyla go.

— Maciczko święto — rozplakała się baba. — Boroczek kociątko.

— Nie zwucz mi tu tera — skarcił ją Kidoń. — Oto bier szpyrki i nieś je prędko do szopy, gdzie je we węglu zagrzebiemy. Jeno pierónem, bo konwisyj każdej chwili może nadejść.

Uwinęli się roz dwa i zakopali szperki we węglu.

— Piernika — uderzył się Kidoń w czoło — dyć tych szpyrek było sześć, a tuśmy jenó pięć zagrzebali. Musiała w dziurze eszcze jedna zostać.

Raptem więc polecili jeszcze raz na strych. Rzeczywiście wyciągnęli z ostatniego zakamarka kryjówki zapomnianą szperkę i chcieli ponieść do szopy, gdy wtem ozwały się na dole w sieni obce i jakiś ostre głosy.

— Hallo, gospodarz Andrzej Kidoń sam tu!

— Pierona, babko, to konwisyj! — szepnęła Kidoń drżącymi szczękami. Kidońka skamieniała. Wybałuszywszy wyblakłe oczy, przyciskała bezwiednie zdrewniałymi ramionami szperkę do piersi.

— Hallo! — ozwał się powtórnie gromki głos z dołu. — Gospodarz Kidoń gdzie jest?

— Tu panowie, tu — odezwał się Kidoń, siląc się na spokojny ton.

— Co tam robicie? — spytał zandarm, prowadzący komisję.

— Na oto z babką dziury w dachówce zatykamy. Zaroz zejść panowie, zaraz. Zostanie tam na chwileczke.

— Jeno se też sąsiodku nie fatygujcie — zawołał wójt szyderskim głosem. — My tam ku wom też wyńdziemy.

— Schowej szpyrke pod letnik — natarł Kidoń na żonę. Kidońka, ocknąwszy się nieco z przestachu, odskoczyła trochę na bok i przywiązała sobie z pośpiechem szperke pod spódnice do bioder. A był już też najwyższy czas, bo świetna komisja pnęła się już po schodach na strych.

— Dzień dobry panie gospodarzu — pozdrowił dosyć uprzejmie pan wachmistrz. — Rekwirujemy szperkę dla wojska. Proszę bez ogródek zeznać, czy i ile macie w domu szperki.

— Ach, mój roztomiły wachmistrzku, na dyć my już ni mamy żodnej szpyreczki.

— Mówcie prawdę, gospodarzu, bo jeżeli coś potem znajdziemy, zapłacicie grubą karę.

— Przecaście takigo wielkigo kormika zabili — wtrącił wójt. — Każ mocie z niego szpyrke?

— No ni mom, padom wom. Jo przeca nie taki bogocz, jak fojt, co do roku pięć kormików zbijo.

— Nale, beecie mi tam tela pyskować — rozsierdził się wójt. — Hań w dziurze pod sypanim mocie schowaną szpyrke.

— Co sie wom też jeno nie śni, fojcie — zachnął się Kidoń.

— Poczkejcie, zaroz sie przekonomy.

To powiedziawszy, przykleknął wójt i zanurzył skwapliwie rękę w ciemny otwór pod „sypanie“.

— Ha, widzicie! — zawołał trjumfująco.

— Jest? — spytali żywo członkowie komisji, wydłużając szyje.

— Juźci że je — odparł wójt. — A już cało od pleśni kudłato.

— No to wyciągnijcie ją, panie wójtcie! — polecił wielce zadowolony wachmistrz.

— Zaraz, zaraz panowie. — I wyciągnął zdechłego kota z dziury. Na moment wszyscy zaniemieli, a potem gruchnęli homerycznym śmiechem. Tylko wójt, trzymając wciąż jeszcze w podniesionej ręce kota, dławił się ze wstydu i złości, nie mogąc przez chwilę głosu z gardła wydobyć.

— Na wy chachary jedny — wykrztusił wreszcie — jak śmiecie wy z wójta, osoby urzędowej, takigo błozna robić?

— Na któż to z was błozna robi — obruszył się Kidoń.

— Przeca tu miały być szpyrki, a nie zdechły kocur.

— Kto wom to zaś pedział?

Wójt, podniósłszy się z klęczek, odrzucił kota, potarł ręką po czole, a powiódłszy mglistym wzrokiem wokoło, zamamrotał do siebie.

— Te pierońską komornice po pysku spierem, co wlezie.

— No ale tu jednak musi być gdzieś szperka, bo aż w nosie od niej wierci — oświadczył wachmistrz.

— Tak, tak — potwierdzili ci drudzy. — Tu gdzieś szperka pachnie.

— Na tósz łówcie panowie, kiej wom pachnie — rzekła Kidońka. — Jak znaleziecie, to se ją weźniecie.

Szukali coś przez dwie godziny, wszystko do góry nogami w chałupie przewrócili, ale szperki nie znaleźli, mimo, że wciąż koło nich pachniała, bo Kidońka musiała z nimi chodzić i wszelkie dziury im w domu wskazywać.

— Daremne szukanie — machnął wkońcu wachmistrz. — Szperek nie ma i nie ma. Dzisiaj już nic więcej nie robię, bom sie ogromnie zmachał. Odwieziecie mnie panie wójtcie do miasta.

— Ale ja, czemu mi — rzekł przymilnie wójt. — Pójdą zaroz ze mną do chałupy. Przyrychtuję wózek i pojedziemy do miasta.

Parobek wójta wyciągnął ze szopy bryczkę i zaprzęgnął do niej parę kasztanków.

— A dej tam na miękkie siedzenie dlo pana wachmisterka ociepkę siana — polecił mu wójt.

Żandarm wygramolił się na bryczkę i usadowił się na wiązce siana. Jakoś się mu jednak niewygodnie siedziało, więc się podniósł, ujął wiązkę, chcąc ją w dogodniejszy sposób usadzić.

Naraz wypadł z rozczochranego siana kawał skradzionej Kidoniowi szperki, którą dziewczka Hanka schowała tutaj dla swej matki.

— Panie wójcie — zawołał wachmistrz cierpko. — Wyście swoją szperkę ukryli w sianie.

Wójt zbaraniał, usta rozdziawił, spoglądając na szperkę jak na jakie widmo.

— No, mówcie wójcie, co to wszystko znaczy? — nacierał żandarm. A wójt, uważając się zdradzonym, popadł zaraz w straszny gniew i huknął wściekle na żonę:

— Ty pierońsko babo, przeca żech ci mówił, żebyście te szperki nie chowali do siana, bo to nie jest pewne.

— A co mi tu pyskujesz — odpaliła mu popędliwie żona. — Przecach my tak zrobiły z cerą, jakieś kozo! Szpyrki my dały do studni, i nie wiem, co za psio-krew dała ich nazad do siana.

I poszła świetna komisja za wskazówką wójtową do studni i wyciągnęła wójtowe szpyrki na światło dzienne. A jaka tam potem z tego chryja była, jakie z tego „zagrzanie“ dla wójta wynikło, opowiem na przyszły raz.

ADOLF FIERLA.

O gorolu Brzękała.

Brzękała był to dziwny gorol.

Kiej insi, tak jako ón, łowce na gróniach pasóncy, szli se do chałup, co sie do gór, by do mamulki tulily, by se tam podjeść cosi małowiela, abo zaś ponikierzi do putyki cosi ostrzejszygo wychylić, lebo też, ci młodzi nejwięcej, do dzieuch szczyrzic zębiska, Brzękała szel na kopce, smyrkami a jedlami śmiglatemi nadziubane, jako bai kartacz włosym, guńke obstarężnóm na pleca nachybowo! a siednywszy se kańsik, kaj go jyny sami Ponjusz widzieć mógli, kaj go jyny buczyaska hrubucne a sosny i śwyrki, na wietrze rozkolybane jako bai dzwóny, posłóchać posłóchały, gro!.

Wystrugol se Brzękała piszczotłke z wyrby, co mu sie kole chałupy w potoku, by we zdrzadle przeziyrała i, sóm nic nie wiedzóncy, tak jakosi — sóm od siebie,

grywać se po gróniach grywo! doliny i zaskoki i padoly piskanio dziwnego pełne robiónc.

Pytali sie go gorole insi, coby w tem graniu mieć pozytecznego miol.

A Brzękała, na gębie sie uśmiychając fusatej, powiadoł:

— Nijak inaczy Panubogu przistözyć sie nie przistözym. Niech aspón wiy, co czuje dusza moja...

Isto, że nie rozumieli gorole insi, coby powiedzieć przez to chcio! ale, że nie rod im był kłaść wszystko jak na miske, nie nagabowali.

Ale byli też ponikierzi, co se ai ucinac śniego byli radzi. Tym Brzękała z poczóntku rady żodnakij dać nimóg. Pytoł ich, bywało, prosił. A kiej óni jeszcze bardzi zęby śniego szczyrzili, chlasnól Brzękała roz tak kieregosi w pyszczysko,

że uznali, jako niebezpiecznie je zaczynać.

Tóż przicichli.

A ón chodził, piszczołke z wyrby pod pażóm dźwigajóncy, a kiej sie mu z oczy potracili, po downemu zaczynał.

Dziwny był Brzękała, że i dziwniejszy być nimóg.

Aż prziszedł roz wieczór, całkiem jako-by inszy i dziwniejszy od wszystkich.

Miesiónc ciepół strzybnóm gębóm po gróniach, polywajónc je biołością, by mlykym, zagładajónc do każde dziury, całujónc każdóm trowke malutkóm, każdy krzoczek mizerny, każdy kamiyń kulaty, czyniónc z niego bioluški pecynek chleba.

Mgła sino zlekka wisiała se między górami, jakoby je bai przikryć od zimnoty chcieć chciała, by tym biołym, łowczym kożuchym.

Ale, że wiater pofukowoł, strzępiła sie i kłębiła, czyniónc ze siebie stworzynia przedziwne a nejroztomańtsze, z ocasami długimi abo zaś z racicami i zadami tak wysokimi, że strach broł.

A Brzękała stanól se na samym wyrchu Czantoryje, wielki w kościach i hruby, a słodki na pysku.

Wiater mu guńke biołóm podbijół, że stoł jako orzeł, do lotanio sie zrywajóncy, wielki, mocny, drapieżny, a z gębóm słodziuškóm.

Chlasnól go miesiónc po licach, a ón dechu nabrawszy w pluca szyroki, poczół po swoimu grać...

Zasłóchały sie sosny i smyrki śmiglate na gróniach, zadumały sie stawy w dolinach, pocichły szumoty stómów, a potoki gęby zawrzyły bulgoczónce.

Mgła sino kręcić się przestała i zanie ruchomiła, czynionc szyroki mosty z jonych gróni na drugie.

A i wiater też, jakby stropióny, przisiod pod smyrkami na zadzie, że cicho było, by w tym kościele.

A Brzękała groł, ón orzeł gróniów wielkucny, całóm dusze do granio w ofiarze składajóncy, niebo w modrych majóncy łoczach.

Aż odewrzyły się skaliste dwiyrze na zaklętym gróniu, złotymi nabijane cwekami, by temi gwiozdami, a jasność gichła z Czantoryje.

Strach piznył na chłopa, ale w tym oczymigu ukozoł się w otworze pón wielki, w rycerski obleczyni prziodzioły, złotym sie świycóncy, by to słońce.

Brzękała na kolana się chynyl.

A złoty pón spytali:

— Kómu grosz?

— Hej... sobie... — odrzekła gęba Brzękałowa.

— Naco?

— Nie gniwajóm sie... tak se gróm... dlo siebie...

— Mów... naco? Boć sie nimusisz...

— Bo mi tak dobrze... bo sie mi wtedy dusza jak wrota roztwiyro, a wlatuje do ni ciepło jakisi i jasność jak ze stónka i słodkość dziwno... hej!... muszym grać... sobie se gróm, grónióm se gróm, wiatrowi...

Złoty pón podumali chwile.

— Pój do nas grać!

— Kaj?

Uniosła się ręka panowa, w złocistóm blache łodzioto, ku grocie. Pieknie tam było: złota pełno i inszych szumnych roztomańtszi, że Brzękała oczy przislónić musioł od blasku.

— Co... pójdziesz?

Pieknie tam było, ale Brzękała spytoł cicho:

— A wiater tam je?

— Ni.

— A smyrki?

— Ni.

— A miesiónc?

— Ni.

— A gronie?... — wykrzyknął z rozpaczom w głowie.

— Ni...

Zwiesił głowę Brzękała.

— Nie pujdym... — rzyk zwolna — tu mi żyć... tu mi grać?... na tym wietrze, przy miesiόνczku...

— Nie pujdziesz?

— Ni... nimogym...

— Zostań z Bogiem...

— Spanymbogym...

Zawrzyły się wrota skalne, złotymi nabijane cwekami.

Brzękała chwile jeszcze klęczoł, aż podniósł się i zaczął schodzić pumału w doliny.

A wiatér mu śpiywoł cichuško.

Recenzje i sprawozdania.

A. Dobrowolska: Żywotek Cieszyński. Ze studjów nad strojem i haftem ludowym. Katowice, 1930. Wydawnictwa Muzeum Śląskiego, dział I. t. II.

W związku z recenzją wym. pracy, umieszczoną przez p. Br. Małkowskiego w „Zaraniu Śląkiem“, 1931, str. 128, pozwałam sobie przesłać Szan. Redakcji kilka słów odpowiedzi na uwagi autora.

Autor recenzji zarzuca mi: 1) przesadę w ocenie artystycznej haftu na żywotkach, 2) pominięcie problemu czerni, jaka charakteryzuje materiał tego stroju, 3) nierozróżnienie między „rękodziłem“ a t. zw. przez niego „czystą inwencją ludu“, wreszcie, zarzut najcięższy 4) fałszywy pogląd na ludowość żywotka, który zdaniem autora „jako wytwór miasta, jako wykwit kultury obcej, ludowym nie był i ludowym nie jest“.

Ad 1). Co do punktu pierwszego, nie rozpoczynam z recenzentem dyskusji, gdyż pogląd swój na estetyczne wartości złotego haftu ciesz. określiłam dość dokładnie w swojej pracy, uzasadnwszy go

¹⁾ Por. A. Chmielińska: Księżacy i ich strój, Warszawa, 1930, str. 42.

²⁾ Ibidem, str. 72.

³⁾ Przemysł ludowy, Pow. Włodawski, Warszawa, 1930, str. 104.

⁴⁾ Ibidem, str. 36, tabl. przy str. 100.

analizą bogatej kompozycji i bardzo różnorodnych motywów florystycznych, właściwych temu haftowi; ponieważ zaś recenzent nie zaatakował przesłanek mojego wnioskania, przeto i wnioski nie ucierpiały.

Ad 2). Autor pragnąłby wyprowadzenia „źródła czerni, koloru tak obcego (rzekomo) polskiej psychice ludowej, a tak silnie akcentowanego w żywotku“. Stwierdzić w odpowiedzi muszę, że materiał żywotka naprzód nie zawsze jest czarny, o czym w pracy piszę (str. 14, 35 et seq.), a następnie, że czarna barwa odzieży właściwa jest nie tylko żywotkowi, lecz wielu innym ubiorom śląsko-polskim. Strój narzeczonej górnośląskiej, w grupie t. zw. rozbarskiej, jest wybitnie czarny, podobnie czarny bywa strój księżaka łowickiego (sukmany, lajbiki, spencery) tak, że Księżaków z Górnego Księstwa z części północno-wschodniej, t. zw. Górników, nazywano „czarnymi księżakami“¹⁾. Również księżaczki od r. 1845 nosiły czarne gorsety²⁾. Tak samo sukmany czarno-brunatne często spotyka się u mężczyzn we Włodawskim³⁾, zaś u kobiet gorsety z czarnego sukna⁴⁾. Przykładów możnaby podać dużo, lecz już z podanych wynika, że czerń nie jest specjalnością śląskiego ludu. Przytem kolor odzieży, o ile nie wypływa z momentów techniczno-praktycznych, jak n. p. barwa sukna z białej lub czarnej wełny, —

rzadko może stanowić przedmiot naukowego badania, gdyż jak słusznie stwierdza prof. K. Moszyński, „niejednokrotnie działają tu (przy powstawaniu odzieży) czynniki zupełnie nieobliczane i kapryśne, przeważnie mające początek w przesłankach natury estetycznej“⁵⁾.

Ad 3). Ustęp recenzenta o „rękodziele“ i „czystej inwencji ludu“ polega chyba na nieporozumieniu, przyczem strój krakowski i łowicki, jako przykład „czystej inwencji ludu“ o tyle niefortunnie został przez autora obrany, ile że w obydwu wypadkach właśnie wpływ t. zw. kultury wyższej i obcej, dla autora tak „smutny“, odegrał wcale silną rolę. Jeśli chodzi o strój łowicki, opowiada stara Księżaczka o pewnym typie gorsetu Księżaczek: „dzieuchom udała się moda w kościele na ornatach, dalej go kupować, to się nazywało ornatowa“⁶⁾. A więc nie tylko haft ludu śląskiego pozostawał pod wpływem kościelnego. Jak wiadomo zresztą, na strój łowicki mieli oddziaływać arcybiskupi gnieźnieńscy, właściciele tej ziemi, czemu dotychczas nauka nie zaprzeczyła. Tak charakterystyczna dla krakowiaków rogatywka jest strojem znany zarówno w Europie, jak w Azji⁷⁾. Sukmana krakowska jest tylko jedną z odmian tego bardzo rozpowszechnionego stroju⁸⁾. O „czystej inwencji“ w rozumieniu autora nietylko o ludu, lecz nawet u elity trudno jest mówić, gdyż liczne związki kulturalne łączą ludy Europy i wogóle ludzkość w jeden wielki organizm kulturowy, którego poszczególne ogniska promieniają nieraz bardzo daleko, wymieniają wzajemnie swoje wartości kulturalne. Ten stan rzeczy nie wyklucza jednak w zupełności twórczości oryginal-

nej, raczej mniej lub bardziej samodzielnej interpretacji motywów w granicach etnogeograficznych, — w ramach tradycji, względnie świeżo przybyłej z zewnątrz mody. Tak bywało właśnie na Podhalu i na Huculszczyźnie, mimo związków pasterskich tych ziem z Rumunją, u Słowian południowych mimo oddziaływania na nich tradycji hellenistyczno-bizantyńskich i świeższych tureckich. Podobnie wreszcie przedstawia się sprawa z „żywotkiem“ cieszyńskim, którego haft, chociaż zależny od różnych wpływów, — odznaczał się jednak znaczną różnorodnością ujęcia i niewątpliwą oryginalnością, oczywiście w granicach pewnych tematycznych tradycji, od których sztuka ludowa prawie nigdy nie jest wolna.

Ad 4). Z tą sprawą łączy się też ostatni zarzut recenzenta, jakoby żywotek nie był strojem ludowym, z powodu, że powstał w mieście. Autor opiera się tutaj na wynikach mej pracy, w której stwierdziłam, że inwentarze cieszyńskie notują strój ten już w XVI w. W tem miejscu nie odróżnia znowu recenzent genezy od ostatniej fazy procesu rozwojowego. Użyję tutaj łatwo dostępnego porównania: z faktu, że n. p. klasycyzm zapłodnił renesans, wcale nie wynika, że renesans nie jest renesansem, tylko klasycyzmem; — tak samo fakt, że strój, noszony dzisiaj przez lud cieszyński był kiedyś strojem miejskim (choć naszym zdaniem był strojem raczej podmiejskim, tak jak w pewnej mierze i dzisiaj), wcale nie decyduje o tem, że żywotek i dzisiaj jest strojem miejskim, a nie częścią stroju ludowego. Z chwilą, kiedy strój ten przeszedł z czasem do ludu, kiedy lud zaczął używać go powszechnie, kiedy sam go szył i zdobił, stał się strojem ludowym. Jeśli hafty na żywotkach wykonywują wieśniaczki, jak Anna Cieślar z Wendryni, Agata Byrda z Puńcowa, Emilja Molinianka z Górnego Żukowa (zwana „majsterką“, jako nau-

⁵⁾ Por. tego autora, *Kultura ludowa Słowian*, Kraków, 1929, część I, str. 459.

⁶⁾ A. Chmielińska, op. cit. str. 72.

⁷⁾ K. Moszyński, op. cit., str. 409.

⁸⁾ Ibidem, str. 430.

czycielka dziewcząt ze wsi sąsiednich)⁹⁾, Gawronki na Bobrku, Roiczka w Parcho-
wie koło Hażłacha, Piekarówna w Pog-
wizdowie¹⁰⁾, jeśli w akcji zdobienia bra-
ły pośrednio udział nawet zamawiające
strój dziewczyny, określając z góry mo-
tyw zdobniczy i życząc sobie: „rózyczek
z perełkami“, „kłósów złotych ze strzyb-
nemi listkami“, „żółtych i czerwonych
kwiatków drobnych“¹¹⁾, to istotnie trud-
no się upierać przytem, że „żywotek“ nie
jest strojem ludowym. I jeszcze jedno:
nawet co do owej „miejskiej“ genezy te-
go gorsetu, nie wolno zapominać o tem,
że był on raczej częścią odzieży ludności
małomiejskiej, podmiejskiej (jak ludności
istotnie miejskiej, t. j. zurbanizowanej i
pod względem kulturalnym, która tak,
jak wszędzie, również na Śląsku ciesz.
szła niewątpliwie za modą lansowaną z
Zachodu) — a różnica socjalna między
ludnością podmiejską a wiejską była za-
wsze nikła. Stąd to łatwe przenikanie się
stroju między wsią i przedmieściem.

A. Dobrowolska.

**Dr. Jan Galicz: Przewodnik po Be-
skidzie Śląskim od Baraniej po Ostrawicę
i Śląsku Cieszyńskim.** Nakład Tow.
Turyst. „Beskid Śląski“ w Cieszynie,
str. 249.

Brak związłego i ścisłego przewodni-
ka po Śląsku Cieszyńskim dawał się do-

⁹⁾ Wiadomości te zawdzięczam p. Gustawowi
Morcinkowi, co z wdzięcznością podkreślam; p.
Morcinek zaś otrzymał je od kupca Fiali w Sko-
czowie, którego teść, znany kupiec Lewiński w
Cieszynie, posiada starą księgę handlową z wym.
wyżej nazwiskami hafciarek.

¹⁰⁾ Wiadomość o tych ostatnich hafciarkach
otrzymałem od p. inż. A. Czudka, za co mu u-
przejmie dziękuję.

¹¹⁾ Wiadomości tej udzielił mi również G.
Morcinek na podstawie informacji wym. wyżej
kupców.

tkliwie we znaki turystom, zwiedzają-
cym dosyć licznie, w ostatnich zwłaszcza
czasach, ten malowniczy i uroczy zaką-
tek ziemi polskiej. Dawniejsze i nowsze
prace z tego zakresu nie w zupełności
odpowiadają zadaniu. Bardzo dobry w
swoim czasie przewodnik po Śląsku Cie-
szyńskim ks. Antoniego Macoszka da-
wno jest wyczerpany, zresztą dzisiaj po
30 latach byłby już zupełnie nieużytecz-
ny, krótki zarys o Beskidzie Śląskim, jaki
kreśli w „Przewodniku po Beskidzie Za-
chodnim i Pieninach“ K. Sosnowski,
aczkolwiek potraktowany poważnie, nie
może dla swych zbyt częstych niedokład-
ności wystarczać na dalszą metę. Lukę tę
zapełnił wydany przez cieszyński od-
dział Tow. Tatrzańskiego „Beskid Ślą-
ski“, „Przewodnik po Beskidzie Śląskim
i Śląsku Cieszyńskim“, opracowany przez
dr. Jana Galicza. Tak zgrabna niezwykle
i estetyczna forma zewnętrzna wydawni-
ctwa, jak i przejrzysty, jasny układ na-
dawają pracy dr. Galicza charakteru nie-
zbędnego i celowego „Vade mecum“ tu-
rystycznego, dorównującego pod każdym
względem licznym niemieckim elabora-
tom z tego zakresu.

Całość dzieli się na dwie części: ogólną
i szczegółową. Część ogólna zawiera
uwagi o składzie geologicznym ziemi,
krajobrazie, faunie, florze oraz daje zwią-
zły szkic stosunków politycznych i na-
rodowościowych. Znajdzie tu również
czytelnik ważniejsze przepisy, dotyczące
ruchu turystycznego w pasie granicznym,
materiał bibliograficzny i informacyjny
(str. 6—38). W części drugiej, szczegóło-
wej, wkracza autor w sedno rzeczy. Wy-
mienia najpierw i uwydatnia ważniejsze
miejscowości północnej i południowo-
zachodniej części Śląska Cieszyńskiego,
położone wzdłuż linii kolejowej Dzie-
dzice-Bogumin i Bogumin-Cieszyn. W
krótkich notatkach o poszczególnych
miejscowościach podaje autor szczegóły,
odnoszące się do ich historii, kultury
materiałnej i duchowej, wskazuje na za-

bytki godne zwiedzenia. Z szczególną pieczołowitością i pietyzmem potraktował autor miasto Cieszyn, „tak bardzo pokrzywdzone przez podział w r. 1920“, chcąc „zwrócić nań uwagę najszerszych warstw społeczeństwa polskiego, zajmującego się bliżej kresami zachodnimi“. Do zwięzłego opisu samego miasta dodał krótki zarys historii pracy narodowej na Śląsku wraz z najważniejszymi datami, wskazującymi na jej poszczególne etapy. Przechodząc do opisu Beskidów, wyróżnia autor poszczególne pasma (pasma Baraniej, Wielkiej Czantorji, Ropiczy, Polomów, Łysej Góry), poczem opisuje bliżej same szczyty, wznoszące się w ich obrębie. Zatrzymując się przy poszczególnych wierzchołkach, określa ich położenie, cechy charakterystyczne, roztaczające się widoki, notuje ważniejsze drogi, prowadzące na szczyt. Przewodnik zdobi 51 bardzo pięknie i wyraźnie wykonanych ilustracyj, a uzupełnia plan miasta Cieszyna i mapa orientacyjna szlaków turystycznych, wykonana umiejętną ręką prof. Sowy. Tu i ówdzie wkradły się do znakomitej pracy pewne drobne usterki i niedopatrzzenia, spowodowane trudnościami technicznymi, niezależnymi od autora. Są to jednak rzeczy naprawdę nikłe, które łatwo będzie można usunąć w drugim wydaniu.

„Przewodnik“ przebył swoją próbę, służąc już w tym sezonie wskazówkami rzeszom turystów, zwiedzającym nasz Śląsk. O ile miałem sposobność stwierdzić, wszyscy korzystający wyrażali się pochlebnie o pracy, co jest najlepszą nagrodą dla autora. Młodej literaturze turystycznej polskiej przybyło znów dziełko, wskazujące na ciągły postęp pracy w tej dziedzinie.

F. H.

Ks. dr. Emil Szramek: Ks. Jan Kapica, życiorys a zarazem fragment z historii Górnego Śląska. Katowice, 1931.

Zasłużony badacz odrodzenia narodowego Gór. Śląska, ks. dr. Szramek, podjął się trudnego zadania napisania życiorysu wraz z oceną działalności ś. p. ks. Kapicy, — trudnego zadania dlatego, że ks. Kapica przedstawia typ o dość skomplikowanej konstrukcji psychicznej, i dlatego, że jego działalność społeczna i narodowa przypada na czas formowania się polskiej myśli politycznej na G. Śląsku. Ks. dr. Szramek zna okres ten znakomicie, czego dał dowód, kreśląc życiorysy ś. p. dr. Rostka i Adama Napieralskiego (II. tom Roczn. Tow. Przyj. Nauk na Śl.), stąd też on szczególnie był powołany, by wydać sprawiedliwy sąd o działalności tego niezwykle wykształconego i czynnego kapłana, który odegrał niepoślednią rolę w życiu narodowym Śląska. Jak niemal całe duchowieństwo polskie, należał ks. Kapica do Centrum, które, jak wiadomo, początkowo broniło interesów polskich, jak poszanowania języka ojczystego w szkole, pielęgnowania swej odrębności narodowej u siebie przy zachowaniu lojalności wobec państwa pruskiego, kiedy jednak Centrum stanęło silnie i przemieniło się w partję polityczną, nie różniącą się duchem od innych niemieckich partji politycznych, kiedy dużo Polaków przestało wierzyć w Centrum — powstał w duszy ks. Kapicy pierwszy konflikt. Ks. Kapica zadeklarował się w każdym razie jako zdecydowany przeciwnik radykalizmu polskiego, jako niezgodnego z duchem chrześcijaństwa i lojalności i na tym stanowisku ugodowem (które reprezentował Napieralski wraz z swoją prasą), pozostał długo. Miał, jak mówiono, „serce Polaka i głowę centrowca“. Konflikt duchowy ks. Kapica pogłębia się, kiedy widzi, że polityka ugodowa żadnych rezultatów nie daje, że lud tłumnie opuszcza Centrum i gromadzi się wokoło sztandaru radykalizmu polskiego — przeciw duchu

wieństwu. Ks. Kapica widzi dalej, że Centrum nie przebiera w środkach przeciw Polakom. Przyjmuje więc kandydaturę do „Koła Polskiego“ i tłumaczy krok ten swoim konfratrom (str. 40 i 47). Ponowne groźby kardynała Koppa oraz słaby stan zdrowia ks. Kapicy skłaniają go do zrezygnowania z mandatu, próbując doprowadzić do zgody między Polakami a Niemcami. Wybory z roku 1907 przynoszą Polakom oszałamiające zwycięstwo, Centrum wychodzi silnie osłabione, nawet zachwiane, próbuje więc doprowadzić do kompromisu z Polakami, przyznaje im do sejmu pruskiego 3 mandaty zgóry. Centrum wzmocniwszy się znów trochę, przybiera na nowo postawę antypolską. Ks. Kapica aprobeował stanowisko ugodowe Napieralskiego, stojąc wciąż w ostrej opozycji do radykalizmu Korfantego. Dochodzi jednakże do porozumienia w obozie polskim. Ks. Kapica czuje się mimo to nieswojo, występuje z Koła Polskiego, składając takie oświadczenie:

1. Pokazało się, że zasad politycznych z zapatrywaniem większości Koła pogodzić nie mogę.

2. Moim celem politycznym było zasadnicze i faktyczne przybliżenie partii polskiej do Centrum. Wskutek nieporozumienia pomiędzy temi partjami straciłem podstawę mego programu politycznego.

3. Ciągłe zatargi prasy polskiej z księżmi obrażają moje kapłańskie uczucia i utrzymują we mnie obawy, że się przez to przywiązanie ludu górnośląskiego do Kościoła zachwieje. Nie chciałem przez dalsze przynależenie do partji podzielać odpowiedzialności za takie następstwa.“

Jak należy zrozumieć to oświadczenie ks. Kapicy? Nacjonalizm polski w całej swej skrajności był sprzeczny z poglądami kapłańskimi i katolickimi ks. Kapicy. Dalej czuł się ks. Kapica Polakiem — ale także pruskim poddanym, zobowiązanym

do lojalności wobec rządu. — Z tych pobudek właśnie płynie szereg niezrozumiałych pozornie wystąpień ks. Kapicy. Można być rozmaitego zdania co do rozciągłości takiej lojalności, możnaby powiedzieć, że była to uczciwość daleko posunięta — ale któż wejrzy w cudze sumienie, wysubtelnione właśnie na punkcie bezwzględnej moralności? Że ks. Kapica był Polakiem z całego serca, okazało się w chwili, kiedy teren plebiscytowy uznano za osobny, niezależny. Od tej chwili ks. Kapica, zwolniony z przymusu moralnego, oddaje się całkowicie pracy dla Polski.

Ta część monografji ks. Szramka jest najciekawsza i stanowi istotnie poważny fragment z historii odrodzenia narodo- wego na Śląsku, ale nie stanowi całości, gdyż ks. dr. Szramek omawia także życie ks. Kapicy jako kapłana i społecznika, jako człowieka i patrioty. Nowa monografja ks. Szramka jest cennym przyczynkiem do zrozumienia tej burzliwej epoki formowania się myśli polskiej na Górnym Śląsku, zarazem dowodem uznania ze strony społeczeństwa polskiego dla bezinteresownej i owcnej pracy ś. p. ks. Kapicy. Ujemną stroną tej monografji jest brak powołania się na źródła i zbyt obszernie cytaty. Monografja byłaby zyskała na bardziej syntetycznym ujęciu.

Lubliniec G. Śląsk.

A. Jesionowski.

Karol Ludwik Koniński: Robotnik bibliofilem. Przyczynek do bibliofilstwa na Śląsku. Kraków MCMXXXI. Odbitka z „Silva rerum“, VI, 1931, zeszyt 1—6, wytłoczono w drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie w 25 numerowanych w maszynie egzemplarzach. 4-ka, str. 5 + 3 ulb.

Pogoń za książką rzadką, wylawianie tych książek rzadkich z niezmiernego oceanu druków pospolitych lub błahych, czuj-

ne i pieczołowite ich przechowywanie, stanowi niezmierną zasługę społeczną bibliofilji. Bibliofilja jest zjawiskiem społecznie dodatniem: wylawia ona i przechowuje dla przyszłości skazane na zagładę przez nieświadomość czy niedbalstwo drukowane dzieła umysłu ludzkiego i tem wzbogaca, podtrzymuje i utrwała ciągłość rozwoju ludzkości.

S. P. Koczorowski: O bibliofilji.

Czytelnicy „Zarania“ przypominają sobie z pewnością ciekawy „Pamiętnik gazdy Jury Gajdzicy z Małej Cisownicy“, ogłoszony i poprzedzony wstępem przez Jana Wantulę z Ustronia („Zaranie śląskie“, 1930, 146—152). Rękopis owego pamiętnika, pochodzący z początków XIX wieku, znajduje się w prywatnych zbiorach wydawcy, zawierających jeszcze wiele innych cennych pomników z przeszłości Śląska. Tymto właśnie zbiorom poświęcił K. L. Koniński swój cenny przyczynek do bibliofilstwa na Śląsku, a robotnikiem-bibliofilem, któremu poświęcił tę nader sympatyczną rozprawkę, nie jest nikt inny, tylko wydawca „Pamiętnika Jury Gajdzicy“, Jan Wantuła, były hutnik trzyniecki, obecnie skromny sadownik, podobny swem zamiłowaniem i sercem owemu trzeciemu Zegadłowiczowemu powsinodze beskidzkemu, autor rozrzuconych po prasie artykułów i rozpraw o dawniejszem życiu społecznem, religijnem, oświatowem i literackiem na Śląsku. Z rozprawki Konińskiego dowiadujemy się o Wantule innych, ciekawszych jeszcze rzeczy, niedocenianych przez wszystkich należycie, mianowicie poznajemy jego „żywe bibliofilstwo“. Nietylko ludzie w Ustroniu wiedzą o tem, że jest u niego spora — jak na prywatny i chłopski zbiór — biblioteka. I współpracownicy „Zarania“ mogliby coś o niej powiedzieć, bo korzystali z niej, co na tem miejscu z wdzięcznością podkreślam. Nie wszystkim jednak, co o bibliotece słyszeli, wiadomo, że jest to poważny księgozbiór, liczący około półtora ty-

siąca tomów, zawierający rzeczy, nigdzie indziej nie spotykane.

Ponieważ nie wszyscy będą mieli sposobność zapoznać się z rozprawą Konińskiego, bo odbitek jest tylko 25, a „Silva rerum“ nie każdy może sobie kupić, bo jest bardzo droga, nie od rzeczy będzie przytoczyć kilka bodaj wiadomości z tejże.

Księgozbiór Wantuły zawiera okazy piśmiennictwa starego i współczesnego. Z rzeczy starych, przeważnie luterzańskie i śląskie. Obok dosyć często spotykanego kancjonału Jerzego Trzanowskiego znajduje się w księgozbiornie cenna pamiątka po Trzanowskim, istny biały kruk, mianowicie rękopis (kopja śląska) jego „Komentarzy do Objawienia św. Jana“. Słowackim historykom literatury wiadomem było, że Trzanowski napisał coś podobnego, lecz bliżej o tem nic nie wiedzieli, bo „Komentarze“ owe pozostały w rękopisie. Wantuła jest ich szczęśliwym posiadaczem, a nabył je od jakiejś starowinki w Wiśle, która znalazła je między rupieciami.

A teraz mała wycieczka. Szkoda, że p. Koniński, pisząc o Trzanowskim, że „był zresztą Polakiem z Cieszyna — (zwierza się o sobie, iż pochodzi ze „sławnego szczepu Polaków“, *Polonorum celebri de stirpe*), ale pisze w dialekcie morawskim, zrozumiałym zarówno dla Słowaków, jak i Polaków“, nie podał źródła, z którego wzięł ów cytat. Jakkolwiek narodowość Trzanowskiego, niewątpliwie polska, zdaje się być rzeczą dowiedzioną, to jednak dobrzeby było mieć argument jasno i oczywiście rzecz tę stwierdzający¹⁾. Jestem pewien, że cytat ten nie odnosi się do Trzanowskiego, choć z pewnością wzięty jest z jego pism. Do przypuszczenia takiego skłoniła mię wiado-

¹⁾ Ks. Andrzej Buzek: Dzieje ewangelicyzmu na Śląsku, Kalendarz ewangelicki na rok zwyczajny 1925, Cieszyn, str. 58.

mość, zawarta w obszernem streszczeniu książki Jana Mocki, pastora w Čačowie²⁾, napisanem prawdopodobnie przez ks. Franciszka Michejdę, pastora nawiejskiego³⁾, wydawcę „Czasy pełnej wonności“ Trzanowskiego. Czytamy tam: „W roku 1615 wstąpił Trzanowski do stanu małżeńskiego z Anną Polani z Polansdorfu. Stanu i miejsca pobytu teścia Trzanowskiego nie udało się dotąd wybać, ale sam Trzanowski powiada o swej żonie w słowie do potomstwa, że była „z sławnego rodu Polanich“, a o teściu swoim, że był mężem znakomitym⁴⁾. W „Słowie dla potomnych, szczególnie dla pozostałych dzieci Samuela, Dawida i Tymoteusza Trzanowskich⁵⁾ brzmi to tak:

Kiedy po długich tułaczkach po świecie
Z pomocą Bożą powróciłem z nauk szkolnych,
I odkąd pojąłem żonę Annę z szlachetnego rodu
Polańskich, a świętych ołtarzy pilnuję,
Obdarzył nas Bóg wszechmogący gronem prze-
zycznych dzieci,
Z których jednak niektóre zbyt prędko odwołał
do siebie.

Cytat p. Konińskiego, odniesiony do postaci Trzanowskiego, wzięty jest niezawodnie z „Odorum Sacrarum“, z bio-

²⁾ Život Jura Tranovského, vchlasného cirkevneho pevca slovenskeho. K. 300 — ročnej pamiatke jeho narodenia napisał Ján Mocko, farár a konsenior. V Senici, 1891.

³⁾ Przyjacieli Ludu, 1891, str. 139—141, 163 do 165, 171—173, 179—180, 187—190.

⁴⁾ Polan v. Polansdorf. Heinrich Polan, Stadtschreiber in Troppau, erhielt 1563 mit dem Prädicate „von Polansdorf“ den böhmischen Adel. (Bei dem Diplomsconcepte im k. k. Adelsarchive in Wien ist kein Wappen angegeben.) J. Siebmacher's grosses und allgemeines Wappenbuch. Vierten Bandes elfte Abteilung. Der Adel von Oesterr. Schlesien. Nürnberg 1885.

⁵⁾ Tłumaczenie polskie „Słowa dla potomnych“ znajduje się w Kalendarzu ewangelickim na rok zwyczajny 1931, Cieszyn, str. 125—129.

graficznego wiersza „Coronis ad posteritatem“, lecz tutaj odnosi się do żony Trzanowskiego i nic nam o narodowości nie mówi.

Inne natomiast miejsce „Słowa dla potomnych“ uważałbym za szczęśliwsze, jako określenie narodowości Trzanowskiego⁶⁾:

Cieszyn jest starem miastem, siedzibą
Księcia ziemi cieszyńskiej, w której
Od niepamiętnych czasów rozbrzmiewa polska
mowa,
Gdyż Polacy pierwszymi byli ziemę tej mieszkań-
cami.
W tem mieście mego urodzenia kolebka.

I jeszcze jedno. W pieśni swej, napisanej pod wrażeniem wypadków, jakie zaszły w Pradze 21 czerwca 1621 r., zaczynającej się od słów „Ach Bože k'jakému věku račils nas dochovati“, użył Trzanowski słowa „styštět se“⁷⁾. Ks. Mocko czyni do tego wyrazu uwagę: „je výraz u nas neobvyklý“. Autor streszczenia³⁾ natomiast wie, skąd wyraz ten pochodzi, bo pisze: „— za to u nas na Śląsku i w polskim języku wogóle jest to wyraz zwyczajny i powszechnie używany: styškać, a znaczy tyle, co narzekać, uskarżać się, styškać sobie zaś znaczy tyle, co mieć czego dosyć, mieć do czego wstřet (po niemiecku: überdrüssig sein). Wyraz ten jest świadectwem, że Trzanowski był Polakiem i z domu po polsku umiał, chociaż panującym naówczas u nas na Śląsku zwyczajem po polsku nie pisał. W tej samej pieśni (wiersz drugi) użył Trzanowski drugiego takiego polskiego słowa „(W

⁶⁾ Przytaczam tekst tłumaczenia, j. w., ponieważ z oryginalnego łacińskiego tekstu chwilo-wo nie mogłem korzystać. Zaznaczam, że polskie tłumaczenie „Słowa dla potomnych“ jest... kiepskie.

⁷⁾ Cithara Sanctorum, wyd. z r. 1737, str. 1040, — z 1841, str. 486.

⁸⁾ Przyjacieli Ludu, 1891, 173.

prawdę Bożi) zmotana“. Takich przypomnień polskiego pochodzenia Trzanowskiego jest w jego pieśniach więcej.“

Wracamy do księgozbioru. Pomiedzy starzyzną na strychu u jednego ze swoich krewnych znalazł również Wantuła inny pomnik starej chłopskiej kultury i polskiej kultury swego rodu, mianowicie trzy kazania ks. Andrzeja Schönflissiusa, pastora wileńskiego, z lat 1632—1635. Jest tutaj także „Krótką historja kościoła krześcijańskiego“ ks. Jana Kłapsi, wydana we Wrocławiu pod koniec w. XVIII, z której austriacka cenzura duchowna wycięła 36 stron. Pierwszy polski „Kancjonał ewangelicki“ (Brzeg, 1685), którego Wantuła ma XIII wydanie (Brzeg, 1825, w opracowaniu z r. 1776 ks. Brockhammera, Cieszyniaka), świadczy o tem, że lud obok oficjalnego morawskiego śpiewnika Trzanowskiego używał na długo przed pojawieniem się kancjonału ks. Jerzego Heczki z Ligotki śpiewników czysto polskich. Obok książek pierwszych pastorów cieszyńskich (Muthman: „Pieśni“ (?), 1724 i Zasadyus: „Drogi do prawdziwego krześcijaństwa torowanie“, Lipsk 1727) znajdujemy „Postyllę“ ks. Adama Gdaciusa, pastora kluczborskiego, z r. 1651, i tegoż autora „Ardens irae divinae ignis...“). Katolickim zabytkiem jest „Prawdziwa Jedźina do Nieba z pisma Świentego dokazana Droga...“ wydana przez Ksiendzów pod Komorom Cy-sarskom Ksionżenstwa Cieszyńskiego we Winnicy Jezusowey pracujonych“ (:ks. Jana Janusza Hackenberga z Wendryni, ks. Jerzego Bajtka z Jabłonkowa i ks. Franciszka Knöbla z Goleszowa), w Opawie 1761 r. Do śląskiej literatury świeckiej daty dawniejszej zaliczyć trzeba „Katechizm“ ks. Karola Kotschy'ego z r. 1835, z dodaną filipiką przeciwko pijaństwu p. t. „Gorskie kapki ale zdrowe“,

⁹⁾ Paweł Musioł: Literatura śląsko-polska XVII wieku, Zaranie śląskie, 1930, 126 i nast.

oraz z prawidłami gramatyki i pisowni polskiej.

Bibliofilstwo Wantuły posiada na gruncie śląskim pewną tradycję, o czem świadczy „Pamiętnik Jury Gaydzicy“ i szereg książek, znajdujących się w omawianej bibliotece, oraz u innych ludzi w okolicy, opatrzonych pieczętką Jura Gaydzica i ekslibrisem¹⁰⁾.

Z nowszych rzeczy, z których na wyróżnienie zasługują bogate „silesiaca“, z ciekawia nas kompletny zbiór dzieł W. Orkana. Wielkiego pisarza łączyło coś z Wantułą. Być może, że idea, której wykładnikiem w dziełach Orkana jest Franek Rakoczy. Dawno już, bo gdzieś przed wojną, pisał Wantuła o Orkanie („Czytajcie Orkana“ w „Głosie ludu śląskiego“), zaś niedługo przed jego śmiercią gości autora „Wskazań“ u siebie, u stóp Małej Czantorji. Pobyt swój w Ustroniu uwiecznił Orkan niedokończoną powieścią śląską, zatytułowaną „Czantorja“¹¹⁾.

„Bibliofilstwo Wantuły bynajmniej nie jest czystym sportem kolekcjonerskim, ale godzi się je nazwać „bibliofilstwem żywym“: to miłość książki, jako rzeczy nawskroś żywej: jako miejsca, w którym przyczaiły się na chwilę i spoczęły milcząco, prądy, które z serc bijąc serc szukają.“
L u d w i k B r o z e k.

Adolf Fierla: Cienie i blaski. Poezje z zagłębia. Nakładem autora. Skład główny w Księgarni Macierzy Szkolnej w Czeskim

¹⁰⁾ Zobacz wstęp J. Wantuły do Pamiętnika Jury Gaydzicy.

¹¹⁾ Władysław Orkan: Czantorja. Fragment powieści p. t. „Czantorja“ — rozdział zatytułowany „Czary“. Czas, nr. 78, z dnia 4 kwietnia 1931, str. 2—3. Toż, Prawo ludu, nr. 18, z dnia 30 kwietnia 1931, str. 1—4. — Zobacz również Wincenty Hlouszek: Z pośmiertnej spuścizny Orkana. Wierchy, VII, 1930, str. 244—245. (Wiadomość o fragmentach powieści p. t. „Czantorja“, pisanej na śląski konkurs literacki, 1929.) Toż, Tęcza, 1931, 11.

Cieszynie. 1931. Odbito czcionkami Ludowej Drukarni we Frysztacie. 8-ka, str. 63 + 1 nlb.

Jest to pierwszy z młodych poetów polskich, którego poezje poświęcone są w całości górnikom i ich otoczeniu na Śląsku Cieszyńskim po stronie czeskosłowackiej. Autor „Cieni i blasków“ przebywa zresztą stale w tamtej części Śląska Cieszyńskiego, żyjąc i pracując na polu oświatowym wśród ludu śląskiego. Stąd oryginalność tematów, w innych dzielnicach Polski, prócz województwa śląskiego, nieznanych.

Na treść zbioru składają się utwory dłuższe, w formie poematów rodzajowych i wiersze krótsze, przeważnie refleksyjne — tytuł zaś symbolizuje troski i radości, szczęścia i nieszczęścia górniczego ludu Karwiny i okolic.

Cechą dodatnią prawie wszystkich utworów, zawartych w tym tomiku, to śmiałość, temperament, plastyka, barwność i bezpośredniość opisu oraz piękność porównań. Jednym słowem cechy znamionujące talent.

Oto kilka zwrotek wiersza p. t. „Ze szychty“:

Spokój legł na wieś i na jej łaniokach
I cichość spadła na nie niezgłębiona
Czając się w progach chat i przy potokach,
I snem się leniąc głuchym u wygona.

Idą hawierze... przed nimi śpi wioska
Pod modrą nieba śląskiego cichością,
Niepoplamiona krzywdą i beztroska,
Pojona rosą i nieba modrością.

A zaś za nimi tętni i szaleje,
Dzwoni piszczkami, lampami się śmieje
I pysk nabiegły krwią ku nim wypina
Dyszająca pracą stu szybów — Karwina.

„Cienie i Blaski“ mają w sobie jednak dużo nierówności pod względem wartości artystycznej. Można mieć pretensję do utalentowanego autora, że niektóre fragmenty, zwłaszcza w wierszach rodzajowo-opisowych, nie znajdują się na jednakowej

wyżynie. Z tak cennej, mającej swój artystyczny wyraz prostoty, popada autor gdzieniedzie w łatwiznę i naiwność. Przypuszczam, że jest to robota umyślna, dla zaakcentowania środowiska. Nie jest to jednak potrzebne — można przecie użyć innych środków — środków artystycznych do wydobycia właściwego oblicza treści utworu. — Nie mam oczywiście na myśli wprowadzanie przez poetę i umiejętnie dostosowanych do całości wyrażeń gwarowych, te bowiem dodają tylko uroku i prawdy tego rodzaju utworom regionalnym.

Nie można się również zgodzić na taką sztuczność lub przesadę, jak np. takie oto powiedzenia: — „złodniałe“ oczy karmić podwójnem cudu swego jadłem“ (!?) („Fabryka w nocy“) lub: — „rozprułem w strzępy powietrze skroś sine i strachu lodem zamroziłem słońce (!?) („Upiór do szóstej“).

Takie więc grzechy szkodzą „opinji“ „Cieniów i blasków“, nie tyle jednak na szczęście, aby utracić wiarę w talent autora. — Albowiem za wyjątkiem niektórych, nieudałych części zbioru, gdzie poeta nie chciał lub nie umiał walczyć z formą, aby utrzymać się na zdobytych już pozycjach swego wysiłku artystycznego — wszystko inne, a więc pozostałe fragmenty wierszy dłuższych jak i wierszy drobniejszych, zwracają uwagę swoim pełnym wyrazem i temi zaletami, o których na początku wspomniałem.

A oto znów wyjątek z doskonałego wiersza p. t. „Św. Barbara“:

Klękała przed nią szara brać górnicza
Po cechowaniu, przed każdym faranem
A ona wzrokiem głąskała ich lica
Smutnie, jakoby byli przed skonaniem.

Aż niewiadomo poco, skąd i naco

Wzięli precz ołtarz na czyjś rozkaz ludzie.
I nic... aż pomkła stu błyskawic racą

Wieść: KATASTROFA!..

(A był czwarty grudzień...)

I wiele jeszcze przytoczyćby można wyjątków z wierszy: Młody hajer, Sobota w kolonji, Z wypłatą, Wypalone oczy, Ballada o flecach, Światło na hałdzie, Słońce, Radość, Noc, Hawierz, Zagłębie i Wielkanoc — lepiej jednak będzie, jeśli czytelnik kupi sobie ten tomik w księgarni, przeczyta go w całości i — sam osądzi.

Wł. Żelechowski.

Ks. Emanuel Grim: Wanda. Poznań MCMXXXII.

Ze znanej już w Polsce drukarni Jana Kuglina w Poznaniu, wstawionej jego Biblioteką Studwudziestu, wyszło nowe cacko bibliofilskie, przemiła książeczka, prosta a tak bardzo wdzięczna w swej formie, prawdziwe arcydzieło typograficzne. Jest nim nowa książka Ks. Prałata Emanuela Grima, proboszcza w Istebnej, pawiąca wierszem o legendarnej Wandzie, co według śląskiej wersji pod Skoczowem do Wisły skoczyła i utonęła.

Jan Kuglin poprzedził *W a n d ę* przedmową, w której sercem się świadczy, iż mu ponad wszystko najdroższem to, co się Śląskiem mianuje, i dlatego też nie łakomił swego serca dla Grimowej książeczki, radując się, że swoim staraniem może wydać w polski świat nową pracę śląskiego pisarza, będącą świadectwem rozrastającej się kultury polskiej na Śląsku.

Emanuel Grim, pisząc swoją *Wandę*, nawiązuje do podania o jej tragedji i tworzy inscenizowany poemat w siedmiu odsłonach. W pierwszych pięciu akcja toczy się na Wawelu i nad Wisłą pod Krakowem grodziskiem. W następnych dwóch — nad Wisłą pod Skoczowem. Całość składa się z dwóch części: W pierwszej, obszerniejszej, przedstawiony jest tragizm Wandy, która zwycięstwo Polan okupuje ofiarą swojego młodego istnienia. Jest to sceniczne opracowanie podania o konflikcie, jaki powstaje

w sercu Wandy, nie chcącej poślubić znieprawidzonego i nienawistnego księcia niemieckiego, Rydygiera. W drugiej części akcja toczy się w ostatnich dziesiątkach lat. W odsłonie VI występuje Stalmach ze swymi towarzyszami, któremu zjawia się Wanda i przepowiada rozbudzenie się ludu śląskiego, jego walkę o wolność. W odsłonie VII, w czasie palenia sobótek nad Wisłą w okolicy Skoczowa przychodzą zjawy Wandy i Cezarego Hallera z bojownikami górnośląskimi i cieszyńskimi, ażeby „zwołać wszystkich na wiec:

by radzić, jak mamy strzec
naszych grobów i śląskich miedz,
bo bój o polskie Śląsko nie skończony
jeszcze!...

Nie skończony jeszcze,
póki w obcej przemocy są jeszcze śląskie
zagony..“

W strukturze scenicznej i ujęciu treści dopatrzeć możnaby się tutaj wpływów Wyspiańskiego i Słowackiego, w sumie jednak praca ta tworzy całość oryginalną, piękną i urzekającą swoim szlachetnym patosem i tym specyficznym, właściwym Grimowi podejściem do tematu, świadczącym — podobnie jak u Kuglina, co tę książkę drukował — że autor tworzył tutaj sercem.

Wiersz nierówny. Miejskami potoczysty, dźwięczny, mocny, miejscami potyka się, załamuje, staje się zgrzebnym i chropowatym, jak to żywobycie górali beskidzkich, między którymi autor wóldarzy i tamto swoje serce szczerze rozdziela. Lecz mimo tego całość jest tak bardzo ujmująca, tak jakoś bardzo nasza, swojska, że straciłaby wiele, gdyby była inaczej i ujęta i napisana.

Czy na scenę się nadaje, zwłaszcza na scenę ludową — należy wątpić. Jej dostojny patos zostałby wypaczony w ramach prymitywnej scenki teatru amatorskiego. *Wanda* autora „Z nad Olzy“ wymaga owartego teatru greckiego, przeniesionego na słoneczny, nadwiślański stok Podbeskidzia śląskiego.

G. Morcinek.

Tadeusz Seweryn: Krakowskie skrzynie malowane. Kraków 1928. Wydawnictwa Muzeum Etnograficznego w Krakowie, nr. 1.

„Te kwiatki, to z rajskiego ogrodu: zaś posłał ci je sam Pan Jezus, a anioł z lilią przyniósł do Nazaretu i stąd dostały się przez ptaków niebieskich na świat Boży.“

Słowa te, wzięte z pięknego wstępu do omawianego wydawnictwa, należy odnieść przede wszystkim do prześlicznych malowideł, jakie widzimy na 5 barwnych tablicach, przedstawiających 10 najrozmaitszych skrzyń krakowskich w kilku najbliższych Krakowowi miejscowościach. Nadto 33 znakomitych rycin, wszystkie wykonane jak najdokładniej i objaśnione szczegółowo a równocześnie przystępnie, wydane na pierwszorzędnym papierze przy pomocy częściowego zasiłku Min. W. R. i O. P., składają się na wzorową całość, stając się przez to trwałym i cennym klejnocikiem kulturalnym, o dużej wartości naukowej, tem droższym, bo wydanym na czasie, gdy sprzęty te, chluba poprzednich pokoleń, coraz rzadziej są spotykane i właściwie już do zabytków się zaliczają. — O tych właśnie prześlicznych skrzyniach krakowskich, o ich początku, wykonaniu i przeznaczeniu dawnem, o częściach składowych, ozdobach, o sposobach i narzędziach, jakimi je wykonywano, o technice ich malowania w różnych okolicach, kraju, traktuje ta piękna praca, podając w szeregu przypisów różne źródła pokrewne o polskich skrzyniach ludowych, nie zapominając również i o śląskich pracach, tak J. Wałacha, B. Kotuli, jak i innych.

Z renesansowych gzymsowań skrzyń krakowskich wywodzi znany zaszczytnie autor łączność naszego ludowego sprzętarstwa z tradycją Odrodzenia, z głęboko wkorzoną u nas włoską architekturą tych czasów, które to sprzętarstwo poprzez dwory królewskie i magnackie się-

gnęło z czasem aż do ludu i z pewnymi odmianami aż do dzisiaj przetrwało — kto naprawdę cokolwiek interesuje się polską sztuką ludową, temu wyczerpująca ta praca, aczkolwiek traktująca tylko o części naszej rozległej sztuki ludowej, sprawi wielką rozkosz w czytaniu i oglądaniu.

W. B a n d u r a.

Tadeusz Seweryn: Parzenice góralskie. Kraków, 1930. Wydawnictwa Muzeum Etnograficznego w Krakowie, nr. 2.

Drugi tom powyższego wydawnictwa, pióra tegoż samego autora, traktujący o t. zw. parzenicach, t. j. o najpiękniejszych, haftowanych ozdobach stroju góralskiego, większy od tomu I, o 17 stron, przynosi w 11 barwnych tablicach i 30 rycinach wyjaśnienie naukowe nazwy „parzenica“, historyczny zarys stroju górali, oraz wykazuje postronne wpływy, jakie nań oddziaływały, a to w związku z rozwojem parzenic, dalej podaje opis materiału i techniki wyszywania, jako też analizę pierwiastków ornamentyki tego stroju, składających się na różne typy i formy parzenic. — Autor, sprzeciwiając się nienaukowemu wywodzeniu formy parzenicy z dawnej „korony“ (w drodze różnych przemian), noszonej kiedyś rzekomo przez chłopów na rękawach sukman, gurman i cuch, jak i tłumaczeniu literackiemu jej kształtu z dawnych wojskowych odznak polskich sołtysów lub też ze starożytnej formy odwróconej palmy (stylizacja naturalist. kształtu liścia palmy), stwierdza i dowodzi, że podhalańska parzenica rozwijała się na zasadzie geometrycznej formy serca lub naszywanym sznurów, witych początkowo w 3 pętli, potem w 5, 7 i 9, a zakopiańskie serdaki, jako przeszczepione na Podhalę dopiero w 2-giej połowie 19. wieku przez Słowaków i przez nich początkowo wyrabiane, określa jako „modę“ ówczesną, podczas gdy parzenica, tak sznurowa jak pętlowa i sercowata

były już wówczas w pełnym rozwoju, zupełnie niezależnym od naszyć na serdakach. — Nazwę parzenicy wyprowadza autor z pierwotnej formy do wyrobienia serów i jej późniejszych odmian, a z czasem z samych serów w postaci serca, podciągając pod nią wszystkie komplety zdobnicze przyporów góralskich spodni, a nawet wszelkie taśmowe i sznurowe ozdoby na spodniach wojskowych 19-go wieku, umieszczone w okolicy przyporów, jak u naszych górali. — Najdawniejsza ilustracja naszego góralskiego stroju pochodzi z r. około 1680 z pod ręki holend. rytownika Luyckena.

Szereg rysunków parzenic z Zakopanego, z powiatów myślenickiego, nowotarskiego, sądeckiego, jak i ze Śląska Cieszyńskiego (Jabłonkowskie), który około połowy 19. wieku przodował w ewolucji formy parzenicy sznurowej, przenikając aż na Podhale, daje czytelnikowi, dzięki dokładnym wywodom p. Seweryna, ścisły i dokładny obraz ewolucji tych form, dawniej tak stylowych, a dzisiaj coraz bardziej zanikających pod wpływem coraz większej urbanizacji życia nawet w górach. — Życzymy Autorowi, aby praca Jego, ze wszech miar godna przeczytania, sięgnęła w jak najdalsze warstwy i przyczyniła się do rozbudzenia akcji, koniecznej dla zachowania naszego pięknego stroju góralskiego i przywrócenia mu słusznie należnej, bo wysoce artystycznej wartości, a to w drodze nawrotu do dawnych form, względnie do powstania nowych, piękniejszych niż obecne, i tu i ówdzie już zmarnierowanych.

W. B a n d u r a.

Seweryn Udziela: Ludowe stroje krakowskie i ich krój. Kraków, 1930. Wydawnictwa Muzeum Etnograficznego w Krakowie, nr. 3. Wydane z zasiłku Depart. Kultury i Sztuki przy Min. W. R. i O. P.

Dzieło to znakomite, bo inaczej trudno je nazwać, jest znacznie wspanialsze niż poprzednie dwa, zarówno pod względem objętości, jak tablic i rycin. — Już samo przejrzanie 34 barwnych tablic zmusza wprost do zajęcia się treścią dzieła jak i bezkonkurencyjnymi 47 rycinami, ukoronowanymi nadto 2-ma olbrzymimi arkuszami krojów stroju krakowskiego, męskiego i kobiecego, podających w centimetrach krój 2 kaftanów męskich, sukmany białej, karazji i górnicy, oraz kobiecego kaftana i żupana. Akwarelowe ilustracje, wykonane przez Marię Eljasz Radzikowską, są wprost prześliczne i stanowią wraz z doskonale ujętą treścią — jedną, skończenie artystyczną i wykwiśniętą całość, którą słusznie szczyścić się można.

Celem dzieła, udanym najzupełniej, jest gorące pragnienie utrzymania tego precudnego stroju (ginącego dziś już po części), a to przez ukazanie czytelnikom jego piękna na podstawie długiego, wielobarwnego szeregu charakterystycznych strojów, a przez podanie ich opisu, kroju i wymiarów, udostępnienie uszycia ich przez każdego krawca czy krawcową, co zwłaszcza dla ludowych czy amatorskich teatrów jest niezmiernie pożytecznym i praktycznym czynem.

Treść książki można podzielić na 3 części: pierwszą, traktującą, chociaż pokrótce, lecz rzeczowo, o siedzibach, ludności, mieszkaniu i odzieniach krakowiaków, tak w czasach dawniejszych, jak i w ostatnich i dzisiejszych i 2 dalsze, rozpatrujące już szczegółowiej różne stroje krakowskie, męskie i kobiece, ze wszystkimi ich przynależnościami i drobiazgami, jak u mężczyzn: obuwie, kapelusz, laska, fajka z kopciuchem, wacek na pieniądze, nóż i t. d., a u kobiet wstążki, chustki, wieńce panny młodej, prześliczne hafty, kosztowności i i., poza głównymi częściami całego stroju, począwszy od bielizny.

Każde z omawianych tutaj wydawnictw Muzeum Etnograf. kończy krótkie streszczenie całości w języku francuskim, dla użytku zagranicy. Wrażenie, osiągnięte z przestudjowania dzieła p. Sew. Udzieli jest tak silne i serdeczne, że trudno jest wstrzymać się od zachwyty i nie powtarzać wszystkich prawie zawartych w niem opisów, a zwłaszcza cudownych ilustracyj i rycin, które zdobyła książkę tak licznie. Każdy nauczyciel, i nie tylko on, — każdy inteligent winien koniecznie ją wziąć w rękę, a każda biblioteka (szanująca się) nabyć ją jak najprędzej, a zwłaszcza biblioteki ludowe i teatralne, zanim nie zostanie zupełnie wyczerpana, czego się można i należy spodziewać. Podobne dzieła trudno jest recenzować, można się nimi tylko zachwycić.

W. B a n d u r a.

Anna Kutrzebianka: Budownictwo ludowe w Zawoi. Kraków, 1931. Wydawnictwa Muzeum Etnograficznego w Krakowie, nr. 4.

Zawoja, prześliczna i ogromnie rozległa wieś górská i letnisko w powiecie makowskim, w wojew. krakowskim (coś w rodzaju Istebnej na Śląsku Ciesz., lecz dużo większa, więcej charakterystyczna i starsza), interesuje coraz więcej sfery nauk. krakowskie ze względu na swą odrębną wartość, zwłaszcza m. i. etnograficzną. — Niniejsza praca, ściśle naukowa, ozdobiona 11 tablic. i 15 rycinami, zajmuje się budownictwem drewnianem tejże wsi, z uwzględnieniem momentu rozwojowego w jej budownictwie, a to na podstawie 2-letnich badań i pomiarów 160 chat typowych, a przede wszystkim badań terenowych według najważniejszych skupień domostw w górnej części wsi. Praca, uzupełniona badaniami porównawczymi w dolinie Skawicy, oraz źródłami historycznymi i mapami katastralnymi, podaje w 7 rozdziałach położenie Zawoi, jej historję, rozmieszcze-

nie domostw, typy chat, chronologję tych typów, zasięg typu zawojskiego, poczem omawia szczegółowo poszczególne części domu i technikę budowy, jak materiał, fundamenty, podłogę, konstrukcję ścian, podcienia, drzwi i okna, powałę i fojstron (siostrzan, sosręb = gruba belka, w formie prostopadłościanu, biegnąca wzdłuż izby, na której wspierają się tragarze), dach, piece oraz inne drewniane budowle, jak szope, wozownię, nakrycie, piwnicę, studnie, zdobnictwo i ornamentykę, kończąc otoczeniem chaty — a więc wszystko. — Książka, niezmiernie ciekawa, naukowo bardzo pożyteczna, a dla fachowców i interesujących się budownictwem ludowym, niezastąpiona, zwłaszcza że zaopatrzona jest w wielką ilość doskonałych rycin i tablic, zawierających często po kilkanaście figur w jednej tablicy. W zakresie budownictwa drewnianego stanowić będzie zapewne ważną pozycję naukową, na co bezwątpienia zupełnie zasługuje¹⁾.

W. B a n d u r a.

Ziemia Kaliska. Miesięcznik regionalny. Rok I. Nr. 8—9 (listopad-grudzień 1930).

Ciężki jest dzisiaj byt wszelkich wydawnictw, a tembardziej regionalnych. Z recenzowanych dotychczas przez nas, nie otrzymała redakcja nasza oddawna egzemplarzy wymiennych ani Regjonu Lubelskiego, ani ostatnich numerów Ziemi Kaliskiej. Ostatni numer tejże, jaki nas doszedł, niezmienny jest pod względem szaty; przynosi on 6 artykułów o Kaliskiem, z których najwięcej interesującymi naszych czytelników byłyby niektóre dane z działu kroniki, artykuł p. Rom. Voita: O teatr w Kaliszu (którą to bu-

¹⁾ Autorka omawianej pracy zaczęła zbierać materiały w Zawoi, będąc uczennicą VI klasy gimnazjum, a do druku oddała ją, będąc w klasie VIII. — Przypisek Redakcji.

dowłę, nie wątpimy, że społeczeństwo tamtejsze doprowadzi, mimo dzisiejszych trudności, do szczęśliwego końca), następnie art. p. Kaz. Stefańskiego: O teatrze w dawnym Kaliszu (c. d. artykułów poprzednich), oraz p. Stef. Dybowskiego, artykuł o bibliotece a raczej o bibliotekę regjon. kaliską, uzasadniający konieczność stworzenia takowej przy Muzeum „Ziemi Kal.” i podający jej cele, zasięg działania i i. punkty w ogólnym szkicu. Myśl, naszym zdaniem, bardzo słuszna i możliwa do przeprowadzenia. — Inne artykuły, jak znakom. historyka, pułk. Bronisława Gembarzewskiego: Materjały do historii i działań pułków kaliskich w powstaniu listopadem, Janusza Staszewskiego: Kalisko — Poznańskie pogranicze 1831 i ks. J. Sobczyńskiego: Proces rodziny Lipskich przeciw Fiskusowi pruskiemu o zwrot skonfiskowanych dóbr chockich w r. 1797, są już natury więcej specjalnej, wzgl. lokalnej. Do zeszytu dołączono 4 dodatki graficzne, t. j. portret Chłopiczkiego, W. ks. Konstantego, interesujący autograf Asnyka na krótko przed śmiercią i podobiznę karty tytułowej tragedji p. t. „Jerzy Lubomirski“, wydanej w Kaliszu, w pamiętnym roku 1831.

Ogólnie biorąc, omawiany zeszyt przynosi niewiele materiału nowego, jeśli chodzi o regionalizm dzisiejszy. Przeważają stale artykuły treści historycznej, co, jak to już określiłem w ostatniej recenzji, wnosi za mało urozmaicenia i zainteresowania dla szerszego ogółu. Większe uwzględnienie dnia dzisiejszego w regionalizmie Kaliskiego, jako całości, t. j. wprowadzenie życia wsi tamtejszej, jej różnych wartości, niewątpliwie tam istniejących, przyniosłyby wydawnictwu napewno więcej świeżości i koniecznego ożywienia. Jak dotąd, miesięcznik ten nie wychodzi przeważnie poza ramy histor. artykułów i przyczynków ani na wieś kaliską. Szkoda dla wszystkich! W. B a n d u r a.

Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój, t. XIV. Warszawa, 1931. Str. X + 405. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego.

Nowy tom „Nauki Polskiej“ otwiera rozprawa doc. U. Jagiellońskiego dra M. Heitzmana p. t. „Nauka i uczone na tle historycznym“. Autor zastanawia się nad historycznym rozwojem pojęcia nauki i uczonego i ich stosunkiem do społeczeństwa i odwrotnie. W okresach, gdy nauka zbyt oddalała się od życia, następuje wśród społeczeństwa reakcja, pod której wpływem następuje pewna zmiana kierunku rozwojowego nauki. Zdaniem autora, ostatnio, po wielkim rozkwicie nauk przyrodniczych i historycznych, przyszła kolej na rozkwit socjologii.

W następnym artykule „Utylitaryzm a nauka czysta“ prof. U. Jag. dr. S. Zaremby na przykładach historycznych udowadnia konieczność uprawiania nauki czystej jako warunku rozwoju gospodarczego i siły obronnej państwa. Dłuższe opracowanie Cz. Łupińskiego dotyczy katedr i sił profesorskich w państwowych uczelniach akademickich. Z pracownicy ułożonych tablic, obrazujących liczbę katedr i wiek profesorów, pracujących w różnych dziedzinach nauki, autor wysnuwa wnioski liczbowe o potrzebach nowych sił profesorskich w poszczególnych wszechnicach i naukach. Z wywodów autora wynika, że sprawa wyższego nauczania w Polsce jest poważnie zagrożona: na 772 katedry w państwowych uczelniach akademickich 50 jest niezajętych, 46 profesorów przekroczyło wiek przepis. 65 lat, wreszcie liczba starszych profesorów, zbliżających się do granicy wieku, wynosi 169. Ponadto, zdaniem autora, niezbędne jest kreowanie stu nowych katedr. Autor zamyka swe wywody określeniem liczby młodych pracowników naukowych, których należy przysposabiać do stanu profesorskiego, aby praca szkół akademickich nie uległa zahamowa-

niu. W następnym artykule prof. Politechniki Lwowskiej A. Łomnicki wyluszcza potrzeby matematyki stosowanej w Polsce, mającej duże znaczenie w gospodarstwie narodowym, a która jest w Polsce upośledzona w stosunku do matematyki czystej.

Bardzo ważne zagadnienie porusza artykuł prof. U. Poznańskiego dra J. Rutkowskiego p. t. „Organizacja nauki a postępy nauki“. Analizując formy organizacyjne pracy naukowej, jak zjazdy, czasopiśma, towarzystwa i t. p., autor ostrzega przed ich nadmiernym rozrostem, który niejednokrotnie wpływa hamująco na samą pracę naukową, sprzyja natomiast masowej produkcji publikacji naukowych ze szkodą ich jakości.

Historji organizacji nauczania w Polsce poświęcone jest źródłowe opracowanie J. Dobrzańskiego „Z dziejów ofiarności na cele oświaty na Wołyniu, Podolu i Ukrainie w latach 1795—1832“. Autor podkreśla wielkie zasługi społeczeństwa wokół zachowania kultury polskiej na kresach południowo-wschodnich.

W grupie artykułów poświęconych organizacji nauki zagranicą prof. A. P. Coleman z Columbia University w New Yorku pisze o nowych kierunkach w nauczaniu w Stanach Zjedn. A. P., będących reakcją na dotychczasowe zbyt praktyczne nastawienie kultury amer., J. Tomcsányi podaje nowe wiadomości o nauce węgierskiej, H. Batowski — o nauce czesko-słowackiej i jugosłowiańskiej, M. Bogucki zaś oświetla zagadnienie samodzielnych instytutów badawczych na tle stosunków niemieckich. Widzimy tam, jak instytuty badawcze, założone przez państwo czy też przedsiębiorstwa przemysłowe, zrazu dla celów wyłącznie praktycznych, czasem poświęcają się przedewszystkiem rozwiązywaniu zagadnień teoretycznych. Z drugiej strony pewne uprzedzenie, jakie cechowało początkowo stosunek uniwersytetów do sa-

modzielnych instytutów, ustępuje miejsca wzajemnemu porozumieniu i współpracy. — Praca prof. U. Poznańskiego E. Frankowskiego przedstawia przeszłość i stan obecny organizacji nauki w Hiszpanji. Hiszpanja po złotym wieku rozwoju trzydziestu dwóch uniwersytetów swoich, przeżywa począwszy od wieku XVII głęboki upadek kultury naukowej, trwający niemal do końca wieku ubiegłego, gdy rozpoczął się silny prąd reformatorski doprowadzający współczesną naukę hiszpańską do odrodzenia i bujnego rozkwitu. Horoskopami co do losów nauki po ostatnim przewrocie republikańskim kończy prof. Frankowski swą interesującą pracę.

Dalej następuje kronika polska i obfita zagraniczna. Mamy tutaj obok głosów prasy naukowej o roli nauki w życiu społecznym, charakterystykę szeregu instytucyj naukowo-organizacyjnych zagranicą. Instytucje te, będące poniekąd odpowiednikiem Kasy im. Mianowskiego, dzięki poparciu społeczeństwa i rządów rozporządzają, jak widać ze sprawozdań podanych w „Nauce“, wielkimi funduszami i, prowadząc planową politykę popierania nauki, wywierają potężny wpływ na rozwój badań naukowych zarówno w dziedzinach, mających bezpośredni wpływ na rozwój gospodarczy kraju, jak i w dziedzinie nauki czystej, która jest źródłem istotnej wielkości narodów.

Tom XIV „Nauki“ ukazuje się w chwili ciężkiego przesilenia ekonomicznego, które dotknąć może najboleśniej naukę z uwagi na niedostateczne uświadomienie szerszego ogółu, czem jest dla nas kultura naukowa, pomimo, że tak niewiele obciąża ona budżety w stosunku do innych wydatków. Zagranicą ustaliła się zasada, że im większe trudności ekonomiczne, tem troskliwsza winna być opieka nad nauką. Może informacje zawarte w tym i poprzednich tomach „Nauki“ przyczynią się do akcji ratowniczej w społeczeństwie na

rzecz zagrożonej nauki, którą tak dzielnie umiano ratować zagranicą (n. p. w Niemczech) w okresie wojny i po wojnie, gdzie przecież zaniedbania naukowe nie są tak wielkie jak u nas!... Publicyści znajdują w

tomach „Nauki“ obfity materiał do artykułów, mających na celu budzenie czujności społeczeństwa przed grożącym dziś niebezpieczeństwem...

MATERJAŁY.

KSIĘSTWA CIESZYŃSKIEGO.

powieści, osobliwości, lud i jego obyczaje, śpiewy i t. p. Zebrał Robert Zanibal. Zesztyt VI.¹⁾

Pogrzeb.

Przed pogrzebem zbierają się sąsiedzi i krewni do domu smutku, gdzie pomiędzy śpiewami częstują się wódką, chlebem i serem, z szafranicą namieszanym. Gdy śpiewak odprosi w imieniu zmarłego, wynoszą trupa z domu, przyczem utką trzykroć trumną o próg drzwi domowych. Młody gospodarz lub mniemany następca idzie wtenczas do pszczelnika i tuka na ule, żeby im dać znać, że nie osiero-

ciały. Mężczyźni idą przed, a kobiety za trumną. Po pogrzebie zwykle płacz u Moska. Z wyjątkiem tukania trumną i tukania o ule, reszta, t. j. hulanki, ustawają.

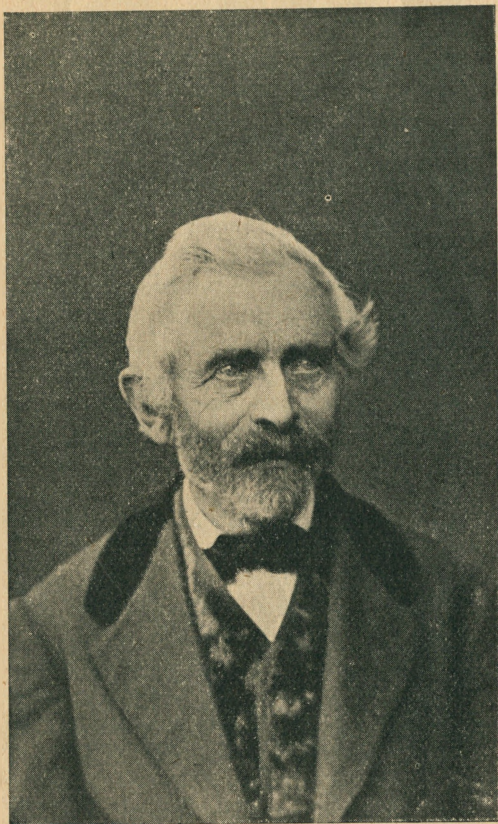
Chrzcziny i wywód.

Przy chrzcinach bywa w Księstwie Cieszyńskim częściej, a to większą częścią w górach, więcej kumosi. Kumości zwykle są ubrane w duże białe chustki na głowie, tak zwane draki, a kumoś nie śmie się stawić bez płaszcza. Po chrzcie idą do arendy, gdzie zwykle buchетки z serem jedzą, przy bogatszych wino, przy chudobniejszych, na koszt kumosi, wód-

¹⁾ O Robercie Zanibalu i jego działalności nauczycielskiej oraz literackiej wspomina Jan Kubisz w „Pamiętniku starego nauczyciela“ na str. 18, oraz wydawca niniejszego w wiadomościach o piewcach Ondraszka, drukowanych w „Polsce Zachodniej“ z dnia 9 lutego 1930 r. — Prócz podań o Ondraszku, zebranych w Janowicach, złożonych w powieść i ogłoszonych w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ (1872, 18—32), zbierał Zanibal i inne materiały ludoznawcze. To, co niniejszem z rękopisu ogłaszamy, jest częścią obszerniejszego zbioru pod powyższym tytułem, którego niestety tylko zeszyt szósty, zawierający opis niektórych zwyczajów ludowych, udało się nam odszukać. Znajdował się on w rozproszonym po bibliotekach cieszyńskich zbiorze rzeczy śląskich dra Andrzeja Cinciały, nazwanym „silesiaca“. Z odnalezionej części rękopisu Zanibala, obejmującej 36 stron wielkości ćwiartki arkusza, opuszczamy na razie rozdział, zatytułowany „Gody“. Nie opisuje w nim Zanibal żadnych wierzeń czy zwy-

czajów, związanych z świętami Bożego Narodzenia, lecz pisze tylko, że (z domyślnem ludzie) „chodzą z szopkom jak następuje“ i przytacza „Pastoralkę na Boże narodzenie“, złożoną z dziewięciu scen. „Pastoralka“ zajmuje w rękopisie strony 9—30. W tekście jej jest kilka pieśni, z których jednak nie wszystkie zaopatrzone są w nuty. Niektóre pieśni zaznaczył tylko Zanibal i pozostawił w rękopisie wolne miejsce na wpisanie słów i melodyj. Inne rozdziały umieszczamy wiernie za tekstem rękopisu, zmieniając tylko w niektórych miejscach pisownię dawną na obecnie obowiązującą. Bliższej okolicy, z której owe materiały pochodzą, Zanibal w rękopisie swym nie oznaczył. Z tekstu jednak wynika, że pochodzą one z okolic Janowic, gdzie Zanibal w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia był nauczycielem. — „Pastoralka na Boże narodzenie“, umieszczona między „Dożką“ a „Pragnostyką“, znajdzie pomieszczenie w jednym z następnych zeszytów „Zarania“. **Ludwik Brożek.**

kę piją. Buchetki te są szczególnego kształtu i ile razy nadzwyczaj duże, albowiem i przez pół sążnia długie. Ile par kumosi, tyle też buchetek. Ile razy przybywają i nocną porą z chrzcin, lecz rzadka bez iluminacji. Mnóstwo kumosi i tychże draki i płaszczce, jako też hulanki ustawają, lecz buchetki zostaną. — Do



Ze zbiorów ks. J. Londzina.

16. ROBERT ZANIBAL,

nauczyciel w Janowicach koło Frydku, zbieracz materiałów ludoznawczych i pisarz ludowy. Napisał między innymi „Ondraszka“ i „Hrabiego Prażmę czyli założenie kościółka na górze Praszycce“. W zbiorach ks. J. Londzina znajduje się nadto rękopis powieści, napisanej w r. 1870 p. t. Panek czyli kochanek i rywal, prawdziwe zdarzenie z pod Łysej Góry z pierwszej połowy ubiegłego wieku.

wyvodu przybywają nietylko kumośki, lecz też i sąsiadki i potemże znów udają się do Moska. I ten obyczaj ustawa.

Narzeczenie.

Gdy się młodzi z sobą rozeznaną i społem porozumią, wysyła młodzian ojca lub opiekuna na wywiady do rodziny kochanki; wreszcie ustanawiają wieczorek na umowę. Po drodze do kochanki zakupuje młodzian butelkę likieru, którą chowa do płaszczca. Po przybyciu oddala się kochanka ze stacji, a po przywitaniu siadają ojciec kochanki za stół, przybywszy obok stołu, matka zaś dziewczyny krząta się zwykle około pieca, gdzie zwykle pieczeń w trąbie i t. d. Rozpoczyna się pogadanka o pogodzie, polityce miejscowej, aż wreszcie przyszły starosta rozpoczyna mówić o Adamie w raju i Ewie i t. d., aż wreszcie wygada się na to, że jego towarzysz coś podobnego szuka i myśli, że ojcowie Marysi lub Zuski go chętnie za synowca przyjmą. Po różnych korowodach ze strony ojca, odzywa się i matka, że córka jeszcze za młoda i t. p., aż wreszcie zdecydują się na to, żeby było potrzebne się córki popytać. Mama woła córkę, która wstyd udawając, kręci się około drzwi, aż ją ojciec do stołu zawoła. Tu rozpoczyna się spowiedź i gdy ze strony dziewczyny usłyszy się cichutkie „chcę go“, bierze ją starosta za rękę i posuwa kochanka wraz z nią za stół. Młodzień wydobycie butelkę i częstuje, matka nakrywa stół i stawia potrawy. Rozpoczyna się często żywa gawęda z różnymi dowcipami. Podczas zabawy daje kochanek narzeczonej srebrne pieniądze do fortucha, jako na zakupno wianka. Podczas ogłoszeń nie wolno młodzianom być w kościele.

Wesele.

Dzień lub dwa przed weselem roznasza niewiasta kołacze do na wesele proszonych gości. Goście znów nawzajem

odsylają czy to worek mąki, czy cielę i t. p. Wieczór przed weselem zbierają się przyjaciółki niewiasty, żeby jej, jeżeli potrzebne, być w urzędaniu lub przy strojach pomocą. W sam dzień weselowy zbierają się goście ze strony młodziana w domu jego rodziców, oraz i druźbowie i muzycy; zaś goście rodziny ze strony niewiasty u niej. Gdy się goście zebrali, daje się śniadanie, po którym ruszą goście młodziana z muzyką na czele po niewiastę. Niewiasta ubiera się tymczasem w kumorzę, gdzie jej drużki pomagają. Gdy się kompanja młodego pana do domu zbliża, zawiera starosta ze strony niewiasty drzwi i tu się rozpoczyna żywa debata pomiędzy starostami. „Co to za ludzie? — po co przychodzą?“ i t. d., aż wreszcie ich do domu wpuszczą. Przybywszy do stancji, żądają niewiasty. Starosta po długim szukaniu przykludzi starą kobietę, a gdy tej nie przyjmą, młodą dziewczynkę, z którąby się zgodzili, żeby trochę była starsza, nareszcie przybywa na rękę starosty niewiasta. Starostowie z obu stron trzymają mowy, a wreszcie nastąpi pożegnanie rodziców i wyjazd do kościoła. Przy ślubie opiera się niewiasta silno do narzeczonego, żeby go zmusić do pomknienia się. (Mówią, że jeżeli się żenich pomknie, że podlega w małżeństwie pantoflu małżonki swojej.) Po ślubie prosto droga do arendy, gdzie muzycy młode państwo już przed drzwiami marszem witają. Wieczorem idą do stołu, gdzie na progu podaje się młodemu państwu chleb do krania i sól.

Zwykle na drugie dzień zpołudnia następuje **c z e p i e n i e**. Małżonki ubierają się do tego aktu jak najwspanialej, bierzą młodą pani do komory, jeżeli ją im nie ukradziono przez mężczyzny, wtenczas muszą ją wyplacić; bierzą kapelusz młodego pana i do niego składają wianek i zamiast niego dadzą młodej pani czepek; wianek z kapeluszem oddają młodemu panu. Po czepieniu udają się znów do arendy, gdzie tańczą **b i a ł e g o**. Przy

obiedzie przed czepieniem wybiera starosta na czepek, a wreszcie przychodzi i kuchmistrzyna, trzaska garnek napośród stancji, ukazuje popalone i sparzone palce i prosi o datek na maść lub na popalony fartuch.

W następną niedzielę zbierają się weselnicy znów w domu weselnym na ucztę; do tegoż to czasu młoda pani nie śmie rodziców swoich odwiedzić.

Nowy Rok.

Po nowym roku, gdy służący na nową służbę przybywają, sypią im popiół na nogi, żeby wytrzymali w służbie. Po trzech Królach chodzą: ksiądz, organista, kościelny i ministranci po kolendzie, śpiewając kolendy i pisząc kredą święconą C † M † B † rok, na drzwi.

Wielki tydzień.

Na zielony czwartek zbierają gospodynie młode pokrzywy, bluszcz i t. d. do polewki pośnej, jako pierwsze wiosenne zioła. W wielki piątek wczesną idą się myć do rzeki, konie pławią i ocinają im grzywy, kuciki i ogon. W wielką sobotę robią z upalonych palmów krzyżyki i wsadzają je w pole.

Wielkanoc.

W drugie i trzecie święto śmigrust, rozdawanie malowanych jaj śmigrustnikom. Chodzą także z ustrojoną chojką pod okna śpiewać, życząc w tych śpiewkach każdemu z mieszkańców domu z osobna; kończą każde życzenie słowy: „Goiczek zielony, pięknie ustrojony“, a ruszając chojką, odzywa się dzwonek na wierzchu umieszczony. — W wieczór przed św. Janem Chrzcicielem palą w okolicy Frydłku ognie na szczytach gór i pagórkach, rzucają w powietrze palące się miotły i t. p. Po całym Księstwie stroją ścianę nad głównymi drzwiami do pomieszczenia, chlewa, masztali i t. p. Dziew-

czynny sterkają za strzechę tłusty mąż²⁾ na znak, jeżeli pójdą w tym roku zamąż.

Zielone świątki.

Od Wniebowstąpienia aż do świąt kradną parobcy jaja, które w drugie święto gdzie w lesie zesmażą na jajecznicę i w kompanji zjedzą. Sobótki się nie palą.

Kiermasz.

Pamiętka poświęcenia kościoła. Wywieszają chorągiew z wieży kościoła, muzyka wygrywa wieczór przed kiermaszem na wieży, wystrzały z moździerzy, a wieczór zwykle taniec.

Adwent.

Jeżeli kto zacznie w dzień św. Łucji robić krzesło i każdodziennie coś na niem postrugnie, tak że je w wigilje ukończy, zobaczy wszystkie czarownice za ołtarzem w kościele, jeżeli na tem krześle podczas jutrzni usiedzie w środku kościoła. — W pierwszą niedzielę adwentu posyłają masarze swoim kuntmanom zapieczone kielbasy. — W *s z c z o d r y* d z i e ń (23 grudnia) częstują kupcy swoich kuntmanów wódką, żeby im na rok przyszyli wierni zostali.

Dożęka.

Gdy żeńcy jadą z ostatnią furą zboża do domu, czynią to uroczyście. Dziewczyny uwiną ze zboża różnego gatunku i kwiatów wianek, niosą go na grabiach naprzód, za nimi postępują niewiasty z sierpami i mężczyźni z kosami, za temiż wóz. Śpiewając nabożne pieśni postępują wolnym krokiem ku domowi. Gospodarz z gospodynią przedejdą ich w progu, gdzie dziewczyny wianek z życzeniami oddają, za co im gospodarze sutą kolację i taniec urządzają.

²⁾ Roślina, rosnąca na kamienistym gruncie, z tłustemi liśćmi (rojownik, *Sempervivum soboliferum* Sims.).

Pragnostyka ludowa na cały rok.

Styczeń. Dni od Bożego Narodzenia aż do święta Trzech Króli znaczą w pragnostyce ludowej każdy jeden miesiąc roku następnego. Jaki czas w różnych porach dnia, takie powietrze w miesiącu, który znaczą.

Dzień nawrócenia św. Pawła, dnia 31 stycznia, znaczy czyste powietrze, rok obfity. Mgła, liczną śmierć. Gdy na ten dzień pada śnieg lub deszcz, to nastąpi drogota; jak wiatr, to wojna lub powstania.

Luty. Na Gromnice powinni mieć gospodarze jeszcze połowę stawy zimowej. Jeżeli Gromnice piękne, to połowę zimy upłynęło, zaś deszczywe lub śnieg, znaczy jej koniec.

Ostatki czyli koniec karnawału. Gdy czas w ostatki piękny, mówią, że się wczesne pszenice i żyta urodzą.

Dnia 22, w dzień Stolicy św. Piotra, jeżeli w nocy węcha, węcha 40 nocy. Zaś jeżeli w tej nocy zmarznie, mrozy przestaną.

Dnia 24, dzień św. Macieja. Znajdzie lód, to go łamie, nie znajdzie, to go sieje.

Marzec. Jeżeli w marcu orzesz, w kwietniu spocznie. Wiele razy mgła w marcu, tyle w roku powodzi. Wiele razy rosa w marcu, tyle razy w sierpniu mgły.

Zwiastowanie N. P. M. Jeżeli przed zejściem słońca gwiazdy bystro świecą a powietrze jest czyste, wtedy z pewnością rok dobry.

Jeżeli w wielki tydzień śnieg węcha, będzie biała lub lodowata Wielkanoc.

W wielki piątek deszcz, znaczy obfite urody.

Wielkanocna niedziela deszczywa ciągnie za sobą większą część deszczywych niedziel pomiędzy Wielkanocą i Zielonemi świątkami i bywa mało siana.

Jaka środa popielcowa, taka wiosna. Jaki czwartek po popielcu, takie lato

Jaki piątek po popielcu, taka jesień.
Jaka sobota po popielcu, taka zima.

Kwiecień. Grzmotny kwiecień, łatwe mrozy.

W dzień św. Jerzygo (24 kwietnia) powinna się wrona ukryć w zbożu.

Maj. Maj deszczywy i chłodny, to rok obfity.

Deszcz w niedzielę Zielonych Świątek przynosi różne trapienia.

Czerwiec. Dnia 8 (św. Medarda), jeżeli padze, znaczy to po sobie następujących 40 deszczy. To same mówią o dniu św. Jana Chrzciciela.

Od dnia ŚŚ. Piotra i Pawła zdrzeje zboże we dnie w nocy.

Lipiec. Jeżeli 2-go (Nawiedzenie P. M.) padze, padze dni 40.

Dnia 4 (św. Prokopa) zmoknie mądel i kopa.

Sierpień. Na Wawrzyńca (10. t. m.) czas piękny i ciepły daje obficie wina.

W Wniebowzięcie P. M. (15. t. m.) to same co na Wawrzyńca

Jaki czas w dzień 24, Bartłomieja, taka jesień.

Dnia 29 t. m., Ścięcie św. Jana. Co się w ten dzień toporem natnie, usycha.

Wrzesień. W dzień św. Macieja (d. 21 t. m.) czas pogodny, znaczy piękne urody na rok przyszły.

Wiele mrozów przed Michałem (29 t. m.), tyle po Filipie i Jakóbie. Grzmoty około św. Michała znaczą wiatry.

Październik. Na dzień 28, Szymona i Judy, zima ista.

Dnie od napadnięcia pierwszego śniega aż do przeszłej ćwierci, znaczą śniegi bieżącej zimy. Dnie od spadnięcia pierwszego śniega do przyszłej ćwierci, znaczą śniegi przyszłej zimy.

Jeżeli się żołądzie i bukewica urodzą, ma nastąpić silna i długa zima.

Listopad. Pada liści ciężko z drzew, to będzie silna zima.

Na św. Marcina zabijają gęś i na jej kości piersiowej poznawają śniegi następującej zimy.

Grudzień. Dnie od Łucji do Gód, znaczą powietrze przyszłych 12 miesięcy roku przyszłego.

Gdy Boże Narodzenie padnie do czasu wzrostania księżycy, znaczy to dobry rok.

Zielone Gody, biała Wielkanoc. Grzmot w grudniu znaczy wiele wiatru na rok przyszły. Wiatr w Gody, przynosi obfite owoce.

*

O siewie. Żyto zimowe siej cztery, najpóźniej trzy tygodnie przed św. Michałem. Jęczmień i owies około dnia św. Benedykta. Kapustę sadź w św. Urbana. Siej rzepę na św. Kilina, groch na św. Grzegorza, kiel na ŚŚ. Filipa Jakóba.

Wychód słońca. Jeżeli Łysa Góra ma zrana czapkę, pewny deszcz w dniu bieżącym. Na niebie wychodnim obłoki ciemne wróżą na deszcz i burzę w przeciągu bieżącego dnia. Znajdują się na niebie rannem czarne obłoki, przyjdzie silny wiatr północny.

Przez dzień. Jeżeli słońce okropnie pali, rado padze.

Zachód słońca. Gdy słońce za mrok zachodzi, znaczy to deszcz w nocy lub wczesnie rano. Ranny deszcz, babski płacz. Niebo przy zachodzie czerwone, znaczy wiatr na przyszły dzień.

Ryby i raki. W stawach, gdy ryby na powierzchni wody pływają a raki na trzcinę leżą, znaczy to pewny deszcz i wiatr.

Szczupak. Znaczy to silną zimę, jeżeli wątroba u szczupaków jest u głowy szeroka i do ogona się ścięsza.

Wrony. Lecą wrony po gromadzie, będzie piękny czas, zaś przeciwnie.

Drób domowy. Jeżeli pszczoły nie wylatują, kaczki skrzydłami biją, kaczki dzikie odlatują, gąski jednym krzyczą głosem a czarny dobytek się w błocie wala, niechybny za czas niedługi deszcz. Jeżeli się kury w wodzie lub piasku kąpią, kurczęta wiele krzyczą, lub wrony się norzą, to niedaleko deszcz.

Nów księżyc. Księżyc nowy, jeżeli światło jego jest białe, to czas piękny; światło czerwone, wiatr; blade, to deszcz.

Gdy rogi nowego księżycy są ómawe, to w czwerci tej jest deszcz i też jeżeli księżyc jest w kole.

Rosa. Ranna rosa, piękny dzień — rosa wieczór, mokre jutro.

TROCHEŃ O NAZWACH.

Girowa. O nazwie góry Girowej jest dużo tłumaczeń. Jedni nazwę tę chcą wywodzić od wołoskiego słowa „geroes“, t. z. bohaterzy albo zbóje, i stąd nazwa niemiecka, spotykana na dawnych mapach „Räuberberg“¹⁾, inni twierdzą, że dawny właściciel nazywał się Girow, stąd na pytanie, czyja to góra, odpowiadano: Girowa. Ale poco szukać tak daleko, kiedy mamy nazwę: „Jura“, pisaną szwabachą i po morawsku „Gira“. Stąd nazwa Jurowa²⁾ góra, czy łąka. Nie jest to dowód może, że kraina nasza jest morawską, bo dawniej wszystko pisano szwabachą i po morawsku, gdyż nasza kraina była politycznie ściśle złączona z gubernjum morawskiem, a że pomimo tak walnego wpływu zachowała swoją mowę, znak to, że była polską. Później po zaprowadzeniu liter łacińskich zachowano pisownię szwabaską i zamiast „Jirowa“ (góra), wymawiano „Girowa“.

¹⁾ Girowa — czytaj Girowa.

Kubalonka. I o tej nazwie dużo się mówi. Najśmieszniejszym wydaje się tłumaczenie, czy przekręcanie, zamiast Kubalonka, Kobyłonka, bo pono na górze tej miał być postój żołnierzy i stąd dużo nawozu końskiego pozostawało, które lud nazywa pospolicie „kobylińcami“. Znane jest podanie o Kubie, rozbójniku, który na tej górze miał swoją „ławkę“, t. j. wysadę, chatę i „obejście“ i dlatego górę tę nazywał lud Kuby-łąką, a ponieważ w pisowni szwabaskiej brak „l“, zastąpiono je przez „ll“, brak także „a“, zastąpiono je przez „on“ i stąd według szwabskiej pisowni: „Kubylonka“, co z czasem przez asymilację, czy z powodu niedopatrzania jakiegoś Niemca, który wykreślał mapę, zostało zamienione na Kubalonka. Lud jeszcze o wysadniku „Kubie“ i jego „łące“ na dzisiejszej Kubalonce wspomina.

Ks. E. m. G r i m.

Rzut oka na właściwości narzecza istebniańskiego czy jabłonkowskiego. Dziwi się każdy, kto przestąpi Kubalonkę i słyszy wymowę górali istebniańskich, którzy mają swoje własne miękczenia i twarżnienia wymowy, n. p. nie mówią kościół, tylko koszczół, nie mówić, tylko mówicz, nie książka, tylko ksążka, nie kasztan, tylko kaştan, nie kołacz, tylko kołać, wzgl. koloć, nie mówią rector, jak w innych okolicach, tylko rectorz, nie farorz, tylko faror, nie tchorz, tylko tchór. Trzy zdaje się są tego przyczyny: wymowa słowacka i pisownia madziarska, bo podobnie na pograniczu wymawiają i Jabłonkowie, i wreszcie pisownia szwabaska. Pisownia szwabaska nie zna ś, więc zastępowała je przez ss, co według pisowni madziarskiej wymawia się sz, n. p. Jezusie pisano po szwabasku, a lud wymawiał Jezusze, gdyż początkowo uczyli nasz lud niewyszkoleni nauczy-

²⁾ Podanie głosi, że na Girowej mieszkał po wydaniu Ondraszka Jurasz i może od niego, „Jurzy“, nazwy Girowej.

ciele, ale wysłużeni żołnierze, którzy polizali coś niemieckiego i węgierskiego i stąd mieszały wszystko razem, a czytania uczyli według szwabachy, którą źle wpaiano w lud. Że i madziarski język pozostawił swoje ślady, widać n. p. ze słowa Waszut, które madziarzy piszą, jak je lud nasz wymawia, ale wymawiają miękko wasut, stąd n. p. zaraz za zagranicą małopolską nasi Waszutowie nazywają się Wasjutami i tak są w metrykach zapisani. Zaś szwabskie sz, pisane sch, wymawiał lud nasz jako s, bo przydech ch zanikał, albo wymawiał miękko ś, n. p. szafa wymawiał śafa. Nadto sąsiedztwo z ludnością okręgu kisuckiego, która jest wprawdzie polską, ale ma naleciałości słowackie w swej wymowie, stosunki przemysłowe, utrzymywane z nią za dawnej węgierskiej granicy, pozostawiły ślady wymowy, np. zamiast używanego farorz, górale mówią faror, jak ludność kisucka, zamiast rehtór, rehtórz, zamiast aptekor, aptekor i t. d.

Że na innych połaciach ziemi cieszyńskiej nie widzimy tej dziwnej wymowy, tłumaczy się tem, że nie sąsiadowały one bezpośrednio z pływami słowackimi i madziarskimi, jak ludność istebniańsko-jabłonkowska, mieli już dawniej wyszkolonych nauczycieli, którzy dobrze wymawiali szwabachę, a nie jak w górskich stronach, gdzie nauczycielami byli początkowo wysłużeni żołnierze, którzy po swojemu uczyli czytać i pisać i stąd wpływ ich wszedł w mózg i kości ludności. Dziś pomimo najróżnorodniejszych środków, stosowanych przez szkołę, nie da się tego usunąć.

Może w tej sprawie zabiorą głos najwłaściwsi, do tego powołani, miejscowi.

Ks. E. m. Grim.

Jerzy Probosz.

BIYDNO WILIJA.

Pod samuczkom Gańczorkom jest niewielko rowiynka, nazywo sie Koszarzisko. Han pyrwej przed rokami jeszcze, dy mieli usnobiczanie sałas, to tu wdycki stoł koszor i kolyba, poniżi zasz na stowaniskach było solisko. Jak sałas panno wie odebrali, to potym Paweł z Kliszówki wychandlowoł z panami Koszarzisko za Tyniok, bo w Tynioku zym była za słóncym a Koszarzisko zaś było wygnojone i w słoneczku a zymeczka usz jyny tako czorniuczko i miałko a urodzajno, że uowies abo krzica wdycki były w pasziycce sfalone. Wystawił se Paweł chałupkym niewielkom i przekludził sie s Tynioka na Koszarzisko. Kajždy rok wyrobił kójsek nowoczi, alie też i Pónbóczek mu przyczyniali kajždy rok o jednóm gymbyem ku misce. Paweł robił we dnie i w nocy, coby móg wyziwicz swoje siedmioro dzieczich. Przez dziyń jakoż w polu, a jakoż w lesie przy wyrobianiu drzewa wdycki był pyrszi. W nocy zaś wachowacz musiał pola swojego przed sarniokami, bo uasada jego cało była dokoła w lesie, toteż sarny i zajonce by mu wszecko z pola zjadły, dyby se nie oganiol. Toteż kajżdom noc musiol pora razy sfoje polie uobyjszcz z dziurawym patykym i kiery sornik usz był tak strasznie uwziynty na jego uowies, to szusnoł po nim szekańcami, aż sie kopyrtnoł i jyny zwirygoł nogami. Na jor wdycki szeł Paweł na płow. Póniżi pod Koszarziskym był stow, to wdycki na jor, jak śniegu na Gańczorce przetowały i wody i wielki sie walily z gronich, to ferszer nazganiol chłopów i wszecki trómy i szajty pofchybowali do wody. Pora chłopów zaś wdycki szło z nosyngami aż do Cieszina na książyńcom gacz i kany sie robiły zostawy, to rozszaryzowali guńty i trómy. Była to szkaredno robota, bo do obuwie namokło i toteż roz Paweł sie zażómbił, bo tesz tam nie był z chlawnego

kustu i chyciła sie go krzipota. Krzipoł całóm jor, zdało sie, że mu to na lato ustanie, ale cobyś tam w lecie jeszcze gorszi Paweł coroz barzi uobiydniowoł, robicz nimóg i jakosi koło swiyntego Michała posłoł babym do nieboga Grańki na lyki. Grańka powiedzieli, że Paweł mo lojzok. Przez zimym usz Paweł leżoł w łózk, krzipoł coroz miyni, jyny schnoł każdy dziyń barzi. Przychodziła wilija, dzieci sie radowały, po inszi roki to wdycki tata z Cieszina prziniyszli jabłek, cukierków, uoplatków, uorzechów — hej było też to radości. Latoś zaś mama jyny popłakowali, a było czymu miły Boże! Dyc ani kapusty słodkij nie było zczego uwarzicz, bo nieszczasne sarniska w jesiyni wszeckóm kapustym zeżrały. We wiliym wdycki tata biylili piec i sprawowali nolepym, a latoś tata ani głowy usz dźwignócz nimogóm. Jednak mama zabrali sie do wyprawy pieca, uobiylili go na nolepym, przilożili nowóm skrzizol, zamazali glinóm, no i ku wieczoru słożili uogiyń. A że zima była doszcz uostro, toż dzieci firecki posiadały na nolepi koło uognia. Mama postawili na uogiyń rynek i wsuli pore zymnioczków do niego. Dzieci głodne, bo na rano jyny kapkym mlyka dostały, toteż zazyrały co chwila, skoro zymnioki sie uwarzóm. Nejmłodszi Kubek tesz w kolybce poczón płakacz. Mama poszli krowym podojć do chlywa, a Francek nejstarsi przikłodoł bukowe kłopcze pod rynek, coby sie pryndzy doczkacz wieczere. Jednym razym skrzizol na nolepi sie rozchycowała i bęc! Rzło rynekym do kotła, — rozbił sie i dzieci wszecki, uobgichło warzónóm wodóm i azie do kolybki szkorzupy gruchły z rynika. Paweł w zlynku porwoł sie z łózka, alie sfalił sie na zym i krew sie mu z pierzych szcurkym puszczila. Dzieci wylinkane za chwily zrobiły krzik i macz wpadli do jizby. Straszny tu był widok: Paweł ostatni roz wydychoł na zymy, ledwo przeledwo go z Franckym dali do łózka, alie usz utropiono dusziczka jego

poszła na wiliym tam, kany smutku ni-masz ani boleszczich. Dzieci zasz wszecki plakały chroźnie, bo nie jyny głodne, alie poparżone gorkóm wodóm z rynika i potłoczóno szkorzupami i kójskami skrzizale. Bo skrzizol była gynstego jón-dra i jak sie rozgrzoła, toż potym w ogniu rypla. I miasto radoszczi płacz panowoł w noc szwyntóm w chałupce na Koszarzisku, bo jedyny žiwiciel mortwy a wieczera po zymy rosuto, chociaż jyny to same były zymnioczki a tu gębów siedym głodnych w szwynto godowe... a tam daleko w okół stajenki betlymski zlatujóm sie aniołowie i spiywajom: Chwała na wysokoszczi Bogu.

ZWYCZAJE WESELNE.

Do najoryginalniejszych zwyczajów w naszych trzech wioskach śląskich Beskidów (Istebna, Jaworzynka, Koniaków), należą uroczystości weselne; należą do nich: s n y m b y (zaręczyny), w y w o d z i n y (przyjście po młoduchę) i c z e p i n y (wieczorem zdjęcie wianka a włożenie czepka).

Z pomiędzy wymienionych najpiękniejsze są

WYWODZINY.

Goście schodzą się tak w domu młodego, jak i młoduchy. Muzyka, zabrawszy družbę, idzie do młodego, skąd razem z jego gośćmi jadą przed dom młoduchy, gdzie znajdują drzwi pozapierane. Muzyka gra przed drzwiami pieśń nabożną, zwykle „Pochwalon bądź Pan Jezus“. Potem starosta weselny wali pięścią w drzwi i mówi, że czas wstawać, bo słońeczko już wysoko, zaś goście śpiewają:

Pocóście tu zapierali,
Gdyżcie się nas pozdowali;
Zaprzyliście grubym kołym,
Zostańcie tu z Panem Bogym.

I znowu z poza drzwi odpowiadają:

Pocóście tu przyszli
Istebnianie pyszni;

Niemasz tu Marynki,
 Podług waszi myśli.
 Jedna tutaj żyła,
 Taby dla was była;
 Ale jeszcze wczora
 Poszła do klosztoru.

Starosta burzy ponownie i mówi:

„Hej, odłóżcie tam zapory, jadą do-
 brzy ludzie z jarmaku!“ a zgłębi sieni od-
 powiadają: „Kto zaś tam wie, coście za
 jedni! z jakiego tam kraju! może jacy
 światowcy, ze Słowiok, albo nawet i zbój-
 nicy...“

A starosta znowu: „Odeprzycie! ode-
 przycie! Tułacze my nieszczęśliwi. Idzie
 z poza groni straszna burza; leci okrutny
 wiaterek a ma skrzydła na dwie mile... tłuc-
 ze się po lasach chachaica... odeprzycie
 dobrzy ludzie...“, a z sieni śpiewem od-
 powiadają:

Odewrzycie dzwyrze,
 Wpuście ich do syjni,
 Tylko dejcie pozor,
 Coby co nie wżyni.

Czasem owe dogadywanie trwa do-
 syć długo, przybyli muszą pokazać przez
 szparę jakieś papiery, poczem wpuści się
 ich do sieni, następuje przywitanie, wej-
 ście do izby i wzajemne częstowanie się
 z butelek.

Potem starosta młoduchy (która tym-
 czasem jest ukryta z družką i „piórkiem“
 w komorze), pyta się, czego chcą i poci-
 tu przyszli. Następują długie dogadywa-
 nia, czasem kupuje się jagnięta i owce, in-
 nym razem szuka się piórka, zgubionego
 przez jakiegoś ptaszka; zależy od wymo-
 wy starostów. Starosta młoduchy idzie do
 komory i przyprowadza „piórko“, t. j.
 małą dziewczynkę, którą się przyjmuje,
 lecz mówi, że to jeszcze małe jagnię lub
 młody ptaszek, którego kupią, jak po
 drugi raz przyjdą. Idzie potem starosta
 po družkę, podczas czego muzyka gra:
 „Pojedziemy na łów“. Przyprowadzona
 družka wita wierszem gości i prosi o „sz-
 kownego“ družbę; potem patrzają na wia-

nek i stawiają ją obok družby; już nastę-
 puje uciecha, lecz żąda się jeszcze dla
 drugiego młodzieńca podpory ku boku.
 Starosta przynosi na talerzu chustkę i
 kwiatek biały, który musi wykupić mło-
 dy złotą monetą, a zaś towarzyszkę mło-
 dej, zebrane w wielkiej liczbie, śpiewają:

Bieży woda z gronia,
 Z pomiędzy kamienia,
 Wysypej „Jurzyczku“
 Pieniążki z rzemienia.

Dodać należy, że dawniej młody do
 ślubu miał piękny rzemień (pas), złotem
 i srebrem wybijany. Następuje stosowna
 przemowa o owym znaku niewinności
 panińskiej, zwykle z porównaniem bi-
 blijnym, n. p. gałązką, przyniesioną przez
 gołębicę do arki Noego, jako znak, że do-
 rosłej wolno opuścić dom rodziców.

Nareszcie starosta idzie po młoduchę,
 muzyka gra: „Kto się w opiekę“. Ta płacze
 i staje u boku wybranego, zaś staro-
 stowie mówią o obowiązkach męża i żo-
 ny i proszą rodziców o błogosławieństwo.
 Młodzi kłękają na środku izby, rodzice
 kropią ich św. wodą i błogosławią.

Potem wszyscy siadają za stół, nastę-
 puje pierwsza uczta, przy której dopiero
 rozwiązują się języki, jeden drugiemu
 kradnie z misy, wyśmiewa się, o ile prę-
 dziej z której misy zjedzą, a jedzą ze spól-
 nej misy przy każdym stole. U bogatych
 zagrodników powinno być 12 potraw, bo
 było 12 apostołów, u uboższych 7, by
 na każdy dzień w tygodniu starczyło na
 inne danie, a kolejność potraw jest nastę-
 pująca: 1. brendza z chlebem, 2. masło
 roztopione z kałaczami („moczana“), 3.
 kapusta ustrojona mięsem wieprzowem,
 wędzonem, 4. bułki smażone na maśle
 (żymły), 5. bryja (owoce suszone rozgo-
 towane po zimnu z chlebem), 6. pieczeń
 barania ze śliwkami, 7. rosół z nudlami,
 8. mięso owięże z ogórką, 9. pieczeń (gę-
 si lub kury ew. cielęca), 10. kasza lub gry-
 zik, ew. nudle w maśle, 11. pajszle po
 kwaśnu (flaczki), 12. kawa z pączkami

lub babką. Co z misy zjeść nie można, zabiera się do chustki do domu, ewent. podaje ubogim dzieciom, pod stołem czekającym.

Po śniadaniu wszystko siada na fury przy śpiewie:

Jak ku ślubu pojedziemy,
Jakóż sobie grać każemy,
Czy na gajdach, czy na basie,
Użesz dziewczę, wiesz, nasze.

i wszystko jedzie do kościoła na ślub. Wieczorem po zabawie tanecznej w gospodzie (czakaczce) wraca się do domu młodego, gdzie najpierw odbywają się

CZEPINY.

Kobiety, weselniczki, biorą młoduchę do komory i śpiewają:

O pójże ty Marynko ma do tej komorki,
Tam mamy dla cię stołek gotowy,
Ty na nim będziesz siedzieć,
Głowiczkę będziesz trzymać,
A my będziemy wioneczek zimać.

Tam sadzają ją na dzieżę, rozplatają i śpiewają:

Pomalutku rozplatajcie,
Włoseczków jej nie targajcie,
Bo ją matka chesowała,
Włoseczków jej nie targala.

Teraz ty Marynko, teraz płacz,
Nie chciałaś mamulki posłuchać,
Wolałaś czepiczek bielony,
Jako ten wioneczek zielony.

O mirto, mirto, zielony wieniec,
Usz ci Marynko, usz ci je koniec,
Usz ci nastanie starość, robota
I będziesz miała dobrego chłopca.

Po zaczepieniu musi ją od kobiet młody „litrem słodkiej“ wykupić i publicznie pocałować, ona zaś rozdziela babkę między zebranych, poczem wszyscy idą do izby a tu następuje taniec „biały“ i „odbijany“ ze śpiewem: (kobiet)

O wyszyję, wyszyję,
Jurzyczkowi koszulę.
A tak mu ją zwysziwom,
Aże mu się spodobom.
(mężczyzn)

A czy jo jest pies pruski,
Kują dla mnie łańcuszki;
A czy jo jest poddany,
Kują dla mnie kajdany.

A kiedy każdy z „młodą babą“ owięzoka przetańczy, siadają znowu za stoły i jest obiad, podobny do śniadania. Potem jeszcze w chacie sąsiada tańczą do północy, a przy rozchodzie śpiewają:

A co to jest za wieszeli,
Dy go jeny dwa dni;
Dyby było sztyrzy tygodnie,
Byłoby to snadni.

Sęk.



KRONIKA.

Ś. p. Emeryk Chroboczek. Dnia 20 czerwca 1931 r. zmarł w Wiśle Małej ś. p. Emeryk Chroboczek, kierownik szkoły, nasz gorliwy współpracownik od początku istnienia „Zarania”. Ś. p. Em. Chroboczek pracował dawniej w Ustroniu i był znany jako tęgi i wszechstronny muzyk, oraz niezmiernie zbieracz pieśni i tańców ludowych śląskich. N. o. w p.!

O muzeum jabłonkowskim im. Adama Sikory. Nakładem „Kółka Eucharystycznego” w Jabłonkowie, założonego w r. 1908, wyszła mała broszurka (4-ka, str. 8), zatytułowana: „Pamiętka dziejowa kościoła parafjalnego w Jabłonkowie”, zawierająca szereg dat z dziejów Jabłonkowa, ułożonych chronologicznie, a odnoszących się przeważnie do dziejów tamtejszego kościoła katolickiego. Na drugiej stronie okładki umieszczono obrazek, przedstawiający stary kościół jabłonkowski przed przebudową, na trzeciej stronie wewnątrz owego kościoła, zaś na czwartej stronie okładki rzecz najciekawszą, mianowicie „Katalog rodzinnego Muzeum ś. p. Adama Sikory”, które „można zwiedzić każdodziennie, zgłaszając się w sklepie p. Sz.(czepana) Sikory”.

Adam Sikora¹⁾, „to nasz pieśniarz bełteński, to ten, w którego pieśniach

dziwnie rozkochał się lud góralski w całym powiecie jabłonkowskim. To ten, który w trzydziestu kilku kolędach wyśpiewał całe życie górali jabłonkowskich, całą przyrodę górską, co podpatrzył ludzi, podслуchał ptaszęta”. W „Pamiętce dziejowej” na str. 5 czytamy, że „w r. 1871 zmarł pierwszy poeta ludowy na Śląsku Cieszyńskim, który chociaż uczył się w szkole po morawsku, przecież pisał wiersze wcale udatne po polsku. Jest nim tkacz Adam Sikora, pisał „Pieśni nabożne”, które lud katolicki śpiewa w kościele. Adam Sikora urodził się w r. 1819.”

Rodzina „pieśniarza jabłonkowskiego” otacza wielką czcią pamięć swego głośnego przodka i skrzętnie, jakby zdawała sobie sprawę z wielkości Adama, przechowuje po nim wszelkie pamiątki. Kult głośnego przodka doczekał się swego sanktuarjum w postaci muzeum, które potrójną spełnia rolę: 1) gromadzi rzeczy, związane z postacią pierwszego poety ludowego na Śląsku, 2) gromadząc je, bierze pod uwagę jego miasto rodzinne, Jabłonków, i przyczynia się tem samem do stworzenia zbiorów, ilustrujących przeszłość tego miasta, oraz 3) staje się związkiem pierwszego muzeum polskiego po stronie czeskiej Śląska Cieszyńskiego²⁾.

Przeglądajmy katalog osobliwego muzeum. Znajdują się w niem następujące

¹⁾ Życiorys Adama Sikory, tkacza-poety z Jabłonkowa, napisany przez syna jego, Ludwika Sikorę, krawca w Jabłonkowie. „Zaranie Śląskie”, I (1907), str. 12—18.

Farnik Ernest, dr.: O poezji ludowej na Śląsku Cieszyńskim. Cieszyn, 1903. Str. 22—31.

E.(rnest) F.(arnik): Pieśniarz jabłonkowski. Wpomnienie w stuletnią rocznicę urodzin. „Gwiazdka Cieszyńska”, 1919, 106, 107.

Macoszek Antoni, ks.: Adam Sikora, tkacz-poeta z Jabłonkowa. „Gwiazdka Cieszyńska”, rocznik 45, str. 52, 62, 72.

²⁾ Redakcja „Zarania śląskiego” zwraca się do zainteresowanych osób z tamtej strony z uprzejmą prośbą o nadesłanie krótkiej bodaj notatki o stanie polskiego muzealnictwa po stronie czeskiej. Apel prof. Franciszka Kulisiwicza (Po wystawie cieszyńskiej, „Gazeta Kresowa”, 1926, 33), wzywający „do stworzenia własnymi siłami stałego muzeum śląskiego, któreby ilustrowało życie kulturalno-oświatowe naszej ludności polskiej na Śląsku czeskim,” nie pozostał zdaje się bez echa.

rzeczy³⁾: 1. Adama Sikory własnoręczne pisma z r. 1835 do 1869 (71). — 2. Adama Sikory wydawnictwa drukiem z r. 1863 do 1931 (80). — 3. Adama Sikory utwory po dotąd nie wydane (74). — 4. Akta różne z r. 1710 do r. 1851 (28). — 5. Akta różne z r. 1852 do r. 1899 (109). — 6. Biblioteka dzieł z r. 1719 do 1764 (43). — 7. Biblioteka dzieł polskich (489). — 8. Biblioteka dzieł niemieckich (164). — 9. Denkschrift an die Friedenskonferenz (1). — 10. Jabłonkowiec w stroju świątecznym, figura naturalnej wielkości. — 11. Jasełka i ogród Getzemany, figur (118). — 12. Kolekcja obrazów z r. 1756 do r. 1930 (38). — 13. Kolekcja obrazów pamiątkowych z Palestyny, Rzymu, Częstochowy i t. d. (189). — 14. Kolekcja odznaków różnych pamiątkowych (32). — 15. Kolekcja monet począwszy z r. 1754 i t. d. (28). — 16. Kolekcja banknotów starych od 10 gr. do 100 miliardów marek (50). — 17. Kronika miasta Jabłonkowa począwszy od jedynastego stulecia. — 18. Kronika kościoła parafialnego i klasztoru. — 19. Kronika grona amatorów Czytelni katolickiej. — 20. Relikwiarz z częstkami relikwii czterech św. męczenników. — 21. Stół, skrzynie w stylu starożytnym i dalsze domowe rzeczy. — 22. Sztandar zdobyty na brandyburskich rozbójnikach przez Jabłonkowiec w r. 1762.

L u d w i k B r o z e k.

Pierwszy Zjazd Neofilologów śląskich. Wśród nauczycielstwa szkół średnich na Śląsku egzystują trzy doskonale zorganizowane koła naukowe, obejmujące nauczycieli danego przedmiotu, t. j.

³⁾ Zestawienie niniejsze jest niezmiennym przedrukiem „Katalogu“, ogłoszonego na str. 4 okładki „Pamiętki dziejowej“. Liczby 1—22 są numeracją pozycji, zaś cyfry w nawiasach oznaczają ilość rzeczy w obrębie danej pozycji.

koło polonistów, koło historyków i koło filologów. Ostatnio dzięki inicjatywie sekcji neofilologicznej przy kole T. N. S. W. w Król. Hucie powstało także koło neofilologów śląskich. Zjazd organizacyjny odbył się dnia 8 listopada b. r. w Król. Hucie przy łaskawym współudziale prof. U. J. dra Romana Dyboskiego i prof. dr. Jakóbca, znakomitego dydaktyka języka niemieckiego. Do prezydium zjazdu powołano prof. Romana Dyboskiego jako przewodniczącego, poza tem p. wizytatora dr. Czernichowskiego, p. Rożnowskiego, prezesa Okręgu T. N. S. W., p. Wielebińskiego, prezesa koła T. N. S. W. w Król. Hucie oraz p. Mazurkównę. W niezwykle serdecznym przemówieniu witał prof. Dyboski zjazd, zwołany w ciągu odbywającego się „miesiąca Śląska“, podnosił wielkie znaczenie Śląska w życiu ekonomicznem Polski, oraz coraz bardziej rozwijającą się pracę kulturalną Śląska. Po przemówieniach powitalnych wygłosił prof. Dyboski świetny referat o „charakterze narodowym Anglików i Amerykanów“, rozaczając przed słuchaczami barwny obraz życia duchowego i materialnego obu narodów, kreśląc różnice, dzielące oba narody i podnosząc wszędzie ich cechy. Referat nie miał żadnych cech nudnego wykładu, przeciwnie, okraszany był przepysznymi anegdotami, ilustrującymi pewne cechy charakteru narodowego tych dwóch państw anglosaskich. Znakomity prelegent podniósł również cechy, łączące Anglję z Polską — radzi jednakże raczej wzorować się na Ameryce, która przoduje swem zmysłem organizacyjnym, kulturą mas, umiejętnością urzędzenia sobie życia.

Referat prof. Jakóbca stanowił omówienie kilku ciekawych zagadnień z dziedziny praktyki neofilologa, mianowicie kwestję lektury domowej dobrowolnej, podziału pracy, pracy pod kierunkiem, oraz sprawę czasopism przy nauce języka niemieckiego.

Po referacie p. Jesionowskiego (Lubliniec) na temat organizacji koła, utworzono nowe koło neofil. śl. z następującym zarządem: p. Mazurkówna, przewodnicząca, p. Jesionowski, wiceprezes, p. Wilbert, sekretarz, oraz członkowie: p. Materka (Mysłowice), p. Janasikówna (Katowice) i p. Trzos (Król. Huta). Nowej organizacji naukowej towarzyszą najlepsze życzenia Redakcji.

A. J.

Pomnik Lompy i tablica pamiątkowa ku czci ks. Damrotha. Młodemu pokoleniu wciąż na nowo przypominać należy, że wolność naszych ziem nie otrzymaliśmy bez długotrwałych i intensywnych wysiłków podtrzymania ducha narodowego w czasach ucisku zaborców. Odrodzenie Śląska, cud polskości na tych ziemiach, nie jest jakimś niewytłómaczonym zjawiskiem. Wiek XIX szczególnie był jednym ciągłym, bezustannym wysiłkiem uświadomionych narodowo jednostek w kierunku budzenia, podtrzymania i szerzenia ducha narodowego. Kiedy z początkiem XIX w. germanizacja na ziemiach polskich czyniła zastraszające postępy i ludność polska zaczęła powoli poddawać się temu naciskowi — zjawiał się człowiek, skromny nauczyciel ludowy, który postanowił drzeć hydrze germańskiej polsk.

Był nim Józef Lompa, b.

synowie śląscy w dow.

nia zasług wystawili

ny pomnik w Lubsk

dzie dział

bytec

cn

polskich, że był doradcą ludu w chwilach, gdy możni Niemcy lud ten wyzyskiwali i groźbami utraty chleba zmusić chcieli do wyrzeczenia się polskości. J. Lompa dobrze się zasłużył około polskości na Śląsku i słusznie należy mu się ten skromny hołd w postaci pomnika, jaki mu lud śląski złożył.

Dwa miesiące później po odsłonięciu pomnika Lompy uczciło miasto Lubliniec pamięć poety śląskiego, urodzonego w Lublińcu, ks. Konstantego Damrotha. Wychowany w atmosferze polskiej, skończył chlubnie studja średnie i wyższe i krótko po wyświęceniu na kapłana zostaje powołany do pracy pedagogicznej. W ciągu swej działalności pedagogicznej jako dyrektor seminarjum to w Opolu, potem w Kościerzynie (na Pomorzu), znów w Opolu — pogłębił swe znajomości kultury polskiej. Dokładny objazd po Pomorzu i Prusach Król. dał jako rezultat tej wycieczki jedną z najlepszych prac ks. Damrotha, mianowicie „Szkice z historii Prus Królewskich” wydane w 1886 pod pseudonimem

skiego. Tym

zreszta k

pamiętkowej na domu urodzenia poety „Niwy Śląskiej”. Tablica nosi następujący napis:

W hołdzie
znakomitemu Poeście śląskiemu
ks. Konstantemu Augustyn. Damrothowi
(Czesławowi Lubińskiemu)
urodzonemu dn. 13. września 1841 r.
i wychowanemu w tym domku
(umarł dn. 5. III. 1895 r. w Pilchowicach)
Obywatel
miasta Lublińca.
Lubliniec. A. J e s i o n o w s k i.

Dzwonek szkolny, czasopismo klasy V gimnazjum SS. de Notre Dame we Lwowie, czerwiec 1931 r., poświęcony był całkowicie Śląskowi. Na jego treść składały się artykuły: Dziesięciolecie powstania górnośląskiego, recenzja Serca za tamą G. Morcinka, Sprawa śląska w opinii publicznej Polski w wieku XV (tłumaczenie kroniki Długosza), Piotr Włost, ... XII wieku, książę śląski na ... XIV wieku i Podar ... w Pruchnej ... w gwarze

wstania i plebiscyt nie stworzyły już niczego w tym zakresie. Podkreśla również i drugą cechę charakterystyczną, że wszystkie te piosenki podobne są w motywach i treści do piosenek ludowych w całej Polsce. Jest to pierwsza praca tego rodzaju, omawiająca dorobek literacki powstań śląskich w zakresie poezji.

Dzień Śląska w Polskim Radju w Katowicach odbył się dnia 15 listopada b. r. Rozpoczął się transmisją nabożeństwa z kościoła Panny Marji w Piekarach, a skończył się popularnymi „Berami i bojkami” Karlika z Kocyndra (prof. Stanisława Ligonja). Na treść bogatego programu, poświęconego wyłącznie Śląskowi i transmitowanego w większości na wszystkie rozgłośnie polskie, złożyły się odczyty, wykłady, występy chóru, śląskie pieśni ludowe i słuchowisko regionalne p. t. Śląski „K r ó ł L e a r”. Pieśni śląskie z Cieszyńskiego i z Górnego Śląska odśpiewała p. H. Reutt-Tymieniecka.

Miesiąc Śląska, zainicjowany przez Związek Obrony Kresów Zachodnich w listopadzie b. r., a mający na celu zwrócenie większej uwagi społeczeństwa polskiego na Śląsk, znalazł żywy oddźwięk w całej Polsce. Po wszystkich miastach ... odbyły się liczne akademje śląskie. W Poznaniu i w Poznaniu ... Poznańskim zostały wy ... listopada codzienne ... Śląsku. Poza tem Znicz ... wszystkich miastach ... Polsce śląskie aka-